



WIT SZOSTAK



Wichry Smoczogór

SPIS TREŚCI

Mistrzom, którzy odeszli

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi i ostatni

Wit Szostak

Wichry Smoczogór

TMN

2003

Mistrzom, którzy odeszli

Kiedy mieszkańcy Lacerty patrzą na leniwe wody Beretyczu, nie podejrzewają nawet, że biorą one swój początek w rwącym, górskim potoku, którego źródła mają ponoć moc uzdrawiającą. Nikt też w Lacercie cudownie nie ozdrowiał, choć wszyscy na co dzień pijemy wodę z rzeki. Zanim Beretycz dotrze przecież do stolicy królestwa, do jego nurtu wpadają dziesiątki górskich strumieni. One to rozcieńczają prawdę o cudownej wodzie. I aby tę prawdę odkryć, należy opuścić wygrzaną na słońcu, ceglaną Lacertę i ruszyć wzdłuż brzegów rzeki, coraz wyżej i wyżej. Tak, po wielu dniach wędrówki, mijając dziwne i nieznane nam strony, dotrzemy do osnutych tajemnicą źródeł Beretyczu. Dotrzemy w samo serce owianych legendą Smoczogór.

Wrzosiec z Lacerty

Rozdział pierwszy

w którym wszystko się zaczyna, choć nikt o tym jeszcze nie wie



Stało się raz, że się staremu Smykowi dusza przewróciła.

A było tak. Od samego ranka siedział Ryś na ganku i wypatrywał wiosny. Śniegi dotąd leżały na halach, a ptaki nie pokazywały się od jesieni. Chyba że zimorodki. I Stary Ryś wiedział dobrze, że na wiosnę jeszcze nie czas. Bo i do czegoż ta wiosna miała przychodzić? Przecież trzeba by jej pomóc, zachęcić jakoś. Śniegi wytopić, ciepła trochę przywiać. Ryś był stary i mądry i dobrze o tym wiedział. Ale ze starości mało spał i wczesnie wstawał. Żeby więc po izbie nie szurać i wnuka nie budzić, wiosny wyglądał.

Siedział sobie otulony kożuchem i popijał napar z lipy. Napój rozgrzewał go, a jak człowiekowi w ciele ciepło, to i dusza się raduje. Ryś spokojnie rozglądał się po znanym krajobrazie. Jego oczy od lat przyswajały go pamięci, a teraz jedynie przypominały sobie stare widoki. Wzrok spokojnie wędrował po szczytach, zboczach i lasach, gdzie od młodości Ryś zdążył poznać każdą ścieżkę, każdą polanę; po wychłostanych deszczami dachach chałup, których kilka stało na Zarąbku; po ledwo widocznych zagrodach rozłożonych w dolinie Smreczyn.

Tak i wypatrzył, tylko nie to, czego szukał. Bo oto w dole polany, którą zajmował przysiółek, ukazał się zgarbiony człek. Chłop szedł szybko, raz po

raz zapadając się w zmrożonym śniegu.

– No i nadchodzi – krzyknął Ryś w głąb izby.

– Wiosna? – Berda z zainteresowaniem wychylił się z chałupy.

– Gdzie tam. Jeśli tak ma wyglądać wiosna, to już dla mnie najwyższa pora umierać. Patrz, kto ku nam lezie.

Berda wyszedł na ganek i spojrzał w kierunku wskazanym przez Rysia.

– To prawda. Smutne nastały czasy, skoro wiosna wygląda jak stary Smyk. Ciekawe, co mu się stało.

– Musiało Smyka nieźle przypilić, bo przecież od trzech lat się do mnie nie odzywa. Ciekawe, czego tym razem potrzebuje.

Tymczasem stary góral zbliżył się do chaty i pozdrowił gospodarzy. A zdawał się bardzo sfrasowany i bardziej pobruźdzony niż zwykle.

– Witajcie, Rysiu.

– No witajcie. Jak zdrowie?

– A jak ma być? Stary człowiek, to i zdrowie stare. Tam dziura, tu wieje, no i tak.

– Wiosna coś nam nadchodzi, to może i wam lepiej się zrobi – Ryś zagadywał gościa.

– E, gdzie tam do wiosny, chyba że stąd ją lepiej widać, bo wyżej siedzicie. W Smreczynach jeszcze zima stoi, a i tu śniegi leżą.

– Może i zima, może i wiosna. Pamiętacie, jak jakieś dwadzieścia років temu nie mogła nadejść? Co był potem głód w całych Karbach? Owce na redyk się pchają, gazdowie już by co pokosili, a ta gdzieś na nizinach się włóczy. Do lipca pełno śniegu było na halach. No i cóż jej poradzisz.

– Coście się tak tej wiosny uczepli? Ma przyjść, to przyjdzie, przecież wam jej za pazuchą nie przyniosę. A ja z czym innym przychodzę. – Smyk łypnął podejrziwie.

– Po prawdzie, to ja się wcale nie spodziewałem, że mi wiosnę przyniesiecie. Bo niby skąd? Ale coś ważnego was tu sprowadza, żeście dawnych żali zapomnieli.

Rzecz szła o zaszłości rodowe. W Smreczynach dwa stare rody gazdowały, Kościanów i Dziewięcsiłów. Nie lubiły się za bardzo, ale czasem wspólnie radzić musiały. No i stało się, że Smyk z Dziewięcsiłów coś głupiego zrobił, a Ryś z Kościanów głośno to powiedział. No i Smyk się obraził. Tak się zapiekł w sobie, że od tamtej pory Rysiovi się nie kłaniał, choć ten starszy był, więc jemu się szacunek należał.

– Ty stary, ja stary, co się będziemy kłócić jak młode baby. A sprawę mam ważną – Smyk zawiesił głos. – Dusza mi się przewróciła.

– No, to poważna sprawa. Wejdźcie do izby, po co tu dalej marznąć.

Kiedy weszli, Ryś usiadł na ławie pod ścianą, wyjął fajeczkę i zaczął z wolna pykać.

– Opowiadajcie – zachęcił.

– O czym tu gadać. Dusza brzęknęła, jęknęła głucho i przewróciła się na zawsze. Z początku chciałem ją sam trochę poratować, więc potrząsam nią, a ta nic, zakołatała i dalej leży. No to nie ma się co dziwić, że sfrasowałem się wielce. Każdy by zmarkotniał, bo jakże to tak, bez duszy? Człowiek jej pilnie potrzebuje, a ta leży i nic. A mnie akurat ochota do życia wzięła, to i duszy pilnie potrzebowałem. I z samego ranka do was się wybrałem, bo słyszałem, że się na duszach znacie i na pewno jakąś radę znajdziecie.

– Czy się znam, to nie wiem, tylko skrzaty się na nich wyznają. Ale kilka w życiu postawiłem. Sami wiecie, z duszą poważna sprawa, żartów nie ma. A jak o pomocy mówimy, to co mam wam nie pomóc? Starzy jesteście, a ja przecież was znałem, jakeście jeszcze młodzi byli. To i pomóc mogę. Synuś, przynieś ze skrzyni ten kluczyk, com ci go kiedyś pokazywał.

Ryś ubił tytoń w fajce i pociągnął mocno.

– Zapalcie sobie, Smyku, odpocznijcie. Nie będziemy się z tą duszą śpieszyć, bo ona pośpiechu nie lubi. Ostrożnie trzeba, bo po prawdzie to nie nasza rzecz, ale skrzatów. Pokażcie te gęśle.

Smyk ostrożnie sięgnął do kaptura i wyciągnął małe, żłobione skrzypeczki. No nie dało się ukryć: dusza leżała i bezładnie przewalała się po jaworowym żłóbku. Ryś poważnie zaglądnął do środka, parę razy gęśle przechylił, aż dusza wypadła na podłogę przez wcięcia w wieczku. Stary góral schylił się i chwyciwszy w dwa palce, podniósł duszę do światła.

– Widzicie, takie to małe, a takie ważne. Rozpiera się taka pomiędzy denkiem a wieczkiem, niby nic, a bez tego nie ma grania. Coś musi być w tym drewnienku, że całe skrzypeczki ożywia. Niby prosta rzecz, a żaden człek nie potrafi takiej duszy zrobić.

– To kto robi dusze? – Smyk był wyraźnie zdziwiony. – Tyle skrzypeczek, Rysiu, zrobiliście w życiu i ani jednej duszy?

– Jak wam to powiedzieć, starzy jesteście, a głupi. Ja to tylko ciało potrafię zrobić, wyżłobić gęśle z jawora. One się z jednego kawałka rodzą. Ale same to ani muzyki w sobie nie mają, ani dźwięku nie wydadzą. Trzeba je ożywić. Jak człowieka. Tyle że to już skrzaty robią. Ja zostawiam na strychu takie gotowe, ale jeszcze martwe skrzypeczki. Nie śpieszę się, czekam. Bywa, że parę dni albo parę tygodni. Nie wiem, jak skrzaty to robią. Pewnie coś mierzą, coś oglądają, potem szukają właściwego

drewienka, przypasowują. Dość, że po tym czasie dusza jest i gęśliki grają aż miło. Sam próbowałem taką wystrugać, ale gdzie jej tam było do skrzatowych!

– Widzicie, a ja myślałem, że skrzaty tylko naszymi duszami się zajmują.

– Jak się kto na duszach zna, to niech się nimi zajmuje, czy ludzkie, czy gęślowe.

– Racja. No to sprawa prosta. Wy teraz, Rysiu, te skrzypeczki dacie na stryszek, a ja za parę dni przyjdę i będzie po kłopotcie.

– I tu znowu głupio gadacie. Bo taki skrzat to tylko raz się gęśli tyka. Jak z człkiem. Jak swoją duszę zatracisz, to nie ma ratunku. Sam sobie musisz radzić. Tak też jest z gęśłami. Na szczęście mam taki kluczyk, co pomaga dusze ustawiać.

Tu Ryś wziął niewielki żelazny szpikulec, co mu Berda ze skrzyni przyniósł. Szybkim ruchem nabił nań duszę. Smyk jęknął.

– Nie bójcie się. Jak się przewróciła, to trzeba ją lekko okaleczyć, żeby powstała. Inaczej się nie da. Musieliście nie dbać o nią. Pewnie gęśle całą zimę w sieni na mrozie wisały.

– Skąd wiecie? Baba nie pozwoli trzymać ich w izbie.

– Słyszałem, jak gracie, to się jej nie bardzo dziwię. A skrzypeczki nie lubią takiego noszenia: to mróz, to ciepło, znów na mróz. Rozeschły się, no i tak się przydarzyło, że się znowu spotykamy.

Ryś delikatnie wsunął drewno do wnętrza gęśli i ustawił pod mostkiem. Potem długo poprawiał, przesunął, aż wreszcie westchnął i powiedział:

– Będzie tego.

Naciągnął struny, dostroił i przejechał smyczkiem. Gęśle zagrały, nieco chropawo, ale zupełnie zwyczajnie. Smyk wziął swoje skrzypeczki, pogłaskał i podziękował.

– To mamy kłopot z głowy, tylko nie próbujcie tu grać, proszę was pięknie, w domu się nacieszycie. – Ryś wstał z ławy, żeby pożegnać gościa.

– Pięknie wam dziękuję, ale mam jeszcze jedną sprawę. Jakaście tacy mili, to pomożecie, zwłaszcza że to nic kosztować nie będzie.

– Widzę, że uzbierało się wam spraw przez te lata. Mówcie szybko, bo baba w chałupie na was czeka.

– Mam takie stare dudy w domu, co na nich nikt nie gra. A dzieci i wnuki nieuczone, to zepsuć mogą. W domu niebezpiecznie trzymać.

– Pewnie wam capem śmierdzą.

– To nie to. – Smyk zamilkł i zbierał się do sedna sprawy. – Chodzi o to, że w nich coś jest, jakby to rzec, zamknięte. I nie wolno tego wypuścić, bo byłoby nieszczęście. Wy sami mieszkacie, bez wścibskich dzieci, przechowajcie mi je, choćby i na strychu.

Ryś spojrział na Smyka z wahaniem.

– No dobrze, przynieście te dudziska dziś wieczorem.

Smyk podziękował i poszedł do siebie. Kiedy wrócił o zmroku, minę miał nietęgą i skradał się, jakby chciał się ukryć przed ciekawskimi spojrzzeniami. Pod pachą niósł dudy, zawinięte dla niepoznaki w parciany worek. Gdy rozwinął pakunek, Berda mruknął ze zdziwienia. Przed nimi leżał worek z kozy, lecz bez puszczalek. Wszystkie otwory zabite były ciasno drewnianymi szpuntami.

– I co tam trzymacie w środku, że się tak boicie? Żmiję?

– Gorzej, Rysiu, na pewno nie chcielibyście wiedzieć. Schowajcie to tylko dobrze, proszę was pięknie, to nikomu krzywda się nie stanie. Nie ruszajcie, nikomu nic nie mówcie.

– Skoro wam tak zależy, nie martwcie się, zrobię jak mówicie. Dobrej nocy.

Smyk zniknął w ciemnościach, a Berda schował dudy do worka i powiesił na strychu u krokwi. Po chwili dwaj górale siedli przy stole i zaczęli w spokoju wieczerzać. Ryś łamał jęczmienne placki.

– Powiedzcie, dziadku, czemu Smyka tak nazywają? Przecież on grać nie potrafi. Słyszałem raz, jak siedział pod Garbaczem i nędznie rzępolił.

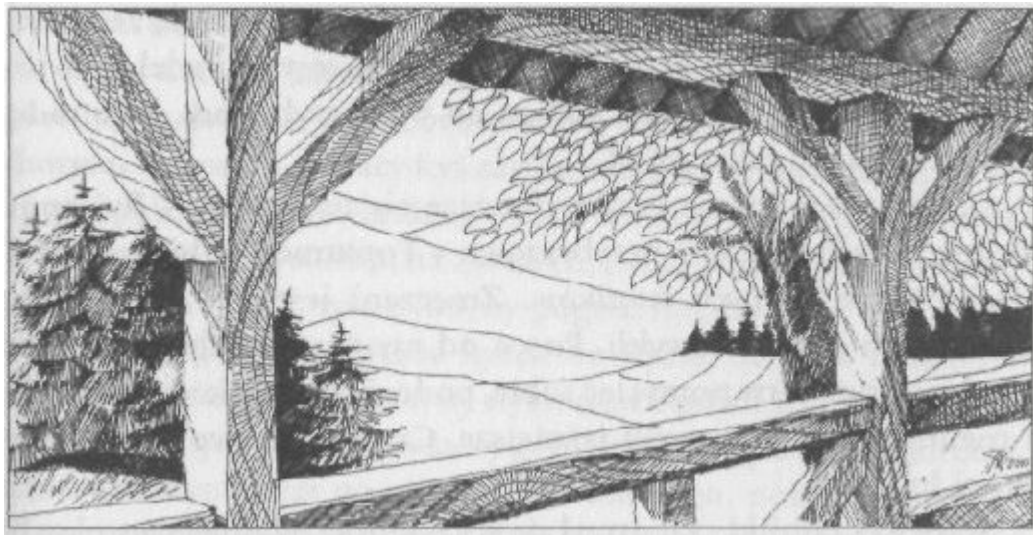
– No i cóż mu poradzisz, synuś? Ani jemu nie pomożesz, ani jego rodzinie. On ma wielką wolę do grania, no to nie ma rady. Ta dusza się pewnie wykopyrtała z żalu. I nie dziwię się jej. A co do Smyka, to przezwaliliśmy go tak w młodości. Bo głupi jak kij. Naley śliwowicy, synuś, jakoś tak mi ciężko na sercu się zrobiło.

Przy śliwowicy zapomnieli o dziwnym zawiniątku, które cicho kołysało się na więźbie. Zapomnieli o Smyku, wyciągnęli gęśle i zaczęli grać. I pięknie grali, rzewnie i starodawnie.

A wiosna przyszła następnego dnia. I na całym Zarąbku tylko Berda z Rysiem nie okazali zdziwienia. Potem przyszła kolejna, a po niej następne. I nie wiedzieli jeszcze, że tak się to wszystko zaczęło.

Rozdział drugi

w którym Berda wraca do domu



Siedzieli na ganku i łupali orzechy. Koniki polne grały na ścierniskach, a górskie powietrze wyostrzało poszarpany krajobraz. Lato obnosiło się ze swą soczystą pełnią.

Berda zapadał w błogi odpoczynek po długiej wędrówce. Lubił powroty do domu, do poczerniałej chaty, która przez trzy wieki z okładem zdążyła wrosnąć w halę i zapaść korzenie. Łupkowe fundamenty, które dawały jej stabilność, przyrodził mech i otuliła mięta. Orzech ocieniał niewielkie okienka i przekomarzał się z gontowym dachem. Berda łowił zapachy, które towarzyszyły jego dzieciństwu i młodości. Te same kwiaty, to samo siano. Tu, w Smoczogórach, nic się nie zmieniało. Wszystko od stuleci trwało w swoim porządku, wszystko było na swoim miejscu. Niebieski masyw Raroga zamykał horyzont.

Pierwsze orzechy miały gorzkawy, mokry smak.

Stary Ryś łupał z przyzwyczajenia, ale sam nie jadł.

– Gościa, dziadku, przyprowadziłem – Berda przedstawiał towarzysza, z którym przed chwilą przybył na Zarąbek. – Nad Cisowym Potokiem się zapodział. Chodził po chałupach i wypytywał ludzi o dawne dzieje. Ale tam za blisko Bukowiny, za blisko stancy. Ludzie się boją, bo jeszcze pamiętają, co im król Lacerty porobił. To i nieufni do obcych. A nasz gość

uczony jest, z Akademii przychodzi. Ma tu jakieś sprawy, prawda?

– Tak. Przepraszam, że przeszkadzam i narzucam się ze swoją osobą. Ale spotkałem Berdę i powiedział mi, że wiecie wiele o świecie i o dawnych dziejach. Dlatego do was przybywam, by o radę prosić. Gdybym tylko mógł...

– Mamy czas, panie uczony, jeszcze się nagadamy – Ryś spokojnie wszedł w słowo przybyszowi. – Popatrzcie sobie na góry, posłuchajcie polnych koników. Zmęczeni jesteście po długiej drodze, do gór nienawykli. Po co od razu język sobie strzepić? Nie lepiej najpierw pomyśleć sobie, podumać w spokoju? A wtedy i rozmowa lepsza, i myśli jaśniejsze. Czujcie się swobodnie, my gości lubimy.

Stary Ryś zamilkł i zapatrzył się w krajobraz. W dole, na stokach żłobionej Rudym Beretyczem doliny rozkładały się Smreczyny. Dalej rzeka wypływała na Rówień i niknęła w mrocznym lesie. A jeszcze dalej, na sieniej linii horyzontu wznosiła się ciemna ściana Smoczogór, dobrze widoczna ze zboczów Karbów. Od północy Stare Sztolnie z ostrym Czartakiem, potem Jaszczury i Krępak, strzelisty masyw Raroga, Pazdur i Rogacze. A pomiędzy tymi ostatnimi, na wysokiej przełęczy widać było drogę, która ponoć prowadziła do morza, ale Stary Ryś nigdy morza nie widział.

Był naprawdę stary, żył prawie dwieście lat. Bo z góralami to tak dziwnie się wówczas działo, że kiedy jedni umierali w naturalnym wieku kilkudziesięciu lat, inni trzymali się dobrze i dożywali późnej sędziwości. Ryś był najstarszym z rodu Kościanów i uważany też był za najmędrszego.

Pochodził z pradawnego rodu i to po swych przodkach zapewne odziedziczył mądrość i skłonność do chwytania celnych myśli. Dlatego też zanim jeszcze zaniechał wypasów, ściągali doń ludzie po poradę, a on starał się rozwiązywać ich problemy. Czasem sprawy, jakie mu przynosili, były błahę, czasem jednak sam nie wiedział, jak im pomóc. Przeważnie darował ludziom opowieści i przysłowia, które w niezliczonej ilości zamieszkiwały w jego głowie. A kiedy posiwiał i lekko pochylił się ku ziemi, zaczęto traktować go jak mędrca. Z jego słowem liczyli się wszyscy, nikt też z rodu nie cieszył się większym szacunkiem niż Ryś. Wprawdzie od lat głową Kościanów był wnuk jego bratanka, Jak, którego samego już powoli zaczynało nazywać starym, ale po radę zawsze przychodzono do Rysia. Zresztą Jak nie nosił w sobie zawiści. Mieszkał w nowej graździe w dolinie i z pomocą swych synów roztropnie rządził rodowymi dobrami. A Stary Ryś zawsze trzymał się na uboczu. Przez sporą część życia był watahem rodowych stad i mieszkał w oddalonym od wsi przysiółku, na Zarąbku,

niecو ponad Smreczynami.

Nie szukał ludzi, tyle tylko, by pograć między nimi i nacieszyć serce gawędą. Ale to ludzie Ignęli do Rysia. Ściągali z najodleglejszych dolin Smoczogór, by wysłuchać opowieści mających dar zmieniania życia. Przy tym stary góral nie był typowym mędrcom. Ktoś, kto wyobrażał go sobie jako brodatego, posępnego wieszczuna, zanurzonego w świecie duchów, ze zdziwieniem znajdował pogodnego, skorego do śmiechu człowieka. I tym Stary Ryś budził jeszcze większy szacunek niż najbardziej ponurzy spośród nizinnych kapłanów. I nikt nieznanomy zapewne nie rozpoznałby w tym krzepakim góralu mędrca, którego spodziewał się znaleźć.

Ludzie szanowali go wielce, gdyż znał stare pieśni i opowieści. Powiadali we wsi, że odwiedzają go dziwni wędrowcy, którzy nocami przekradali się po górach. On śmiał się z tego. Ale przecież nie stanowiło tajemnicy, że rozmawiał ze skrzatami, co się nie każdemu zdarzało. Mimo sędziwego wieku nie był zniedołężniały. Mało jadł, prawie w ogóle nie spał, ale nadal zajmował się tym, co robił przez całe lata. Wykonywał gęśle i przepięknie na nich grał. Czas mu jednak inaczej płynął. Potrafił po kilka dni siedzieć przed chałupą i patrzeć na strzępiasty horyzont, albo milczeć całymi tygodniami. Mimo to na co dzień był człowiekiem wesołym, który lubił ludzi i nade wszystko cenił rozmowy z nimi. Toteż kiedy na Zarąbek przybywali goście, do późna w nocy niosły się po trawie śmiechy oraz stare i nowe opowieści.

Słońce przy tym łupaniu orzechów skłaniało się z wolna w stronę widnokręgu. Zaogniło zachód i dyskretnie oddalało się na spoczynek. Minęło czasu mało wiele i wszyscy weszli do chaty. Berda odrzucił warkocze i zasiadł na niskim zydlu. Obok niego usiadł przybysz. A Ryś przygarbił się pod ścianą i znieruchomiał. Cień owinął go szczelnie, rozpełzając się po całej izbie. Chwile leniwie szurały po podłodze.

– No to będzie tego milczenia, bo nam języki skołowacieją. Opowiadajcie, panie uczony, skąd was tu zawiąło.

– Jak już powiedział Berda, zwą mnie Wrzosiec i jestem bakałarzem z Akademii w Lacercie. W naszej bibliotece natrafiłem na liczne wzmianki o Karbach i w ogóle o Smoczogórah, jako że przede mną kilkakrotnie uczeni zapędzali się w te strony. Jestem smokoznawcą, więc rejon ten wielce mnie interesuje. Postanowiłem tedy dotrzeć tu i sam na własne oczy zobaczyć cuda, o których czytałem.

– A jakie to cuda chcecie oglądać, bo po mojemu, to wszystko tu zwyczajne.

– Głównie smoki. Wiele o nich czytałem i wiem, że tutaj żyją ostatnie z nich.

– Pięknieście to wywiedli. Ja tam nie wiem, co w waszych księgach stoi, ale to wam powiem, że u nas żadnych smoków nie ma.

– Ale kiedyś musiały być, przecież jesteśmy w Smoczogórach.

– To, że teraz nie ma, nie znaczy, że dawniej nie było. Tylko że bardzo dawno temu. Wiele pokoleń się obróciło, panie uczony. Zostały opowieści, parę pieśni. Wtedy to byście mieli używanie, bo po prawdzie to niemal same smoki tu kiedyś żyły. Nie było tu ludzi i drzew też jakby mniej. I smoki ze sztolnikami wojny prowadziły. Ale sztolnicy, co ich po swojemu karłami albo gnomami zwiecie, skryli się pod Starymi Sztolniami i posnęli. No i smoki nie miały nic do roboty. Z nudów wędrowały po górach, przewalały się nad turniami. A z tej żalości to rozpękły się na dwoje.

– To znaczy, wyginęły?

Ryś uważnie spojrzął na Wrzośca. Jego szare oczy wydawały się zmęczone długoletnim patrzeniem.

– Niektóre tak. Zatrzymały się w ruchu i obróciły w kamień. Ponoć grań Jaszczura to właśnie taki skamieniały smok. Ale inne przeżyły, tyle że nie mogły już wytrzymać w starych cielskach. To rozpękły się na dwoje. Tak powstały żmije i żertwy, oba paskudne.

Ryś zamilkł i pogrążył się we własnych myślach. Uczony jednak patrzył pytająco, gdyż obraz tylko mu się skomplikował. Wtedy odezwał się Berda.

– Żmije mieszkają w górach. To długie węże, złośliwe i przebiegłe jak i smoki. Mało kto je teraz spotyka, a prawie nikt nie waży się z nimi rozmawiać. Taki żmij to tylko kusi i zwodzi, niewielu się oparło. No i tak wiedzie człeka na zatracenie. I się chłop sam ze skały rzuca albo do chałupy idzie i rodzinę wyrzyna. Po rozmowie ze żmijem każdy już odmieniony wraca. A żertwy to głupie, paskudne ptaszyska. Gnieźdzą się na Równi, na bagnach. Tam lęgną się ich pisklęta, pośród smrodu i oparów. Ale Równień to Pustać. Tam nikt nie mieszka i nie chodzi, bo to zdechłe miejsce. Kiedyś tak nie było, ale teraz jest i już.

– Duże są te żertwy?

– Dość – Ryś znów włączył się do rozmowy. – Gdyby taka siadła na kalenicy naszej chałupy i rozłożyła skrzydła, to sięgałaby od pazdura do pazdura. Czarne całe, dziób długi jak wyrośnięty chłopak. Śmierdzi strasznie, a na głowie ma grzebień jak kogut i pełno koralu wokoło, jak indor. Tylko czarnych. Na szczęście żywią się padliną, choć i czasem owieczkę z hali porwą. Paskudne ptaszyska.

– I mówicie, że to potomkowie prawdziwych smoków?

– Tak mówią pieśni. Tylko głupota w żertwach ogromna. Ale widzę, żeście się do nich wielce zapalili. Jakby było do czego. Młodzi jesteście, dobrze wam z oczu patrzy, to wam i poradzę. Nie chodźcie na Rówień. To zdechłe miejsce, mówię raz jeszcze. Tylko śmierć albo obłąd tam znajdziecie, nie chodźcie na Rówień... Ale jak się tak miło spotkaliśmy, szkoda czasu na żertwy, nie warto. Teraz ty, synuś, opowiadaj, gdzieś bywał. Pewnie znów zwędrowałeś kawał świata.

– Dużo by gadać, ale tym razem rozwłóczyłem się po Smoczogórach. Odwiedzałem wioski, rozmawiałem z ludźmi – Berda powoli zbierał się do opowieści. – Kilka dni temu przygrywałem na weselu.

– Na weselu? A któż to znany się żenił, że aż posłali po ciebie? Od dawna nie grywasz dla byle kogo.

– Grywam dla każdego, kto poprosi. Akurat zasiedziałem się w Wywierzyskach. Siedzę, z wyjazdem się ociągam, a tu ślub. Więc zagrałem. Żenił się młody Jur, z rodu Dziewięćsiłów.

– W Wywierzyskach, powiadasz. – Stary Ryś przerwał na chwilę, jakby w pamięci odszukiwał jakieś wyblakłe wspomnienie. – A pamiętasz tego owczarza, Siemka, co z nami przed laty pasał, a potem opuścił Smoczogóry i, jak powiadają, zatracił się na bagnach?

– Jakże miałbym nie pamiętać, przecież on tak pięknie na gęślach wygrywał.

– No to właśnie ten sam. I o nim chciałem gadać. Zanim zaszył się na polanach, między owcami, to grywał za młodu po weselach. Opowiadał mi, że jednego razu droga mu wypadła przez Wywierzyska. Jeszcze nie zaszedł do wsi, to już dzieciaki roztrąbiły, że idzie. A ludzie kochali go bardzo, bo pięknie grał. I taki jeden chłopak, nie pamiętam już, jak go zwali, wziął go do siebie i poprosił, żeby grał. Ale Siemek widać musiał śpieszyć się do innych spraw. Zażartował więc, że zostałyby tylko wtedy, kiedy musiałby mu na weselu przygrywać. No i ten chłopak wybiegł z chałupy i po chwili przywłókł jakąś przestraszoną dziewczynę. Przywłókł i mówi, że jeśli tak, to on sobie ją za żonę bierze. Dziewczyna blada, ojciec chłopaka czerwony, matka gdzieś uciekła. A ten się uparł.

– I co dalej?

– Jak to co? No cóż było robić, chłopak ożenił się i wieczorem Siemek musiał mu na weselu przygrywać. A dziewczyna to obca zupełnie była. Akurat się koło chałupy nawinęła, bo pranie od strumienia niosła. Ani tam żadna wybranka, ani nic. Okazało się, że sierota, co ją pośród

Dziewięćsiłów chowali. Ponoć szczęśliwi byli i długo żyli, choć rodzice nigdy nie pogodzili się z tym, co im synek wyszykował.

– Ej, tak grać, żeby się ludzie żenili na twój widok, to byłaby piękna rzecz.

– A piękna, piękna. Ale opowiadaj, co u ciebie?

– Co u mnie? Jestem, wróciłem i cieszę się, dziadku, że was w dobrym zdrowiu widzę. – Berda błądził wzrokiem po znajomych kątach, po domowych sprzętach.

– O mnie chyba śmierć zapomniała. Tak to jest z księgami. Zamiast w pamięci wszystko chować, to jej się zachciało żywoty w księgach rachować. No i te karty jej się pozlepiały, pewnie od ludzkiego strachu. Zapomniała, a ja tak czekam i czekam. No, ale jak już jesteś, to poskrzyp nam trochę, synuś, bo stęskniłem się za twą muzyką. A i pan uczoney pewnie bez przykrości posłucha.

I Berda wziął w dłonie gęśle, natarł smyk żywicą, podciągnął kołki i zaczął grać. A grał pięknie i swojsko. Zaczął od tańców weselnych, potem przeszedł do tęsknych pieśni. Struny kłaskały pod smykiem. Ogrywał misternie i rzewnie, ale zarazem zdecydowanie, po kościańsku.

Ryś zasłuchał się w muzykę, która wypełniła poszarzałą izbę. Wtulił się w jej kołysanie i przymknął powieki. Znał te nuty od dziecka, nosił je w pamięci przez ponad sto siedemdziesiąt lat. Teraz jaśniały i skrzyły się talentem Berdy. I Ryś kołysał się unoszony dumą. Spoglądał na Berdę i rozpoznawał w nim małego chłopca, którego wychował. Młodszy brat Jaka, Hardy, pewnego dnia po prostu zniknął. Zabrał żonę i odszedł. Różnie mówiono. Jedni powiadali, że zatracił się w górach, inni, że w ogóle powędrował na niziny, by tam szukać szczęścia. Jak było naprawdę, niewielu wiedziało. Ryś był dla Hardego stryjecznym pradziadkiem. Wszyscy u Kościanów przyzwyczaili się, że żyje sobie obok, a kolejne pokolenia mijają i odchodzą w przeszłość. Jak miał swoich synów trójkę, córek nie licząc, więc uradzili, że dadzą Berdę na wychowanie staremu. I tak się stało. Teraz Ryś patrzył na wychowanka z dumą i wiedział już, że będzie miał w nim godnego następcę.

Nagle gęśle ucichły.

– Ciekawy jestem, czy tę pamiętacie – Berda odezwał się szeptem.

I zagrał piękną, czystą nutę, lekką jak wiatr. Powtórzył kilka razy, po czym odłożył gęśle. Ryś podrapał się po białej czuprynie.

– Musi być wierchowa, ale jej nigdy wcześniej nie słyszałem.

– Wierchowa, a jakże. Stało się tak, że mi z Wywierzysk ścieżka przez

Kieł wiodła.

– Przez Kieł? Przecież to nie po drodze.

– No niby nie, ale tamtędy mnie powiodło i dobrze się stało. Wspiąłem się na siodło i dotarłem do przysiółka. Smutno tam teraz i pustawo. Ledwie cztery chałupy zamieszkane, jako że ludzie z tamtych stron przenieśli się na stoki Orlicy. Ich sprawa. Ciemno się robiło, toteż zapukałem o nocleg. Ugościli mnie, wieści z dolin wysłuchali. A mieszkał tam dziadek, ze sto lat miał. Zwali go Gunia. Cały czas siedział na zapiecku, choć zimno przecież nie było. Ponoć od kilku już lat nie wychodzi z izby, więc twarz miał żółtawą, jakby przezroczystą. Jak zobaczył, że jestem grajek, to kazał sobie skrzypeczki podać i zaczął grać. Dawniej to on musiał pięknie wygrywać, ale teraz... Rodzina go ucisza, że niby przeszkadza, że ja po podróży zmęczony, a ten gra. No więc słucham. I nagle stary Gunia zagrał tę nutę wierchową. Nigdy wcześniej jej nie słyszałem, to i poprosiłem, by powtórzył.

– Sam pewnie ją zmyślił.

– Sam, nie sam, ale brzmi jak odwieczna. Takie to się same zmyślają.

– To prawda, jak odwieczna. Takich nut nikt by sam wymyślić nie zdołał.

– No więc nauczyłem się i wam zagrałem.

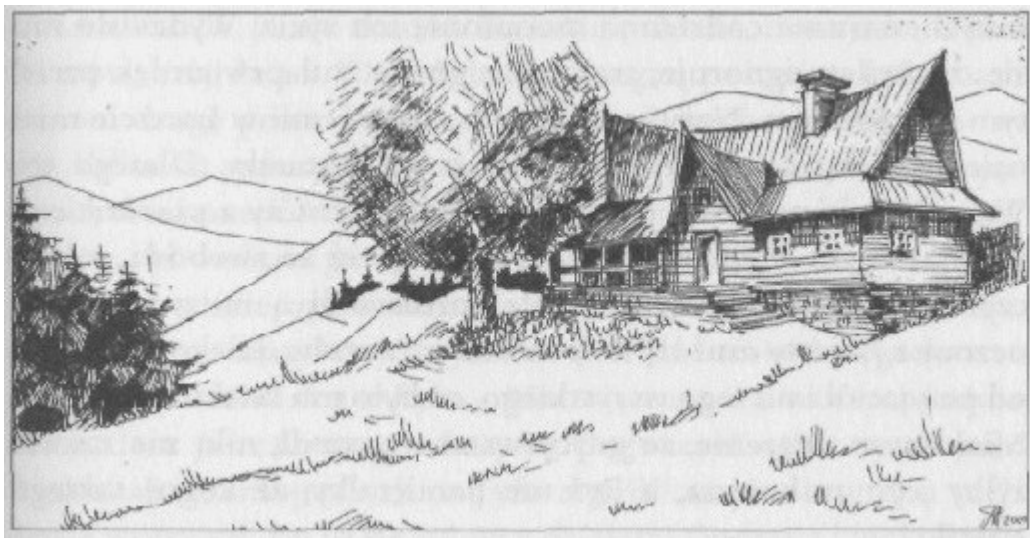
– I wielce mnie tym uradowałeś, bo od mnoga lat nic nowego, a odwiecznego, nie słyszałem. Widzisz, synuś, jak to starość może młodości przyjść z pomocą. A jeszcze ci parę przysiółków w Karbach zostało.

Pomilkły koniki polne, a ciemność roztopiła kontury siedzących w izbie postaci. Berda zapalił świeczkę, która ciepłą żółcią ogrzała poszarzałe twarze.

– Wiecie, co wam powiem, dziadku? Powiem wam, że dobrze jest wrócić do domu.

Rozdział trzeci

w którym wszystko jest w największym porządku, ale pod koniec zaczynają wiać wichry



Jednak na tym ich wieczór nie miał się zakończyć. Posilili się jęczmiennymi plackami i kawałkami owczego sera. Letnia noc powoli sposobiała ich do snu, ale nie widzieli się tak długo, że żaden nie myślał o spoczynku. Górale wyciągnęli gliniane fajki, a widząc to, Wrzosiec wydobył zza pazuchy kapciuch i poczęstował Rysia wonnym tytoniem. Stary przez dłuższą chwilę rozkoszował się aromatem.

– Tytoń to chyba jedyna rzecz, którą ludzie z nizin robią lepiej od nas.

– Cóż, niziny są łagodniejsze od gór, to i tytoń lepszy wyrasta.

Ryś ucieszył się tym wyjaśnieniem.

– Tak więc żadna w tym ludzi zasługa. Niepotrzebnie się martwiłem.

Biały dym leniwie błędził pomiędzy krokwiami, siwe smugi oplotły świerkowy sosrąb. We trójkę pykali w milczeniu, owładnięci obcymi zapachami.

Wrzosiec czuł się dziwnie. Z jednej strony cieszył się, że udało mu się trafić do prawdziwych mieszkańców tej ziemi. Wiedział też, że goszcząc pod dachem Starego Rysia, ma wielkie szczęście, gdyż najsędziwszy z Kościanów jest jak żywa księga, pełen opowieści, pieśni i mądrości sprzed lat. Z drugiej jednak strony czuł się jak intruz, jak ktoś, kto bezprawnie

podgląda innych, narusza codzienną monotonię ich życia. Wydawało mu się, że Ryś go ignoruje, traktuje z góry. Czuł pewien lęk przed tym człowiekiem. Najstarszy Mistrz z Akademii w Lacercie miał osiemdziesiąt lat, a więc Ryś był o wiek starszy. Dlatego też Wrzosiec nie wiedział, jak się ma zachować. Czy z szacunkiem, przynależnym władcom i mędrcom, czy też ze swobodą, jak to czynił Berda. Kiedy dwaj górale rozmawiali o muzyce, młody uczyony z Lacerty czuł się niepotrzebny, rzucony daleko od domu, od przyjaciół i od tego wszystkiego, co było mu bliskie i swojskie. Miał nawet wrażenie, że gdyby wstał i wyszedł, nikt nie zauważyłby jego zniknięcia, a Ryś nie pamiętałby, że kogoś takiego gościł.

Toteż wielkie było jego zdziwienie, kiedy stary zagadnął:

– Powiedzcie mi, panie uczyony, dlaczego szukacie tych smoków? Po co wam one?

Wrzosiec przez chwilę milczał. Nie znał odpowiedzi na postawione pytanie. Wreszcie zaczął:

– Jak każdy uczyony staram się poznać prawdę, powiększyć naszą wiedzę. O smokach wiemy niewiele. Sądziłem, że dzięki tej wyprawie mogę przyczynić się do pogłębienia naszego rozeznania o tych stworzeniach. Nie było jednak moim jedynym celem uganiecie się za smokami. Z ksiąg, które zgłębiałem w Akademii, powstał w mej głowie obraz wspaniałej krainy, jaką są Smoczogóry. Dlatego też chciałem poznać was, jej mieszkańców, wasze opowieści, pieśni i obyczaje.

– Nie fraszujcie się, z tym nie będzie kłopotu, bo my nie smoki i jakoś sobie jeszcze radzimy. I chyba prędko nie wymrzemy. Coś mi się widzi, że ostatnimi czasy coraz rzadziej umieramy.

– Bo każdy tylko po razie – wtrącił Berda.

– E, synuś, chyba jeszcze rzadziej.

Stary Ryś zamilkł i z wolna pykał fajkę. Minęła dłuższa chwila, kiedy zapytał gościa z Lacerty:

– Mówiliście, że czytaliście w księgach o wyprawach uczonych. A o Gorganie tam pisali?

– Chyba tak... Góral o tym imieniu był przewodnikiem jednej z wypraw.

– A widzicie, panie uczyony. Bo tak się składa, że to jeden z Kościanów, mój dziad. Dawne dzieje. Gorgan pokazywał uczonym mężom drogę przez góry, opowiadał o naszych obyczajach i życiu. Kilka lat włóczyli się razem po Smoczogórach, odwiedzając uroczyska i pustkowia, chodząc podniebnymi perciami. A stary Gorgan był wielkim gawędziarzem.

– Rzeczywiście, opowiadaliście nieraz o nim – powiedział Berda.

– To, że ci mówiłem, to jeszcze nic. Ale to w księgach stoi napisane – zaśmiał się Ryś. – Noc się nam za oknami ładnie dzieje, lecz jeszcze mamy czas, by pogwarzyć sobie spokojnie. Posłuchajcie, chłopcy, jak to było z gęślikami, co nam na nich Berda wygrywał. Bo to się splata z dziejami Gorgana i jakkolwiek na to patrzeć, z Wrzoścem też.

Młodzi poprawili się wygodnie, ubili tytoń w fajkach, a Ryś zaczął:

– To rodowa tajemnica, tylko jeden w każdym pokoleniu ją zna i dalej przekazuje. Teraz czas, bym przekazał ją tobie, synuś. A że ja, co ją w pamięci noszę, przez kilka pokoleń nie miałem jej komu przekazać, to się chyba nie stanie wielka krzywda nikomu, jak ją nasz gość pozna. To uczony człek i nie rozpapla jej jak baba przy praniu. A że chcecie, panie uczony, nasze opowieści zbierać, to macie coś na początek. Sprawa zaś jest taka, że grasz, synuś, na gęślach starego Gorgana.

– Opowiadacie. Sami gadaliście, że tamten kazał się pochować z instrumentem.

– Kazał, jego prawo. Widać bał się, że się spadkobiercy o nie na śmierć pobiją. Ale wdowa po nim, zanim zabili wieko trumny, zamieniła gęśle, a te swego męża schowała. Mówiła, że zbyt wiele w nich zaklętych nut mieszka, by je teraz ziemi i kamieniom wydać. Niech służą muzykantom, bo na to były stworzone.

– Jednak to źle, woli zmarłego nie dochować.

– Jaka tam była wola Gorgana, to tylko jego żona wiedziała. A powołaniem gęśli jest grać. Gęśle to nie trumna, żeby w grobie leżały. Ale rację masz, bała się narazić rodzinie i instrument pod podłogą ukryła. Tak minęły lata. Kiedyś siedziała w izbie sama, ze swym synem jedynie. Aż tu nagle nutę ozwodną słyhać. Cichutko jakoś, nieśmiało. Rozglądają się, na ganek wychodzą, a tu nic. Tyle że cosik dalej wygrywa. I wtedy sobie wdowa przypomniała o gęślach, co je pod podłogą trzymała. Odbiła deskę, a tu one same grają, i smyk bez pomocy po strunach biega.

– Znów opowiadacie.

– Siedź cicho i słuchaj, synuś. Opowiadam, bo i mnie opowiadali. Wpierw to się matka z synem wystraszyli. Ale potem zaczęli myśleć, co z gęśłami zrobić. I uradzili, że się one dopominają, by na nich grać, że się w nich odezwały te zaklęte nutki, że się sam Gorgan odezwał. I wziął synek Gorgana gęśle i grał na nich. Zwał się Jak, tak samo jak twój stryj. No i złożyło się, zupełnie nie przez przypadek, że był moim ojcem. I darował je mnie, wraz z opowieścią. Tak i ja je dostałem, a po mnie ty.

– To ja nic nie wiedziałem, że gram na Gorganowych gęślach!

– Teraz już wiesz.

– Na tych samych gęślach, co je stary góral wysłyszał, jak jeszcze drzewem były i po lesie, na stokach Jaworzyny szumiały?

– No, te samiuteńkie. Bo widzicie, panie uczony, u nas jest tak, że się na gęśle nie bierze pierwszego z brzegu pniaka. Można, ale wtedy wiadomo, że skrzypczki piskać będą tylko i żadnej muzyki z tego nie będzie. Musi się pójść w Karby Południowe, tam na stokach Jaworzyny rośnie prastary las. Ale nie każdy jawor umie grać. Trzeba się wsłuchać, jak liście szeptają, jak gałązki się przekomarzają. Nieraz to i tydzień nie wystarczy, by właściwe wybrać. Jak już się drzewo znajdzie, to dopiero można się do roboty zabierać. Ale trzeba cierpliwym być i parę ładnych lat poczekać, aż drewno przeschnie, bo jedynie z takiego dobre gęśliki będą. Tylko w starych drzewach jest odwieczna muzyka zaklęta. One ją wysłyszały i las przekazuje ją sobie przez wiatr, jak my uczymy swoje dzieci. I tylko na takich gęślikach możesz zagrać prawdziwą muzykę. A potem to już rzecz twojej zręczności i duszy, ale o nią to się skrzaty martwią.

Wrzosiec pilnie zapamiętywał każde słowo Rysia. Wiele spraw, które ledwie wspomniał stary góral, było dlań niezrozumiałych. Ich sens miał mu się odsłonić dopiero dużo później, kiedy porównywał tę pierwszą opowieść Smoczogór z następnymi. Ale też sporo rzeczy do końca pozostało dla niego tajemnicą.

A Berda z nową miłością chwycił swoje stare, poczerniałe gęśle, by wydobyć z nich zaklęte przez Gorgana nuty. Muzyka stawała się coraz bardziej powolna, rzewna i rozkołysana, a bakałarzowi z Lacerty sen począł kleić powieki. Stary Ryś dumał nieobecnie, pykając kolejną fajkę. W końcu przerwał i zarządził porę odpoczynku.

Wrzoścowi przygotowali łóżko w białej izbie. Kiedy leżał, wtulony w pachnącą wiatrem pościel, na samej krawędzi snu usłyszał, że Ryś rozmawia z kimś na ganku. Młody uczony z Lacerty wiedział, że Berda chrapie w sąsiedniej izbie, więc podejrzewał, że stary Kościan rozmawia sam ze sobą. Ale wkrótce sen uniósł Wrzośca daleko od chałupy na Zarąbku.

Jednak tamta letnia noc okazała się bardzo krótka, stanowczo za krótka, niż być powinna, i nie przyniosła strudzonym wędrowcom zasłużonego odpoczynku. Stało się bowiem tak, że wścibskie jaskółki rozniosły po okolicy, iż Berda powrócił do domu. Mało tego, nie przywędrował sam, lecz przyprowadził gościa z dalekich stron. Szczebiotały tak natarczywie, że zanim ranek rozkleił się na dobre, na ganku pojawili się pierwsi goście.

Oczywiście jaskółki jak gdyby nigdy nic karmiły swe pisklęta. Gliniane gniazdka przytulone do krokwi jazgotały po staremu.

Najpierw do chaty Starego Rysia nadciągnęły dzieci, potem kobiety. Nie nadeszło jeszcze południe, a już wokół Berdy zebrali się niemal wszyscy mieszkańcy Zarąbka, porzucając codzienne zajęcia. Górale przynieśli gęśle i dudy, no i się zaczęło.

Berda od kilku lat cieszył się zasłużoną sławą jednego z najznakomitszych muzykantów Smoczogór. Oczekiwali go wszyscy, nawet ci, którzy jego talent znali tylko z opowieści. Trudno więc się dziwić, że sąsiedzi, z którymi wędrowny gawędziarz i grajek muzykował od małego, jako pierwsi śpieszyli mu na spotkanie. Nadto Berda z każdym swoim powrotem przynosił wieści z dalekich stron, a smoczogórcy pasterze niczego nie wyglądali tak chciwie, jak opowieści. Z muzykantów przyszli Kohut i Gajda, z którymi Berda juhasował w dzieciństwie. Wpierw grali ostrożnie, jakby przypominając sobie dawne czasy, później z każdą nutą coraz śmielej i radośniej. Dźwięki rozsypywały się po ganku, ze stukotem zeskakiwały po kamiennych schodach, by do reszty zatracić się w soczystej trawie. Gajda z Rysiem przygrywali na dudach, a Kohut z Berdą wtórowali na gęslach. Płynnie zmieniali tempo, przechodzili z wtóru na prym i z powrotem. Po kilku melodiach powróciła dawna jedność ich grania i ganek tętnił jednostajnym rytmem. Kobiety, które oczywiście musiały w tym czasie gadać, zaczęły przytupywać, co było widomym znakiem, że z pojedynczych dźwięków tworzy się prawdziwa góralska muzyka. Gęśle popiskiwały płaczliwie, a dudy pobekiwały miarowo. Berda, zanurzony w samym sercu pulsującego jazgotu, odnajdywał spokój. Muzyka kołysała go i koła. Lubił samotne granie, wtórujące opowieściom. Ale muzykowanie w kapeli było przeżyciem, które trudno z czymś porównać. Grali pełni werwy i radości, a góry mruzczały zasłuchane.

Koło południa część gości wróciła do swych codziennych prac, a wdowa Liska zabrała się do gotowania obiadu. Odkąd Ryś przekroczył sto pięćdziesiąt lat, postanowiła zajmować się nim i go doglądać, mimo że stary góral trzymał się krzepko i w dobrym zdrowiu. Jednak z wiekiem poddał się sennemu lenistwu i nie odrzucał tej płynącej z kobiecego serca pomocy. Mijały lata, a Liska przygięła się do ziemi i wydawała się starsza niż Ryś. Ale koleiny ich wzajemnych uczuć, głęboko żłobione przez czas, nie mogły przecież tak łatwo ulec zmianie. Tak więc Liska sprzątała w chałupie i obejściu, a Ryś zajmował się tym, co cenił najbardziej, czyli graniem i rozmyślaniami.

Tymczasem słońce statecznie sunęło po błękanie, prześwitując spomiędzy rozedgranych listków. Wreszcie muzyka ucichła, spłoszona zapachami, jakie dochodziły z izby. Liska wniosła dymiące misy, a powitalny obiad na cześć Berdy i, chociaż po części, Wrzośca, godnie spełnił swe zadanie. Jagnięca pieczeń z wonnymi ziołami, pieczone ziemniaki i najwspanialsza na świecie zasmażana kapusta, nic nie mogło bardziej rozleniwic oszołomionych wspólnym graniem kompanów. I kiedy gładząc z lubością brzuchy, sennie poddawali się gorącym pieszczotom słońca, dał o sobie znać odwieczny porządek rzeczy. Ryś właśnie zniknął w zacienionej izbie, by ucieszyć przyjaciół zasłużoną czarką śliwowicy, kiedy zza chaty wynurzyła się naburmuszona żona Kohuta, hałaśliwie nakłaniając chłopca do powrotu. Potoki dźwięcznych słów wypływały gości z ganku, gdyż Gajda, choć kawaler, postanowił wesprzeć druha w potrzebie. Wytrącona z równowagi sielskość z wolna powracała do dawnego bezruchu. A kiedy doszczętnie ucichło, Ryś z Berdą i Wrzoścem, wychwalając zalety swego stanu, pochylili się nad dzbankiem i stawili czoło pełnemu ukrytej mocy smoczogórskiemu trunkowi. Mijały senne godziny. Ryś w zamyśleniu wił gniazda w siwych bokobrodach.

Tak spokojnie upływały kolejne dni. Wrzosiec z Berdą dzielili swój czas pomiędzy muzykę, opowieści i krótkie wyprawy. Berda zabierał swego towarzysza na wędrowki po Karbach. Byli na Garbaczu, skąd wypływa Rudy Beretycz, na Jaworzynie, gdzie rosną prastare lasy pamiętające odwieczną muzykę. Odwiedzili też Smreczyny i tak uczony poznał Jaka, głowę rodu Kościanów.

Kiedy stali na stokach Garbacza, bakałarz ze wzruszeniem patrzył na niewielkie, wypływające spomiędzy skał źródło. Lodowata woda szemrała wesoło po kamieniach i wartko opadała w dół. Tam zbierała wody innych górskich potoków, po czym wpadała do stromego wąwozu o ścianach z czerwonej glinki. Od niego bezimienne do tej pory wody brały swe imię, gdyż po potężnych ulewach, kiedy ziemia rozmakała, strumień nabierał rdzaworudej barwy. Dalej Rudy Beretycz przepływał przez Smreczyny i opuszczając Karby, ginął w lasach porastających Rówień. Tam na nieprzebytych ludzką stopą trzęsawiskach mieszał swe wody z większym strumieniem, Srebrnym Beretyczem, który swoje źródła miał na przeciwległym krańcu Pustaci, gdzieś pomiędzy ostrymi turniami Smoczogór. Nawet górale nie bardzo wiedzieli, gdzie leżą owe źródła. Tamta część Smoczogór, zwana czasem złowrogo Pazdurami, w odróżnieniu od łagodnych i przyjaznych Karbów, była niedostępna i

nieznana. Ale powszechnie sądzono, że Srebrny Beretycz rodzi się gdzieś na stromych zboczach Raroga. Wrzosiec, stojąc na stokach Garbacza, ze wzruszeniem patrzył na cienką, krystaliczną żyłkę, jak jaszczurka zwinnie wijącą się pomiędzy kamieniami. W pamięci miał obraz Beretyczu, który leniwie, rozlany po równinie, przepływał przez Lacertę. Tam, wiele dni drogi od źródeł, Beretycz był poważną, powolną rzeką, której brzegów nie zdołały spiąć kamienne łuki mostów. Młody bakałarz nakładał te dwa obrazy i smakował zadziwiającą różnicę.

Wędrówki po Karbach nie zbliżyły go zbyt do tajemnicy smoków, ale z wielkim zainteresowaniem przyglądał się zamieszkującym góry ludziom. Dość szybko i niezauważenie przypadkowa znajomość z Berdą przedzierzgnęła się w początki przyjaźni. Również Ryś, zrazu trochę nieufny, zaakceptował Wrzośca. Po kilku dniach zaczął mu mówić po imieniu i przestał dwoić. Młody uczonek odebrał to jako przejaw sympatii.

Wkrótce miały jednak nastąpić wydarzenia, których nadejścia Wrzosiec nie przeczuwał, a które miały wciągnąć młodego człowieka z nizin w samo serce Smoczogór i ich tajemnic. Minęło zaledwie kilkanaście dni od powrotu Berdy na Zarąbek.

I wtedy zaczęły hulać wichry. Z początku nikogo to nie zdziwiło, jako że górale od pokoleń hartowani byli przez zmienną smoczogórską pogodę. Jednak wichury rozszalały się nad Karbami z niespotykaną siłą i złośliwością. Wiało od świtu do zmierzchu i przez całą noc, przez kilka dni z rzędu nie dało się wyjść z chałupy. Nadto było w tych wichrach coś nienaturalnego, gdyż głównie wyły po dolinach, oszczędzając odsłonięte zbocza i hale. W Smreczynach zerwało kilkanaście dachów, stało się nawet tak, że przewróciło jedną starą chałupę. Wichry ze złością wyrywały drzewa i burzyły wody Rudego Beretyczu.

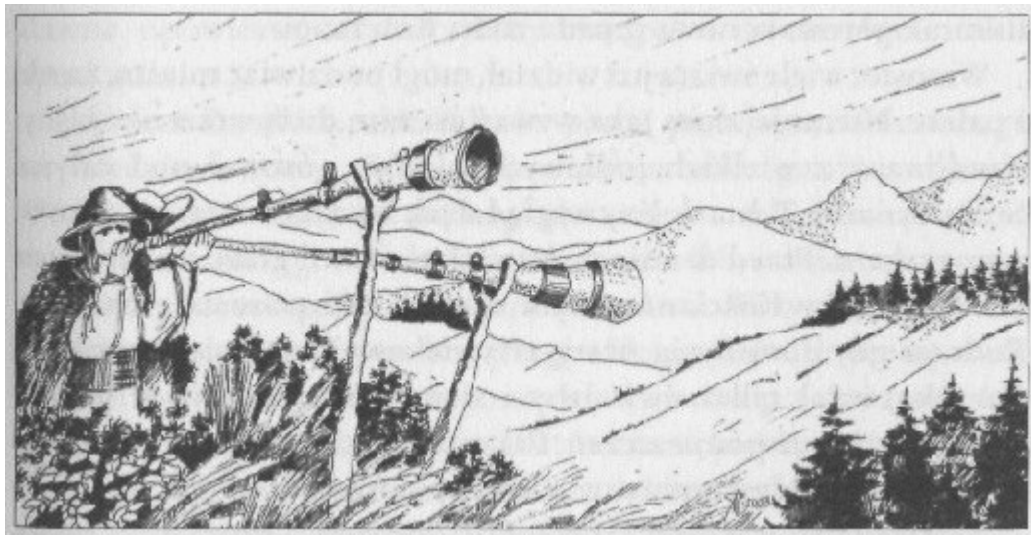
Nagle wszystko ucichło. Ludzie nieufnie wyściubiali nosy z chałup, ale powietrze stało nieruchomo. Żaden listek nie śmiał drgnąć w przydomowych sadach. Górale odetchnęli z ulgą. Ostrożnie wyszli przed domy i, wobec braku najlżejszego choćby podmuchu, zaczęli zachowywać się jak przed wichurami. Wypuścili na podwórka gęsi i kury, wystawili pościel na płoty. Niektórzy wzięli się do napraw uszkodzonych zagród, a wieczorami górale znów odwiedzali się w swych wychłostanych chałupach.

I wtedy znowu się zaczęło. Wichry uderzyły ze zdwojoną siłą. Wydawało się, że rozniosą Smreczyny na cztery strony świata. To już nie mogły być zwykłe wiatry. Stary Ryś żył dostatecznie długo, żeby móc to ocenić. To musiało być coś o wiele groźniejszego. Nie tyle gniew natury, ile

gniew Władcy Wichrów. Wówczas wszyscy mieszkańcy całej doliny Rudego Beretyczu, a więc nie tylko Smreczyn, ale też Zarąbka i rozproszonych po halach przysiółków, usłyszeli głosy trombit. To Jak, głowa rodu Kościanów, wzywał starszyznę na naradę.

Rozdział czwarty

w którym wszyscy radzą



Głosy trombit, którymi synowie Jaka zwoływali górali na radę, naznaczały porę spotkania na trzeci dzień. Wichry, chcąc nie chcąc, rozniosły wieści po całych Karbach i gazdowie z innych wsi mieli dość czasu, by wyruszyć do Smreczyn. Rzeczą była ważna i dotyczyła nie tylko Kościanów, więc w dolinie Rudego Beretyczu spodziewano się, że przybędą przedstawiciele innych starych góralskich rodów. A wichry rozkaprysiły się i przycichły nieco, choć parę razy pośród dnia dawały wyraźne znaki, że nie zamierzają zaprzestać nękania mieszkańców Smoczogór.

Aż nadszedł dzień rady i wczesnym wieczorem mieszkańcy Zarąbka wybrali się do domu Jaka. Wrzosiec nie był pewien, czy może uczestniczyć w spotkaniu, gdyż z rozmów zorientował się, że będą radzili tylko starzy i uznani gazdowie. Toteż kiedy górale zbierali się do drogi, zamierzał pozostać w chałupie, ale Ryś go przekonał.

– Jeszcze tak w Karbach nie było, żeby nam mądrość przeszkadzała. A ty przecież uczony jesteś, to i może pomoc jakąś wynajdziesz – powiedział, stojąc już na ganku.

Wieś leżała niedaleko przysiółka, wystarczyło zejść polaną w dół, a potem ścieżką przez las. Tak dochodziło się do koryta rzeki, wzdłuż której rozkładały się smreczyńskie gazdostwa. Idąc z nurtem Beretyczu,

dochodziło się do serca osady. Tam, ponad innymi zabudowaniami, na niewielkim wzgórzu, zwanym Gronikiem, dumnie górowała nowa graźda rodu Kościanów.

Wrzosiec wiele świata już widział, mógł podziwiać miasta, zamki i pałace. Niemniej dom Jaka wywarł na nim duże wrażenie. Jasny, zbudowany z wielkich jodłowych płazów, górował nad całymi Smreczynami. Z dna doliny wyglądał jak kasztel, otoczony warownym murem. Przed dziesięciu laty Jak postawił grażdę na miejscu starej siedziby Kościanów. Była większa niż pozostałe chałupy. Podczas gdy dom Rysia, stary, trzywiekowy i wrośnięty w ziemię Zarąbka, miał tylko dwie izby i sieni, główny budynek graźdy posiadał aż pięć pomieszczeń. Płazy nie zdążyły jeszcze ściemnieć i teraz niemal błyszcząły w wieczornej szarówce.

Z daleka rozlegał się gwar, gdyż do domostwa Kościanów ściągnęło wielu górali. Część z nich wiedziała dobrze, że nie zostaną wpuszczeni na radę, ale chcieli przysłuchiwać się rozmowom i móc jak najszybciej zanieść wieści w swoje strony. Ryś, Berda i Wrzosiec weszli na przestronne podwórze, z wszystkich stron zamknięte budynkami i drewnianym, zwartym ogrodzeniem. Tam kłębili się młodszy gazdowie, skupieni w niewielkich grupkach. Rozmawiali, przekrzykując się nawzajem, i snuli domysły dotyczące wichrów, każdy wydawał się mieć wspaniałą pomysł na zaradzenie niebezpieczeństwu. W ich głosach lęk przed nieznanym, bezlitosnym żywiołem mieszał się z góralską zawziętością. Kiedy Ryś przechodził między nimi, kierując się ku przyjaznemu światłu padającemu z izby, zebrani na podwórzu rozstępowali się z szacunkiem i kłaniali sędziwemu góralowi.

W progu stał Jak, który witał gości po kolei. Tam było już znacznie mniej tłoczno, gdyż wszyscy wiedzieli, że nie każdy będzie mógł wejść na radę. Jak Kościan pokłonił się Rysiovi i podziękował za przybycie. Ten uściskał go po ojcowsku i szepnął słowo wyjaśnienia w sprawie Wrzośca. Weszli do sieni.

W izbie siedzieli już najznamienitsi gazdowie. Część z nich zajęła miejsca na ławach, rozstawionych pod oknami, inni przysiadali przy długim cisowym stole. Stół pamiętał jeszcze starą grażdę, a rysy i zadrapania na jego blacie nosiły wspomnienia o minionych pokoleniach. Od wielu lat przy nim ród Kościanów jadał, pijał i radził. Gdyby ze słojów i sęków dało się odzyskać dawne opowieści, wystarczyłoby mądrości na niejedno takie spotkanie.

Goście z Zarąbka zasiedli koło pieca, pięknego, malowanego w

przedziwne sceny. Czekało jeszcze na kilku gazdów, dlatego Wrzosiec miał czas, by porozglądać się po zebranych. Byli to przeważnie starsi górale, którzy swą mądrością i doświadczeniem zasłużyli na szacunek całej społeczności. Wszyscy ubrali się odświętnie, w szare koszule z długimi kapturami, które opadały na plecy. Na koszule narzucone mieli serdaki, z owczych skór lub wełnianego sukna, bogato haftowane w piękne wzory. Każdy ród, jak szeptem wyjaśniał Berda, miał swoje własne zdobnictwo. Kościanowie barwili sukno na niebiesko, a we wzorach przeważała czerwień i żółć. Podobnie zamieszkujący Smreczyny Dziewięćsiłowie, choć ci woleli barwę zieloną. Na tym tle odznaczały się skromniej zdobione ubiory przybyłych z odleglejszych stron.

Górale mieli ostre, niemal orle rysy, jakby wysmagane wichrami. Przeważnie nosili długie włosy, niektórzy zaplatali je w dwa warkocze. Starcy chlubili się długimi, podobnymi Rysiom, bokobrodami, młodzi z lubością gładzili sumiaste wąsiska.

Wszyscy się dobrze znali, wymieniali najświeższymi wieściami i częstowali zwyczajowymi uprzejmościami. Wszyscy też oddali szacunek Rysiom, którego całe Karby uznawały za niepospolitego mędrca. Berda, wykorzystując przeciągające się oczekiwanie, przedstawiał zgromadzonym uczoneму z Lacerty.

Z rodu Kościanów, poza nimi i Jakiem, na radę przybyli dwaj synowie Jaka, mieszkający w Smreczynach, mianowicie Płaza i Hyrny. Pomiedzy nimi siedział prawie stuletni Kujawa z Grapy.

Berda zauważył nieobecność Gajdy, swego młodszego przyjaciela, którego Wrzosiec miał już okazję poznać podczas wspólnego muzykowania na ganku. Gajda był przygarniętym przez Jaka znajdą, nikt nie wiedział, skąd pochodził. Sam żartował, że podrzuciły go dziwożony. I być może nie był w tym daleki od prawdy. W Karbach często zdarzało się, że dzieci wychowywały się poza swymi rodzinami, podobnie wszak było z Berdą. Wielu górali, z różnych zresztą powodów, zostawiało swych bliskich. Zawsze w rodzie lub poza nim znalazł się ktoś, kto zajmował się osieroconymi dziećmi. Nie było też tak, że tacy jak Gajda byli traktowani gorzej niż synowie z krwi. Tradycja mówiła, że ojcostwo jest wyborem, ojciec wybiera syna, podobnie jak syn uznaje w nim ojca. I dlatego rody, choć wyrastające raczej z więzów krwi, były otwarte dla osób spoza nich. Jak lubił i cenił Gajdę, młodszego zresztą o wiele lat od jego własnych synów. Teraz jednak Gajdy nie było w izbie, widać wyruszył gdzieś i nie zdążył przybyć na wezwanie trombit. Był wziętym cieślą i wiele nowych

chałup w okolicy postawiono z jego pomocą. Zapewne zaproszono go gdzieś dalej do cieszki.

Po przeciwnej stronie izby zebrali się Dziewięćsiłowicze. Ród ten, nie tak znamienity jak Kościanów, zamieszkiwał Smreczyny, ale miał także poważanie w Południowych Karbach, zwłaszcza w dolinie Jaworzynki. Byli więc Jedla Krzepki, głowa Dziewięćsiłow smreczyńskich, Smyk i Zgarda. Z południa zaś przybył nie najmłodszy już Borsuk, zwany Jawornym. Stamtąd też przywędrowali gazdowie z rodu Jarców, mianowicie Głuhan i Gawra. Byli również górale z rodu Cisnych, który żył w najdalej na zachód wysuniętych pasmach Karbów, w dolinie Cisowego Potoku. W całych Smoczogórach podziwiano ich odwagę i żałowano ich smutnego losu. Ich bowiem najbardziej dotknęły wrogie działania króla Lacerty, oni najwięcej ucierpieli, a ci spośród Cisnych, którzy zamieszkiwali stoki Bukowiny, zostali zmuszeni do porzucenia swoich domów i schronienia się w głębi gór. Od wielu lat nową granicą pomiędzy Lacertą a Smoczogórami stał się Cisowy Potok. Stamtąd właśnie przybyli Kydryna i Jaga. Jaga, piękna, harda góralka, była jedyną kobietą zaproszoną na radę. Nie było wcześniej takiego obyczaju i niektórzy starsi gazdowie szemrali na jej widok. Jednakże Jak wiedział, że wspomagała Cisnych nie tylko mądrością, ale też swym ramieniem, przez co zdobyła wśród swojego ludu szacunek i uznanie. Nie było nikogo z Kośnych, wioski leżącej przy królewskim trakcie, u samych podnóży Chochola, ani też gazdów z Moczarek, które znajdowały się za Równią. Wszyscy jednak wiedzieli, że górale stamtąd i tak nie zdążyliby dotrzeć do Smreczyn. A sprawa była pilna i nie można było dłużej zwlekać.

Starzy spokojnie pykali fajki, bez zniecierpliwienia czekając na początek rady. Wreszcie Jak zamknął drzwi do izby i krótko przywitał zebranych.

– Widzimy wszyscy, że jest źle. A jak jest źle, to nie jest dobrze. Wichry dują i coś mi się widzi, że nie jest to zwyczajne wycie. O coś im chodzi. Dlatego wezwałem was tu, byśmy wspólnie radzili nad tym. Bo jak nie jest dobrze, to trzeba zrobić tak, by było. – Jak urwał i zasiadł za stołem. – Radźcie, radźcie mądrze.

Wszyscy czekali, że głos zabierze Ryś, jako najstarszy i najmądrszy pomiędzy nimi, jednak stary Kościan tylko pykał fajeczkę i pogodnym spojrzeniem zapraszał do głosu młodszych od siebie. Tak więc odezwał się Kujawa z Grapy:

– Od wielu dni wichry niemiłosiernie dują. Powie kto, że zawsze w

górach wieje. Ale tu, w Smreczynach, nie jest to zwyczajne wianie. Nadchodzi w porze, kiedy zawsze spokojnie bywało. Szkód narobiło się dużo, a będzie pewnie więcej. Nie czas, by przerywać żniwa, ale jak dalej chodzić ku sianu, ku owsu? Wszystko, co zżęte, i tak wiatr porozkurza. Jak potrwa to jeszcze trochę, to głód na nas przyjdzie, bo żniw dobrze nie pokonczymy. No i widzi nam się, że to dziwne wichry. Pewnie się Władca Wichrów na coś rozeźlił, coś mu zawiniliśmy. Tylko jak rozeznąć, co? I jak go przyłagodzić?

Na to odezwał się Kydryna z rodu Cisnych:

– Było tak, jak nasi dziadowie pamięcią sięgają, że jak wiało, to wszędzie. Wpierw duło po Karbach Północnych, za dzień w Południowych, a na trzeci mierzwiła się czupryna na Bukowinie. A teraz tak się porobiło, że jedynie was w Smreczynach domęczyło. Jak szliśmy tu z Jagą, to droga wypadła przez Łysy Wierch i dalej, stokami Garbacza. A tam cisza, spokój. Garbacz tylko łeb zwiesił, jak senny niedźwiedź, ale wichry go omijają. A tu, w dolinie Rudego, wyje jakby się chciało wściec. – Kydryna przerwał, a zza okien doszły złowrogie świsty. – I tak mi się myśli, że to wichry niezwykłe, bo cały świat omijają. Chyba kara, tylko za co? To już się siebie musicie popytać. My wam pomożemy, jak będzie trzeba, ale jak?

– Prawdę pewnie gadają Kydryna, bo u nas nad Jaworzynką też cichość – odezwał się Gawra Jarzec. – A kiedy trombity z wezwaniem zagrały, to nawet rozpytywaliśmy po sobie, skąd lęk w sercu dzielnego Jaka. Wybaczcie śmiałość – Gawra skłonił się gospodarzowi. – Ale jak do Beretyczu doszliśmy, to nas te pytania odeszły. Inne przyszły, lecz odpowiedzi nie mamy.

– Tak więc już coś wiemy – odezwał się Jak. – Wiemy, że źle dzieje się tylko u nas. To rzeczywiście niezwykłe wichry być muszą. Ale przez to wcale nam lżej nie jest. Radźcie, co dalej.

Znów zapadła cisza. Zaokienne świsty zagłuszały ciche szepty gazdów, którzy wpierw naradzali się pomiędzy sobą. W pewnym momencie któryś powiedział:

– Nie dość, że duje, to jeszcze sucho.

– Wpierw będziemy radzić, a potem pić – szybko odparował gospodarz.

Wtedy Berda wyjął z kaptura gęśliki i zaczął cicho grać. Nie grał do tańca, tylko ciche, wierchowe i staroświeckie nuty. Górale z zadowoleniem pokiwali głowami, gdyż przy muzyce wszystko im wychodziło lepiej, nawet myślenie. Niektórzy zaczęli się lekko kiwać, inni bezgłośnie uderzali kierpcami o podłogę. Gazdowie zbierali się do rady.

– Zawsze było tak – przerwał milczenie Jedla z Dziewięcisiłów – że jak wiało, to się chłopcy wieszali. Taka żałość przychodziła na człeka, taki snuj, że życie mu brzydło. Chodzili co poniektórzy pomiędzy chałupami i wyli z bólu. Bo od wichrów to się czasem wielka rozpadlina w duszy robi. No i bywało, że się wieszali. Zawsze to żal, a i chłopca szkoda. Ale cóż zrobisz? Lepiej, żeby się obwiesił, niż z rozpadliną przez lata żył i jeszcze innym życie truł. I teraz tak jest, że wichry snuje przynoszą, a od tego to się co poniektórym żyć odehciewa. Tylko że wieszać się nie mogą. Kilku u nas, w Smreczynach, już próbowało. Jednemu się sznurek urwał, innego podduśło, ale dodusić to nie chciało. Było też tak, że się Samkowi od Dziewięcisiłów z Grapy sosrąb nad nim rozpekł i chłopca przywalił. Baba, co akurat kury zaganiała, spod belek go wyratowała. Ale teraz Samek, co mu mowę odebrało, na progu siedzi i tępo w dal patrzy. Ku Pustaci z żałością wygląda, a zabić się nie może. I o to idzie, że nie ma w tym nijakiej sprawiedliwości. Bo że wieje – górskie prawo wiać. Że szkody robi – zawsze wichry nam wadziły. Ale żeby sobie spokojnie umrzeć nie było można? To się nie godzi. I skąd tak? Pytać można, lecz teraz to jak szukać wiatru w polu.

Górale zaczęli pomrukiwać, widać coś było na rzeczy. Berda grał cicho, a oczy wszystkich zwróciły się na Starego Rysia. Czas dojrzał, by głos zabrał najmędrszy z nich.

– Prawdę gada Jedla, nie da się wieszać. Ja bym się tym nie martwił, bo nie widzę jakiegoś wielkiego dobra w wieszaniu. Ale rzecz jest poważna. Nie wiem jeszcze, czy łączyć wichry z wieszaniem, choć widzi mi się, że coś na rzeczy jest. Dzieje się tak, że od kilku lat nikt w Smreczynach nie umarł. Może przez omyłkę, może śmierć gdzie indziej zajęta, a może nie. Nie umierali przez kilka lat, to i dziś wieszać się nie mogą. Tylko coś mi się tu nie podoba. Mówicie, że wianie to kara Władcy Wichrów. Może i prawda. Najprościej byłoby samego Władcy rozpytać, o co mu chodzi. Ale myślę tak: jak kara, to i wina była, jak wina, to i winny. Władca surowy jest, lecz i mądry, karze tylko winnego. A co to za kara, jak winny nie wie, że jest winny? To krzywda jedynie, nie kara. Dlatego sądzę, że chyba wiemy, cośmy zawinili, tylko to ukrywamy. Kara na Smreczyny spadła. Rozglądnijmy się po sobie, cóż takiego mogło gniew i wichry ściągnąć?

Ryś zawiesił głos i powiódł wzrokiem po zebranych gazdach. Ci z uznaniem pokiwali głowami. Ryś mądrze prawił, a przecież na to wszyscy czekali. Starzec odezwał się znowu:

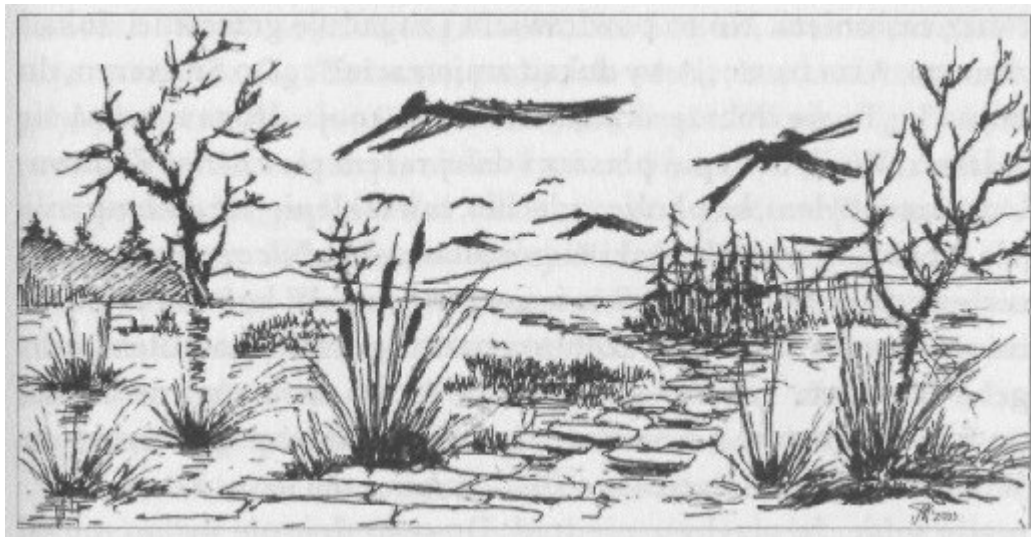
– Najlepszą karą za wielkie winy jest śmierć. Ten, kto Władcy Wichrów

pobruździł, powinien zostać zabity. Tak zawsze było i to było dobre. Winien jesteś, to płąć. A tu nagle karze się całe rody, całe wsie i przysiółki. Widać coś przeszkadza Władcy Wichrów, by naprawdę winnego sprawiedliwie ukarać. Bo chyba nie może być tak, że wszyscy, młodzi i starzy, Władcy zaszkodzili? Ale jemu coś przeszkadza. Może to, że zabić nie może, bo i tak nikt nie umiera. I tak dzieje się potem nieszczęście takiego Samka, pewnie niezawinione. Po mojemu to jest tak, że ktoś tu przed nami coś ukrywa. I dopóki nie dowiemy się, co to takiego, żadna rada nie będzie dobra. No, tyle wam mogę rzec.

Ryś zakończył swą mowę i przenikliwym wzrokiem powiódł po zebranych. Wrzosiec znał już to spojrzenie, pełne głębokiej mądrości. Krótko wprowadzie znał Rysia, ale zaczynał podejrzewać, że stary góral wie o wiele więcej, niż mówi, że swymi słowami jedynie udziela części swej wiedzy. Zamiast prowadzić do celu, tylko wskazuje drogę.

Rozdział piąty

w którym pojawia się Śmierć i ktoś musi ją wziąć na własne ramiona



Ten, kto czuł się winny, dość długo zbierał się w sobie. Powietrze w izbie zsiniało od fajkowego dymu. Ryś dalej wodził wzrokiem po zebranych. Wrzosiec spostrzegł, że szczególnie uważnie przypatrywał się Smykowi z rodu Dziewięćsiłów. Ale mogło mu się tylko wydawać. Dym gryzł w oczy. Powietrze było ciężkie, napięte jak przestrojona struna. Wreszcie ktoś chrząknął. Smyk opróżnił fajkę z popiołu, schował do kieszeni serdaka i rzekł:

– Ja tam nie wiem, czy to, co powiem, łączy się z wichrami. Po mojemu nie. Ale jak mogę pomóc, to pomogę.

Przerwał, lecz kiedy zauważył, że zebrani gotowi są wysłuchać jego opowieści, zaczął ponownie. Nawet Berda przestał grać i odwiesił gęśliki na kołek.

– Było tak, że parę років temu wracałem z Moczarek. Będzie z tuzin. Syn mi się tam ożenił, to i odwiedzam go czasami. A śpieszyłem się do domu, bo sprawy miałem ważne. I jakoś nie uśmiechało mi się kierpców zdzierać królewskim traktem. To sobie pomyślałem, że pójde przez Rówień. Chodziłem tamtędy w młodości, to nie bałem się moczarów jak inni. Jest tam kawałek starej kamiennej drogi, co ją chyba, jak powiadają, sztolnicy przed wiekami porobili. Jak się strach pokona i zanurzy w Pustać, to można

na drogę natrafić i prawie przez calutki czas po kamieniach iść, omijając złe trzęsawiska. Idę sobie ja, idę, pod nosem dla rażności przyśpiewuję, a tu przy drodze jakiś wędrowiec siedzi. Takie chucherko, kapturem twarz zasłonięta. No to pozdrawiam i zagaduję grzecznie, dokąd zmierza. A on na to: „A wy dokąd zmierzacie?”. „Do Smreczyn, do domu”. „To się dobrze składa, mówi, bo moja droga z waszą się splata”. Wstał, otrzepał płaszcz i dalej razem poszliśmy. Zadowolony nawet byłem, bo okolica zdechła, zawsze lepiej iść w kompanii. Ale mój towarzysz jakiś taki nierozmowny był. Nic nie gada, to i ja nie nalegam. Milczymy sobie i maszerujemy. W końcu tak pusto mi się i zimno koło serca zrobiło i naraz potrzebę poczułem, żeby gębę otworzyć. Tylko o czym gadać? Pytam więc, czy nie boi się po Równi wędrować, a on na to, że nawykły. Ale spojrzał na mnie. Wtedy zobaczyłem jego twarz. Błada jakaś, taka wymoknięta, toteż myślę sobie, że przybysz nie stąd. Do tego dziwnie wolno mówił i jakby nie po naszymu. A ten pyta się, czy się żertw nie boję. To odpowiadam, że nie chciałbym spotkać, bo paskudne, ale bać to się nie boję, bo one przecież padliną się żywią. A ja żyję, to i strachu nie mam. Wtedy on mi na to tak: „Dłużej z tobą się nie będę, Smyku, drażnił, tylko prosto powiem. Jestem Śmierć i po ciebie przyszedłem. Szykuj się, bo do domu już dziś nie dojdiesz”. I wtedy zrozumiałem, o co mu z żertwami chodziło. I smutno mi się zrobiło, kiedy sobie pomyślałem, że mi Kostuch duszę od ciała rozłączy, a to stare Smykowe ciało samo zostanie na Pustaci, żeby żertwy miały używanie. Ale nic nie mówię, tylko idziemy w milczeniu. Wiem, że do krańca Równi jeszcze kawałek drogi, a już się szaro robiło. Ja więc przemyśliwuję sobie, jakby śmierć odwlec. I taka mnie wtedy naszła tęsknota za życiem, że za nic nie mogłem myśli zebrać.

Smyk przerwał, słychać było, że mu język zasycha w gardle. Szybko podano mu kubek z wodą. Wypił łapczywie, jakby wrócił z długiej i męczącej wędrowki. Wreszcie zebrał się w sobie, by podjąć przerwana opowieść.

– Idziemy sobie, idziemy, a tu nagle Śmierć się odzywa: „No, Smyku, czas wyprzęgać”. No to odpowiadam: „Na każdego przychodzi czas. Ale jak mnie już macie, to się przecież wam nie wywinę. Pozwólcie, panie, że sobie choć w myślach prześpiewam taką pieśń, co mnie ojciec uczył. Żal odchodzić bez muzyki”. Kostuch się zgodził. Znowu szliśmy w milczeniu, a ja myślę dalej, co tu zrobić. Upłynęło sporo czasu, cierpliwość końską miał ten Kostuch. Wreszcie znów zagaduje: „No, Smyku, czas wyprzęgać”. A ja mu na to: „Zgadza się, panie, ale wicie, bardzo bym prosił, gdybyśmy

mogli z tej Pustaci na łąkę wyjść. Wtedy i góry bym przed śmiercią zobaczył, może ktoś ze Smreczyn ciało znajdzie, to i pochowają godnie. Żal tak umierać i gnić na Pustaci”. No i znów się zgodził. Idziemy dalej. Prawie ciemno już było, jak z lasu wyszliśmy. Ale jeszcze w ostatniej szarości dnia zobaczyłem Garbacz i Karby, a w oddali światełka okien, bo do wioski już niedaleko było. Tak mnie w dołku ścisnęło, że aż łzy do oczu napłynęły. Ej, żal umierać! I wtedy Kostuch znów się odezwał: „No, Smyku, czas wypręgać”. Odpowiedziałem: „A czas. Wy się na swej robocie znacie, wnet moją duszyczkę od ciała oddzielicie. Ej, lepiej jej będzie bez starego Smyka. Ale jedno musicie wiedzieć. Ja dudziarz jestem i swoje dudy ze sobą mam. I tak się z tą muzyką zrośliśmy, że czuję, że ja część duszy w tych dudach zostawiłem. No i ta moja duszyczka, co w ciele mieszka, taka pokaleczona by była. Tak też prośbę mam ostatnią, wydobądźcie tę drobinę malutką z dud, a potem, kiedy już śmierć mi ześlecie, poklejcie z moją. Zawsze to lepiej będzie. A żal umierać, wiedząc, że dusza pokaleczona”. Skończyłem i widzę, że się Kostuch wzruszył. Siadł na pniaku i chlipie. Siedzę więc cicho i nic nie mówię. Wreszcie ten się odzywa: „Dawaj, Smyku, te dudy, źle duszyczce w kawałkach, źle”. No to ja kożę wyciągam i mu daję. Wpierw tam zaglądnął, ale nic nie zobaczył. Mówię mu, że duszę trudno zobaczyć, a co dopiero taką drobinę. Więc piszczałkę wyjął i chudą łapą w środku wora grzebie. I mówi, że nic nie czuje. Ja mu na to, że przecież niełatwo duszę palcami ucapić. No to włożył do środka, ledwie się zmieścił. Ale chudy był, to i cały się schował. A ja wtedy z torby wyciągnąłem dębowe szpunty, co sobie do beczek przygotowałem, i raz dwa, wszystkie dziury w kozie zatkałem. Pogruchotało, poklekotało, aż wreszcie odpuścił i przestał się ruszać. Przerzuciłem więc kożę przez gałąź na skraju lasu i wesoło wróciłem do domu.

– I to koniec? – zapytał Jak, kiedy Smyk zamilkł.

– Niby tak, a niby nie. Bo minęło parę dni, a mnie niepokoić zaczęło, że jeszcze ktoś tamtędy będzie przechodził, dudy zobaczy i śmierć przez omyłkę wypuści. A wtedy Kostuch o mnie się upomni i dopiero mi śmierć przyszykuje. Więc przyniosłem kożę do chałupy i w szopie dobrze za deskami ukryłem. Sam, dudów już do grania nie mając, do gęślików się wzięłem i, no nie będę szklił, całkiem nieźle mi szło. Przez to żal był mniejszy, choć się z kózką zżyłem, nie powiem. Rok jakiś minął, a przez ten czas nikt nie umarł. Nie to, że bym komuś liczył, ale parę starych to by się w okolicy znalazło. Wtedy sobie pomyślałem, że może to przez moje targi ze

śmiercią teraz już nikt nie będzie umierał. Niby dobrze, bo zawsze to ludzi szkoda, ale też dobrze nie bardzo, bo jak by to było, kiedy wszyscy na kupie by żyli? Nie starczyłoby miejsca dla młodych. Cóż tu dużo gadać, nie wiedziałem, co robić, więc Staremu Rysiowi dudy podrzuciłem. A że Ryś mądry, to sobie poradzą, tak myślałem. A nawet jak Kostuch jaką dziurę paluchem wywierci, to na młodego przecież nie trafi. No i oddałem kózkę. Ot i moja opowieść.

– Prawda to, Rysiu, że u was są Smykowe dudy?

– Prawda, wiszą u krokwi i widać Śmierć nie uciekła, bo ja żyję, a i od tamtego czasu nikt inny nie umarł.

– I co teraz z nami będzie? – zapytał Jedla.

– Może być tak, że wichry to jest za tę Śmierć zemsta – odpowiedział Stary Ryś. – Ponoć Władca Wichrów ze Śmiercią dobrze nigdy nie żyli, ale przecież w naturze jakiś porządek być musi. Nic dziwnego, że się rozeźlił i o ten porządek upomniał. A co będzie, tego nie wiem.

– Ja to się tobie, Smyku, nie dziwię – Jak przemówił w imieniu Kościanów. – Bo głupi jesteś, toś i głupio zrobił. Ale jak już te dudy tak nieładnie podrzucałeś Rysiowi, to mogłeś o radę zapytać. Kłopotu by nie było. A tak, gniew słuszny Władcy Wichrów sprowadziłeś. I to nie koniec, bo co będzie, jak się Śmierć uwolni? Chyba trzeba będzie jej pomóc, bo sama nie wylezie, a przecież nie godzi się tak, w ogóle nie umierać. A kara może być wielka. Tyle że na nas wszystkich ją sprowadziłeś, nie tylko na siebie. A swoje długi samemu trzeba płacić.

Wrzosiec do tej pory znał jedynie dobroduszość i wesołość górali ze Smoczogór. Teraz miał poznać surowość ich praw. Spojrzał na Smyka, który skulił się w kącie. Zdawał się tak malutki, że gotów był się schować do worka od dud. I wtedy przemówił Jedla, za wszystkich Dziewięćsiłów. Minę miał poważną i srogą, a głos mu lekko drżał.

– Toś sobie ze Śmiercią poigrał, głupi Smyku. Zabieraj się stąd, bo cię tu już nie potrzeba. I nie szukaj w Karbach pomocy, bo cię nikt nie przyjmie. Zabieraj się.

Smyk wstał i cicho, bez słowa, opuścił dom Jaka. A ci, którzy czekali przed grażdą, zobaczyli, jak skulony zszedł z Gronika i zniknął w ciemnościach.

– A nam trzeba uradzić, co dalej. Radźcie, Rysiu – Jedla oddał głos staremu góralowi.

– No przecież nie wymyślę nic więcej niż wy sami. Trzeba Śmierć wypuścić i poczekać. Może Władcy Wichrów gniew przejdzie. Jak nie, to

będziemy radzić dalej. Ale nie byłoby mądrze uwolnić ją tu, w Smreczynach, bo pewne jest, że kosić zacznie z tej zapiekłej na Smyka nienawiści. Przez te lata to niechybnie taką zemstę obmyśliła, że hej. I wiele duszyczek od ciał odetnie, nie tylko starych, jako moja. Szkoda będzie, bo pusto się zrobi w Smreczynach, pusto. Dlatego moja rada jest taka, by wypuścić ją gdzieś na pustkowiu. Z dala od wiosek, z dala od ludzi. Jak odpocznie, sił nabierze, to może jej trochę złość minie. Bez trupów się nie obejdzie, ale może będzie biedaków mniej, albo co? I tak sobie teraz myślę, że warto na Czartak iść. Tam pusto, nikogo nie ma. A i groby nasze blisko, to Śmierć się dobrze poczuje. Na Magurze kości rozprostuje, między swoimi, to może wtedy i gniew jej przejdzie, albo chociaż zelżeje. Trzeba wziąć Śmierć na ramiona, wspiąć się na szczyt Czartaku i stamtąd w przepaść, na stronę Mogielnicy, zrzucić. Taka moja rada.

Gazdowie nic głośno nie powiedzieli, tylko w grupkach szeptali nad pomysłem Rysia. Wyprawa na północ była ryzykowna, ale innego rozwiązania nikt nie widział. Wtedy odezwał się Jak:

– To kto pójdzie?

I tu zapadła cisza. Wreszcie głos zabrał Jedla:

– Po sprawiedliwości, to powinien iść Smyk. Jego wina, jego kara. Ale wygnaliśmy go ze Smreczyn i Karbów i nie będziemy go więcej oglądać. A ja bym mu i tak nie zaufałam i naszego losu w jego ręce nie dałam. On ma swoje z Kostuchem porachunki, to bałby się mocniej niż inni. Wiem, że najlepiej widzielibyście kogoś z Dziewięćsiłów. Smyk z nas był, to i wina bardziej nasza niż innych. Mówcie więc.

– Tu nie o winę idzie – znów przemówił Stary Ryś. Jego głos dźwięczał uroczyście. – Nie o winę, ale o nasze dobro. To trudna wyprawa, bo trzeba wiele wiedzieć, by wszystko wypełnić. Może nie starczy worek wyrzucić, może przyjdzie się ze Śmiercią na słowa mierzyć. A wtedy trzeba wiele starodawnych, odwiecznych pieśni znać, wiele starych opowieści, z których należy właściwe słowa wyławiać. To wyprawa dla gęślarza, a nie dla byle śmiałka.

Wrzosiec zauważył, że gazdowie nagle wypuścili powietrze. W izbie zaczęto szeptać, bo część z nich wiedziała, do czego zmierza starzec.

– Sam bym poszedł, bo mi życia nie żal. Już mi się uprzykrzyło i Śmierci się nie lękam. Chętnie bym sobie z nią pogadał. Może i trochę racji miał głupi Smyk... Jednak za stary jestem. Może na Zarąbek wyjść potrafię, może i na Garbacz mógłbym się wspiąć, ale nie na Czartak. Wiem, że nawet do Świstowej Przełęczki nie dotrę. Tu trzeba kogoś i mądrego, i młodego.

Przerwał i poważnie spojrzał na Berdę.

– Powiedz mi, synuś, zgadzasz się wziąć Śmierć na ramiona, wspiąć na szczyt Czartaku i stamtąd ją w przepaść, na stronę Mogielnicy, zrzucić?

A Berda, choć pobladł lekko, stanowczym głosem odparł:

– Dziadku, spróbuję wziąć Śmierć na ramiona, wspiąć się na szczyt Czartaku i stamtąd ją w przepaść, na stronę Mogielnicy, zrzucić. Bo to nie tylko jest sprawa z gniewem Władcy Wichrów. Boimy się jego kary, lecz bardziej boimy się Śmierci. Ale idzie przede wszystkim o porządek rzeczy. Człek jest tak pomyślany, że musi kiedyś umrzeć. I nie nam się ze Śmiercią targować.

Wszyscy odetchnęli. Powietrze w izbie jakby się nieco rozrzedziło. Gazdowie podchodzili do Berdy i dziękowali mu, otwarto drzwi, by przekazać wieści tym, którzy czekali przed grażdą. Powiew wiatru wygonił z domu Jaka narosłe przez cały ten czas napięcie. Wtedy też gospodarz wstał i przekrzykując górali, powiedział:

– Jak jest rada, to będzie i piwo. A i zdrowie Berdy wypić należy.

Na ten znak wtoczono do izby beczkę, a kobiety z rodu Kościanów szybko roznosiły czarki. Berda, widząc zdziwienie w oczach Wrzośca, odparł wesoło:

– Co ma być, to i tak będzie. Więc piwo nikomu już bardziej nie zaszkodzi. No, chyba że ktoś przesadzi.

Przy kolejnych beczkach górale rozprawiali do późnej nocy. I tak zakończyła się rada w domu Jaka, głowy rodu Kościanów. I nawet wichry pognały gdzieś daleko, bo złowrogi świst niezauważenie ustał.

Rozdział szósty

w którym Wrzosiec zapytuje, Ryś mu odpowiada,
a Berda czasem coś dorzuca do ognia



Wracali w dobrym nastroju, piwo rozwiało wątpliwości. Noc była pełna, dojrzała, sklepienie migotało gwiazdami w rytm muzyki polnych koników. Wichry i strach o przyszłość nie dotrzymały im kroku, straciły oddech i przycupnęły gdzieś w ciemności przy drodze. Jednak na Zarąbek trzeba się było nieco wspiąć i wszyscy, zwłaszcza Stary Ryś, musieli to odczuć. A po drodze i piwo gdzieś wywietrzało, i wątpliwości znów ich dopadły.

Tak dotarli do chałupy, która wyrwana z letniego snu miała stać się świadkiem dalszych rozmów. Prawdę powiedziawszy, to rozmiłowany w rozmowach Ryś raczej myślał o odpoczynku, ale Wrzosiec kręcił się nieswojo. Zanosilo się na długą dyskusję. Uczony z Lacerty to wypytywał o jakieś szczegóły wystroju izby Jaka, to o drobiazgi związane ze zdobieniem góralskiego stroju.

– Kluczysz jak zając w polu – stary góral nie wytrzymał i przerwał w pewnym momencie. – A godzina późna i ani mi się widzi cię ścigać. Więc mów, chłopcze, o co ci naprawdę chodzi, albo pozwól staremu człowiekowi pospać trochę.

– Bo widzicie, Rysiu. Ja was bardzo cenię i szanuję. Z uwagą słucham wszystkiego, o czym mówicie. Wielka jest wasza mądrość. Lecz nie potrafię

się zgodzić na to...

– Dziękuję za dobre słowo, ale moja przenikliwość już od dawna pochrapuje gdzieś w kącie, dlatego proszę cię, uczony chłopcze, powiedz, o co ci chodzi.

Wrzosiec zaczerpnął powietrza.

– Ja po prostu nie wierzę, że w tych dudach siedzi Śmierć. Że Smyk ją tam uwięził, że przez to ludzie nie umierają, że Władca Wichrów się gniewa. Po prostu w to nie wierzę.

– A w co wierzysz, drogi chłopcze?

– Wierzę, że śmierć jest kresem naszego życia, a nie żadną osobą, z którą można się przekomarzać. Tak jest jedynie w pieśniach i opowieściach. Naprawdę Śmierci nie ma – to tylko ludzie umierają. I droga Berdy na Czartak nic nie da. Tak sądzę.

– Kiedy mówisz o pieśniach, to masz na myśli bajki, pleciugi i zmyślenia. Skoro w nich nie ma prawdy, to gdzie jej szukasz?

Wrzosiec spojrzał na Rysia ostrożnie.

– W Akademii nauczono mnie korzystać z rozumu. Z rozumu i doświadczenia. Patrę, a co widzę, zapamiętuję. Dalej porównuję to w umyśle i zestawiam pojęcia ze sobą. Ja Śmierci nie widziałem, nikt jej nie widział. Wedle rozumu, to w worku żadnej Śmierci nie ma. Bo gdyby była, to od przygody Smyka nikt by na całym świecie nie umarł.

– A umarł?

– Na pewno, choćby w Lacercie, co chwila ktoś umiera. A to dziecko przy porodzie, a to matka w połogu. Starcy, chorzy, nawet zdrowi i młodzi też czasem umierają.

– I czego to dowodzi?

– Tego, że różnie może dziać się z wnętrzem tego worka, ale na pewno nie ma tam waszej Śmierci.

– A może siedzi tam nasza, smoczogórska Śmierć? Wy macie swoją w Lacercie, taką miejską i nizinną, my mamy swoją, góralską. I właśnie tę Smyk uwięził przez głupotę.

– Wiecie co, Rysiu? A może to była tylko Smyka Śmierć? I on nie umrze, dopóki ta siedzi w worze. Ale nie ma to żadnego związku z gniewem... to znaczy z wichrami. Sami mówiliście, że Smyk jest strasznie głupi. A w jego historyjkę pierwsi uwierzyliście.

– Bo widzisz, Wrzosiec, on jest na tyle głupi, że sam tego na pewno nie wymyślił. A jak nie wymyślił, to albo od kogo usłyszał, albo i sam przeżył. Usłyszeć nie mógł, bo ja bym pierwszy tę opowieść znał, a nie znałem.

Więc sam przeżył. A zatem rozum każe nam wierzyć, że w dudach siedzi Śmierć. I tyle.

– Wybaczcie, drogi Rysiu, ale wasze rozumowanie nie zadowoliłoby moich mistrzów z Lacerty. I mnie też nie przekonało.

– No to sprawdzimy twoją uczoność. – Ryś uśmiechnął się łagodnie. – Synuś, przynieś kózkę ze stryszku, pooglądamy sobie Śmierć, co jej nie ma.

Zamilkli w oczekiwaniu. Przez uchylone drzwi do sieni wkradała się noc. Zarąbek usypiał kołyszany szumem drzew. Po chwili na stole przed nimi leżał skórzany worek, pozatykany szpuntami, jak go przed kilkoma laty przyniósł Smyk.

– Zbrudził się trochę i jakby skruszał od tego wiszenia – zauważył Berda.

– Ma Kostuch za swoje. Do tej pory tylko odwiedzał wisielców, teraz sam kołysał się na stryszku jak truchło na stryczku. Nie zaszkodzi mu. No, Wrzosiec, jakieś taki mądry, to wypuść powietrze z wora.

Bakałarz Akademii w Lacercie ostrożnie wziął dudy w rękę, potrząsnął lekko. Koźli worek zagruchotał lekko, jakby stare kości uderzały o siebie.

– Pewnie stary coś do środka napchał. Albo żona mu kości z rosołu nawrzucała, żeby go wystraszyć. Bo kiedy on gra tak, jak opowiadacie, to się babie nie dziwię – Wrzosiec żartował, ale głos mu lekko drżał.

– Śmiało, strażniku rozumu. Przecież wierzysz, że nic ci nie grozi. Wyciągnij szpunt, najwyżej trochę pośmierdzi. Z rosołem czy bez, stary cap musiał się trochę zatechnąć.

Wrzosiec jednak odłożył dudy. Ryś odezwał się spokojnie:

– Widzisz chłopcze, źle z tobą. W Śmierć nie wierzysz, ale wypuścić powietrze z wora się boisz. To chyba nie jest rozumne. Co innego my. W Śmierć, w tych dudach uwięzioną, wierzymy. I mamy się czego bać.

– Bać się nie boję, ale was mi żal, bo jak to wasza, smoczogórska Śmierć, to mnie nic nie robi, nie ma prawa. Was jednak może z gniewu ułapić. I pusto się robi tej nocy na całym Zarąbku. Ale żeby pokazać, jak jest naprawdę, to wyruszę razem z Berdą na Czartak i wypuszczaniu powietrza z wora będę towarzyszył. A potem opiszę, jak było. Czy jakiś Kostuch pokurczony od niewoli wyskoczył, czy też zaśmierdziało kośćmi z rosołu?

Ryś się zaśmiał.

– Niech i tak będzie, twoja wola. Racji nie masz, aleś się po góralsku wykpił. Szybko się po naszymu uczysz, więc uważaj, żebyś się po drodze naszych strachów bać nie zaczął.

Berda, który krzątał się przy piecu i właśnie kończył przygotowywać napar z ususzonych przez Liszkę ziół, zapytał:

– Wrzosiec, powiedz mi tak po prostu. Skoro w nasze opowieści nie wierzysz, to po coś tu przywędrował? Skoro Śmierci nie uznajesz, to tym bardziej w smoki nie wierzysz ani w skrzaty, a nasze opowieści masz za nic. Po co więc czas w Smoczogórach marnujesz?

– W smoki i skrzaty nie wierzę, to prawda. Ale uczony jest zobowiązany nie do wierzenia, lecz do badania. O smokach różni różnie piszą, wiele ksiąg i pieśni się im poświęca, więc postanowiłem sprawdzić, jak się rzeczy mają. Mówiliście sami, że smoki dawno temu wymarły z nudów. Macie jednak o nich opowieści, ponadto słyszałem od was o żertwach i mówiących węzach. I to rodzi wiele pytań. Skąd te pieśni, dlaczego mówią o jakichś smokach? Czy takowe kiedyś żyły, czy też istnieją tylko w waszej, wybaczcie dobry ludzie, wyobraźni. I jako uczony to wszystko chcę sprawdzić. I kiedy powrócę do Lacerty i przedstawię mistrzom Akademii wyniki mych poszukiwań, to nie powiem, że nie wierzę w smoki, tylko że wiem na pewno, że ich nie ma.

– Albo że są – dodał Ryś. – Przecież dopiero zacząłeś te swoje badania.

– Albo, albo. I to właśnie zamierzam zbadać. W świetle prawideł rozumu, rzecz jasna.

Na to odezwał się Berda:

– Przyjacielu, my też w Karbach rozumu używamy. A ten wasz, niziny, jakiś biedny być musi, skoro do dziś nie wie o tym, jak to jest ze smokami. Bo nasze pieśni już od wieków przekazują nam o tym swoje prawdy.

– Synuś, z ich rozumem jest jeszcze gorzej! On co kilka lat nowe teorie podaje i na nowo cały świat tłumaczy. Co jakiś czas jakiś nowy uczony przekonuje innych mądrych mężów, że znalazł klucz do zrozumienia świata. I przez parę lat chodzi w chwale mędrca, aż go jego własny uczeń prześcignie. I znów jest przewrót pomiędzy akademikami. Mało to rozumne, tak co chwila zdanie zmieniać.

Wrzosiec spojrział na Rysia zaskoczony.

– Skąd takie rzeczy wiecie? Przecież mówiliście, że całe życie w Smoczogórach siedzicie. To skąd wiecie o przełomach pomiędzy uczonymi?

– A bo to trzeba po świecie się włóczyć, by prawdy szukać? Wokół wystarczy się rozejrzeć. Wszak to w waszej Lacercie powiedziano, że jesteśmy tylko karłami na ramionach olbrzymów.

Wrzosiec zamienił się w jedno wielkie zdziwienie.

– Tego nie możecie znać. To mądrość z Akademii. Nie opowiadają tego na szlakach Smoczogór.

– Widzisz, drogi chłopcze, nie mogę, a znam. I jeszcze kilka mądrości, które uważacie za wasze. Jak się żyje tyle lat, co ja, to się różne rzeczy zdąży wymyślić. Czasem z rozmysłem, czasem z przypadku. A czasem wystarczy się wsłuchać w szepty wiatrów, wtedy można rozpoznać różne ciekawe słowa. Ale nawet jeśli to wasze, a nie nasze mądrości, to co wam po nich, skoro nie potraficie wyciągać z tego słusznych wniosków?

– A jakie są te właściwe wnioski?

– Na przykład takie, że ludzie przed nami byli dużo mądrzejsi.

– Z tym akurat się zgadzam.

– Tak ci się tylko, drogi i uczony chłopcze, wydaje.

– Uznaję, że mistrzowie, którzy tworzyli zręby mądrości Akademii w Lacercie, przewyższali swą wiedzą i przenikliwością potomnych. I uznaję, że nauczyciele są mądrzejsi od uczniów.

– Nie gniewaj się, ale jeśli właśnie tak wyobrażacie sobie rozwój mądrości, to błędzicie w tej waszej Lacercie. Po mojemu, nie o to idzie, że ktoś przed nami był mądrzejszy, choć zapewne może to być prawdą, ale idzie o to, że doświadczenie pokoleń jest jak kopiec, na który wystarczy się wspiąć. Bo z niego lepiej i dalej widać. I nie dlatego, że sypali go mędrsi od nas, ale że trudzili się przez pokolenia. Każdy mądry coś dopowiedział i my, zamiast błędzić, możemy kroczyć prostą drogą.

– Ale przecież takie przekonanie zabija myślenie, bo jeśli uznam, że wszystko już zostało powiedziane, to nie będę niczego szukał. A wtedy zdam się na mniemania i, co niewykluczone, błędy innych. Będę jak owca w stadzie...

Berda, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się rozmowie, zapalił fajkę. Wrzosić przez moment poczuł, że znajduje się w grażdzie Jaka. Ale wnet jego myśli powróciły na Zarąbek. Ryś zaś odparł:

– Owca nie zejdzie do przepaści ani nie pójdzie do wilczych siedzib, jeśli ma dobrego pasterza. Jeśli będzie miała drogowskazy na swej ścieżce. A mądrzy ludzie, co przed nami żyli, dwojaką prawdę nam przekazali. Wiemy teraz, że są takie prawdy, które pozostają zakryte. Jedni chcą je odkryć, a inni, przeciwnie, gadają, że jak te olbrzymy przed nami nie odkryły ich, jak całe pokolenia nie potrafiły znaleźć odpowiedzi na te pytania, to należy dać sobie i im spokój. Przecież świat się nie zmienił, od wieków ludzie kochają się i nienawidzą, rodzą i umierają. Nasz czas nic nowego tu nie przyniesie. Do czego człek miał dojść, to już doszedł. A to

właśnie są te prawdy, które są dla nas odkryte. Wystarczy się schylić i pozbierać, zamiast trudzić rozum w twojej Akademii.

– Zaczynaj Rysiu, pięknie to wszystko wywiedliście, ale ja się was prosto zapytam: gdzie tej waszej mądrości szukać? Skąd ją wziąć? Przecież to nie tylko wasze, smoczogórskie marzenie, by być mądrym. W Akademii niczego innego nie pragniemy.

– I to nas łączy. Po mojemu, Wrzosiec, to trzeba się w pieśni wsłuchać. One są odwieczne, niektóre nie wymyślone przez człowieka, lecz wysłuchane z wiatrów, z szumu drzew. Te pieśni to nasz skarb, w nich nasza mądrość i wiedza.

– Skoro tak, to po co są takie rady, jak ta u Jaka, w Smreczynach? Nie wystarczy pieśń znaleźć, nie wystarczy wsłuchać się w drzewa?

– Kiedyś wystarczyło, dawno temu, ale nie teraz. Posłuchaj tego, co powiem, uczony chłopcze. O cierpliwość proszę, bo choć pora późna, ja się śpieszyć nigdzie nie zamierzam. W moim wieku nikt już nie powinien się nigdzie śpieszyć.

Ryś rozsiadł się wygodnie i zebrał do opowieści. Wrzosiec z Berdą rozpalili fajeczki, bo zanosilo się, że przez jakiś czas tylko stary góral będzie mówił.

– Dawno temu było tak, że nasz lud miał wielką, piękną pieśń, która opowiadała o całym świecie. Mówiła o górach i o wodzie, o wiatrach i o drzewach. Opowiadała, co to kochać i co to nienawidzić. Skąd świat swój początek bierze i dokąd zmierza. Dlaczego ludzie się rodzą i dlaczego muszą się z ziemią żegnać. Wszystko, co należało wiedzieć, było w pieśni. Różnie powiadają, skąd się pieśń między góralami wzięła. Jedni mówią, że od samego Jedynego pochodzi. Inni, że pierwsi górale taką mądrość w sobie mieli, iż potrafili sami pieśń ułożyć i innym przekazać. Jeszcze inni opowiadają, że całe pokolenia musiały minąć, aż pieśń była gotowa, a każde coś do niej dodawało. Jak naprawdę rzecz się miała, teraz nikt już nie wie. Dość, że w kraju, gdzie wcześniej nasz lud żył, taka pieśń była. Lecz nadeszły trudne czasy, kiedy przyszło tę kolebkę opuścić i tu, w Karby, przywędrować. Na południu są góry, gdzie się narodził mój lud, tam nasze źródła. Ale trzeba było wędrować. I tak, wiele wieków temu, dotarliśmy w Karby, gdzie teraz żyjemy. I kiedy patrzę na te góry, na Rówień, na Czartak i Raróg, to tak sobie myślę, że musieliśmy tu od zawsze żyć. Ale wiem, że kiedyś było inaczej.

Różnie gadają o tym, dlaczego przyszło wyruszyć z ojcowizny na południu. Wedle jednego podania winę za to ponoszą nasi praojcowie,

którzy ciężko sprzeniewierzyli się prawom. I za to musieli opuścić wspaniałe i żyzne ziemie, gdzie wszystko się samo rodziło, a natura tylko pomagała człowiekowi. Wedle drugiego podania było zupełnie inaczej. To tam było ciężko i źle, a miejsce, w które praojcowie wyruszyli, miało opływać we wszelkie dostatki. Jest też trzecie podanie. Ono z kolei opowiada, że nasz lud nigdy nie doszedł do przyobiecanej ziemi. Miało to nastąpić, jak spotkamy w górach wędrujących od północy górali. I dopiero zjednoczenie z nimi miało sprawić, że wszyscy będą szczęśliwi. Ale nikogo nie spotkaliśmy. Może my zaprzestaliśmy drogi, może oni gdzie ugrzęźli. No i stało się, jak się stało. Przodkowie przyuważyli ten najpiękniejszy w świecie zakątek, gdzie góry otaczają Rówień. Ze wszystkich miejsc w Smoczogórach to im się najlepiej widziało. I tu osiedli wiele wieków temu. A my ruszać się już stąd nie będziemy. Bo i po co?

Kiedy przyszedł czas zacząć wędrówkę, to stare rody zebrały się i podzieliły między siebie pieśń. Każdy opiekować się miał inną jej częścią, każdy miał ją w pamięci zachowywać i w razie potrzeby innych tą pieśnią poratować. I tak się stało. Dotarli nasi pradziadowie w te strony, na długo przed tym, jak powstała wasza prastara Lacerta. I co roku spotykały się rody na wielkiej radzie i gęślarze z każdego rodu śpiewali swoje części pieśni. I tak było dobrze. Żył zaś jeden ród, ród Koźliców, co przybył w te strony przed innymi. Dużo by o tym gadać, dość, że znał całą pieśń. I w czas dorocznych rad Koźlice łatali niepamięć innych. Ale los nie zawsze był łaskawy. Przyszedł na nich koniec. I przetrwały tylko części pieśni, przechowane przez pozostałe rody. Później, jednej zimy, los wygubił cały prastary ród Litworów. Dziś nie ma nikogo z nich pomiędzy nami, nie ma też ich pieśni. Innym razem pognał precz prawie wszystkich z rodu Krajów. Z ich pieśni pozostały jedynie strzępy. Różnie bywało, czasem nagle umierali gęślarze, nie zdążywszy wiedzy swej młodym przekazać, czasem z klęsk rozmaitych tylko łachmany pieśni uratować się dało. I wasz król, kiedy zaczął nas nękać, sporo złego zrobił, gdyż ucierpiało wielu górali z Bukowiny i z rodu Cisnych. A Mocarni, na ten przykład, sami się pieśni i gęślarstwa zaparli. I dziś pieśń nie jest już taka, jako dawniej. Co roku na spotkaniach gęślarzy coraz biedniejsza jest nasza pieśń i zapewne nadejdą takie czasy, mam nadzieję, że dopiero za wiele, wiele lat, kiedy nic z niej nie zostanie. Dlatego strzeżemy jej jak żrenicy oka. Próbujemy też odtwarzać ją, tak jak ceruje się starą odzież, by wiatru nie przepuszczała i od zimna chroniła.

I dalej jest mądrość w pieśni, ale mądrość zubożona, rozkradziona,

zawieruszona. Na co dzień potrafimy żyć w zgodzie z pieśniami, lecz przychodzą takie chwile, kiedy trzeba do niej głęboko sięgnąć i znaleźć to, co było, tylko zostało stracone. I dlatego to Berda, jako gęślarz Kościanów, a mój następca, musi ze Śmiercią wyruszyć. Nie jakiś silny młodzian, nie osiłek, lecz gęślarz. Bo ze Śmiercią to trudne są potyczki, niecodzienne i ciężkie. I trzeba pieśni, trzeba gęślarza, by z trudności wyjść cało, a i ludzi poratować.

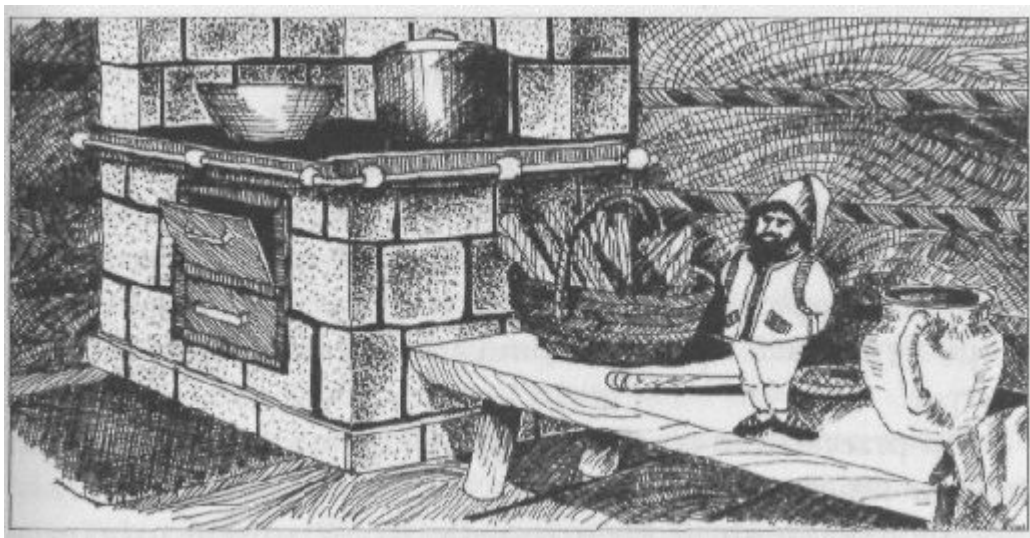
– A jak się taką pieśń dziurawą ceruje?

– Chłopcze, późno już. Kładźmy się, by nas ranek nie zaskoczył, bo jak świt nas ubiegnie, to cały dzień zmarnowany. Oczy pieką, gardło jak wiór, suchość i zmęczenie. A tu trzeba siły, bo przed wami zadania trudne. Powiem ci tyle tylko, że są pieśni, co się ich pocerować nie da. Tak jest z starą Kościanów nutą. Bo jak się jaka pieśń zużyje, to nikomu już służyć nie będzie, ona już spełniła swoją rolę. Ale kładźmy się lepiej.

Ryś wstał i wyszedł na ganek, by przewietrzyć stare kości przed snem. Niech jednak nie myśli nikt, że bakałarz z Lacerty dał za wygraną. Długo jeszcze śpiący Zarąbek wypełniał się szeptami płynącymi z chaty Rysia. Ale było to tak późno, a wszyscy tak znużeni i otumanieni tytoniowym dymem, że nikt już nie pamięta, o czym wtedy rozmawiali. Chyba że stary orzech, bo ten Rysia równolatek od lat cierpiał na bezsenność. Dlatego, jak go dobrze posłuchać, nie popędzać i nie przeszkadzać mu, to na pewno wszystko opowie.

Rozdział siódmy

w którym Stary Ryś daje dobre rady,
a Berda z Wrzoścem wreszcie wyruszają w drogę



No i nadszedł ranek, minął, a po nim południe, a jak i ono przeszło, to dopiero mieszkańcy chałupy Rysia wstali ze swych łóżek. Otumanienie zaprzepaszczoną nocą sprawiło, że Wrzosiec przycichł i nie wspominał o swoich wątpliwościach. Pewnie dalej trwał przy swoim, ale wspaniałomyślnie zachowywał to dla siebie. Berda z Rysiem też nie wracali do nocnego sporu. I wszystko byłoby jak dawniej, gdyby nie to, że czas uciekał, a oni mieli wyruszyć.

Postanowili, że przeczekają upał i o zmierzchu zanurzą się w prowadzący ku Garbaczowi las. Była pełnia i Berda namawiał swego druha do nocnej wędrówki. Tymczasem słońce ogrzewało Zarąbek, a oni siedzieli na ganku i w cieniu orzecha szykowali się do drogi. W pewnej chwili Ryś zaczął poważnie:

– No i stało się, synuś. Teraz ty jesteś gęślarzem, a mnie staremu przychodzi odejść w cień. Długo na to czekałem i cieszę się, że ten dzień nadszedł.

– Rysiu, przecież wiecie, że nie jestem jeszcze gotowy.

– Dziecko jak się rodzi, też do życia nie jest gotowe, a nikt go nie pyta, bo i tak odpowiedzieć nie potrafi. Nie bój się, ja też nie byłem gotowy.

Odkąd się pieśń rozpadła, nikt nie jest gotowy. Ale trzeba, synuś, trzeba.

– Wiecie przecież, Rysiu, że nie znam nawet części tego, co wy.

– Bo młody jesteś, a ja stary. Źle byłoby, gdyby nie było między nami nijakiej różnicy. Wschód i zachód słońca tylko na pozór tak samo wyglądają, jednakowo słońce nad górami wisi. Przed tobą droga, ja cię już więcej nie nauczę. Sam musisz teraz nią iść. Tyle lat czekałem...

– Tylko że moja niewiedza może zaszkodzić nam wszystkim.

– Nie bój się, tak samego to cię nie puszczę. Masz ze sobą Wrzośca. A ja jeszcze kilka rad ci dam. Co rychlej ruszajcie na Czartak, bo wprawdzie się uciszyło, ale lada chwila znów wichry mogą się rozwiać. Śpieszyć się musicie. Jednak pójdziecie przez Kierpce.

– To przecież nie po drodze, musielibyśmy zboczyć na stoki Jałowca. Dzień stracimy.

– Ale zyskać możecie. Jak przyszedłeś tu z Wrzoścem, to opowiadałeś o Guni z Kła. No i tak się dzieje, że w Kierpcach też mieszka starzec, mówią na niego Świstun, też z Kościanów, jak i my, ale z bocznej gałęzi i tego pewnie sam nie wie. On zna kilka odwiecznych nut, tylko mnie nigdy nie chciał ich wyjawić, bo mówił, że jeszcze nie czas. Pójdiesz do niego i powiesz, że teraz ty jesteś gęślarzem Kościanów i że już czas. On ci zagra, bo głupi nie jest i wie, że muzyka nie jego jest, ale wszystkich. Ta nuta może wam dopomóc.

– Skąd wiecie, że pomoże na Śmierć, skoro tej nuty nie znacie?

– Właśnie dlatego, synuś, że nie znam. Bo widzisz, ja wiem, że te, które znam, nie pomogą.

– A jak nam ta odwieczna nuta Świstuna może pomóc?

– Teraz ty jesteś gęślarz, nie ja, sam musisz sobie z nutami radzić. Ale nuta Świstuna to pierwsze i nie ostatnie. Jak już będziecie na Czartaku, to odwiedźcie Sowę, co jest tam wieszczunem gromowym. Na Śmierci się zna, bo blisko Mogielnicy nie przez przypadek mieszka. A i o wichrach wiele wie, to dobrze poradzi, co dalej czynić, bo samo wypuszczenie Kostucha z wora może nie pomóc. Sowa ma już swoje lata i swoją mądrość, kłaniajcie się tam ode mnie.

– Wiecie, Rysiu, tyle lat włóczę się po Smoczogórach i o Sowie nie słyszałem.

– Bo głównie po weselach grywasz, a tam, gdzie Sowa mieszka, weselą się rzadko. Tylko uważajcie, Sowa nie za bardzo lubi gości. Trzeba ostrożnie. Świstun to raz, a Sowa to dwa... – Ryś zaczął coś mrużyć do siebie. – To chyba wszystko.

Zamilkł, a Berda nie wiedział, czy to już koniec rad. Od poprzedniego wieczora Ryś zaczął się dziwnie zachowywać. Jakby gubił myśli, z trudem wynajdywał właściwe słowa. Mogło to być zwykłe rozkojarzenie, ale Berdzie wydawało się, że odkąd stary góral przekazał gęślarstwo, zaczęło z niego uchodzić powietrze. Powoli, przez niewielką dziurkę, lecz nieubłaganie. Berda miał niejasne przeczucie, że zapowiada to poważne zmiany. Ale ponieważ i jego czekała niełatwa próba, odegnał złe myśli od siebie.

– Dziękujemy, Rysiu, za twe rady. Nie wiem jeszcze, jak z nich skorzystać, sądzę jednak, że w swoim czasie pomogą nam wielce.

– Tak, to chyba wszystko... A teraz przygotujcie się i odpocznijcie przed drogą. Czuję, że Liska niezwyčajną wieczorzą was pożegna. Poczciwa kobieta... To chyba wszystko...

Ryś wstał i zaczął przechadzać się po Zarąbku. Wydawał się bardziej przygarbiony i jakiś nieobecny. A młody gęślarz i młody bakałarz zniknęli w izbie, by poczynić ostatnie przygotowania. Według rachub Berdy wyprawa nie miała potrwać długo: w cztery, pięć dni powinni dotrzeć na stoki Czartaka i wykonać zadanie, powrót również nie miał zająć więcej. A ponieważ droga wiodła przez Kierpce, musieli też zawitać do Kośnych, gdzie była karczma i gdzie łatwo można było uzupełnić zapasy żywności. Spakowali więc tylko niezbędne rzeczy, tyle, by okryć się podczas coraz chłodniejszych górskich nocy. Wrzosiec wziął swoje zapiski, Berda zaś przyszykował gęśle do kolejnej wyprawy.

A Liska ugościła ich iście po królewsku. Specjalnie na tę okazję zabiła kaczkę i upiekła ją smakowicie z jabłkami. Przyniosła też ze swej spiżarki słoje żurawin. Zagryzali pieczonymi ziemniakami. Wrzosiec, który w Akademii jadał dość przypadkowo, przez następne dni nosił smak owej kaczki głęboko w pamięci. Soczyste, ciemne mięso rozplýwało się w ustach. Ale sprawczyni tych uniesień nawet nie siadła z nimi do stołu, tylko krzątała się w izbie, jakby miała jeszcze coś do przygotowania.

Pomiędzy kęsami kaczki Wrzosiec powrócił jednak do nocnej rozmowy.

– Powiedzcie mi, mądry Rysiu, co wasze pieśni powiedzą nam o tych górskich wichrach?

– Chyba nic ponad to, co i tak każdy wie. Że wichry wieją.

– Ale ja nie o to pytam. Wczoraj, podczas rady u Jaka, zostały połączone dwa wydarzenia: uwięzienie Śmierci i gniew Władcy Wichrów. Jednak teraz, na ten przykład, nie wieje, a przecież Kostuch jeszcze niewolniony. Jak to wytłumaczyć?

– Może Władca Wichrów już dowiedział się, że chcemy go przebłagać, i odpuścił trochę.

– A skąd ma wiedzieć, że taka decyzja wczoraj zapadła?

– Może wiatry mu ją przywiały, one szybko wieści roznoszą. Jak wiedział, że Śmierć uwięziona jest w Smreczynach za sprawą głupiego Smyka, to i o tym powinien sam wiedzieć.

– No właśnie, a może nic nie wiedział. Zawiał przypadkiem, przestał wiać też bez powodu.

– Uparty jesteś, młody bakałarzu. Otwórz więc dudy, to się przekonasz.

– Idźmy dalej. Przypuśćmy, że na Mogielnicy zrobimy to, do czego zobowiązaliście Berdę. I wiatry już nie powrócą. Skąd pewność, że obydwie sprawy miały jakikolwiek związek? Może znów przypadek? A jak, co gorsza, nie przestanie wiać?

– Coś się tak tego przypadku uczeplił! Tak was w Akademii uczą, by motać sprawy proste? – Ryś bez gniewu odpowiedział Wrzoścowi. A tego najbardziej denerwował brak irytacji u starego górala. – Po to radzę wam iść do Sowy, by zapytać, czy to wystarczy.

– Przypuśćmy, że wystarczy, to znaczy, przez przypadek wiatry gdzieś uciekną – młody uczonec nie dawał za wygraną. – Dla was to będzie tylko potwierdzenie waszych pieśni i opowieści. A to może być jakoweś złudzenie, nieprawda.

– Jak tak sprawę stawiasz, to ja ci więcej pomóc nie mogę. Jedyne sam się możesz uleczyć, jak tego zechcesz. Na razie możesz myśleć, co ci się podoba, chłopcze. Prośbę mam tylko. Jak wrócisz do Lacerty, to nie rozpowiadaj o swych teoriach zbyt głośno. Znów będą przysyłać kapłanów, by nas nawracali na właściwą drogę. Może błądzimy, ale dobrze nam z naszymi obyczajami i naszym widzeniem świata, naszymi zmijami, skrzatami i wiatrami.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Kiedy skończyli, Ryś poprosił Berdę, by mu ten przed wyruszeniem zagrał tę odwieczną nutę, co ją od starego Guni wysłyszał. Młody gęślarz grał cicho, ale jakoś bez serca. Wrzosiec widział, że jego wzrok błądzi już po innych ścieżkach, pomiędzy innymi nutami. A kiedy skończył, stało się jasne, że nie sposób już przedłużyć nieuniknionego. Należało wyruszyć.

I wtedy Ryś zaprowadził ich do izby.

– Śmierć to poważna rzecz. Ludzie nie pojmą jej, choćby wszystkie pieśni znali i wszystkie akademie pokończyli. Pomoc się wam przyda, bo może być nietęgo. Dlatego mam dla was kompana, co w potrzebie

poratować może. I rzeknę, słuchajcie go, jak już zechce wam radzić, bo on w tych sprawach obeznany.

Wrzosiec rozglądał się po izbie. Dzień chylił się ku zachodowi, przez małe okienka niewiele docierało światła, a i jego oczy musiały przyzwyczaić się do panującego w izbie półmroku. Rozglądał się i nikogo nie widział. Nagle za sobą usłyszał przejęty szept Berdy:

– Tam, na ławie koło pieca.

Na ławie stał gliniany garnek, pleciony kosz z drzazgami na rozpałkę, drewniana łyżka i jakaś ściereczka zostawione przez Liskę. I pomiędzy tymi przedmiotami bakałarz ku swemu największemu zdumieniu zobaczył małego, brodatego ludzika, który przyglądał im się dobrotliwie. Miał co najwyżej pięćdziesiąt wzrostu, filcową, szpiczastą czapkę i zielony kubrak. We wszystkim, poza wzrostem, przypominał człowieka.

– To skrzat, mój stary druh i przyjaciel. Długo prosiłem go, by ruszył z wami, aż się zgodził. A nikt tak blisko nie jest duszy ludzkiej i śmierci, jak skrzaty.

– Przecież skrzatów nie ma – Wrzosiec zaprotestował bezwiednie.

– Całkiem możliwe jest to, co mówisz. Nie będę się kłócił. Ale ja jestem, choć czasem wcale mi się to nie podoba. – Skrzat miał głos dość tubalny jak na swą posturę.

Zeskoczył z ławy i po chwili stał u stóp Wrzośca.

– Rysiu, dlaczego wcześniej nic mi o nim nie mówiliście? – W głosie Berdy dało się wyczuć pretensję. – Sądziłem, że nie mamy tajemnic.

– Tajemnice nie byłyby tajemnicami, gdybyśmy wszystkie znali, synuś. A że takie są na świecie, to cóż ci poradzę. Zresztą, czasu nie ma na gadanie. Skrzat wam wszystko wyjaśni, jak oczywiście zechce. A teraz ruszajcie.

Pierwszy ruszył się skrzat. Nikogo o nic nie pytając, podskoczył i szybko wspiął się po ubraniu wprost do sakwy, którą Berda przewiesił przez ramię. Zanim zniknął w jej czeluściach, krzyknął:

– Obudźcie mnie podczas postoju.

Nie było czasu na wyjaśnienia. Ryś uściskał ich obydwu jak własnych synów.

– Niech was dobra droga prowadzi, moi chłopcy. No, idźcie już.

Tak byli przejęci wyprawą i ostatnią niespodzianką, że na śmierć zapomnieli o koźlim worku. Dopiero Ryś krzyknął z ganku za niknącymi w ciemnościach postaciami. Podzielili się tak, że Berda niósł skrzata, a Wrzosiec Śmierć. Księżyc oświetlał każdy kamień, a droga na Garbacz,

wybita kołami wozów oraz racicami owiec i krów, sama wskazywała kierunek. Wpierw wspinali się pod górę, otuleni świerkowym lasem. Milczeli, próbując złapać równy oddech. Wrzosiec starał się łowić wszelkie dźwięki, ale słyszał tylko własne sapanie, które zagłuszało nawet odgłos kroków. Ciemność otulała ich szczelnie. Po jakimś czasie wyszli na rozległą halę. Kobierzec gwiazd rozwinął się im nad głowami. W dole szemrał Rudy Beretycz, a niknąca w ciemnościach droga prowadziła wędrowców pomiędzy jałowcami. Noc wiodła ich w nieznaną przyszłość.

Rozdział ósmy

w którym nic się nic dzieje,
bo wędrowcy tylko wędrują i rozmawiają



Połoniny garbiły się cieniście, a szeroki płaj rozciączał leśną ścieżkę. Wrzosiec, postukując Śmiercią na plecach, miał wrażenie, że są na świecie sami, mali i niepotrzebni. Kiedy więc droga wyrównała się pod ich stopami, poczuł potrzebę zagadania do towarzysza.

– Co z tym skrzatem?

– Pewnie śpi – Berda odparł niezbyt uprzejmie. – Rysia się spytaj, ja przecież nic nie wiem.

– Nigdy nie sądziłem, że zamiast przyglądać się waszym obyczajom, będę pomagał w ratowaniu Karbów przed gniewem jakiegoś boga.

– Ja też wielu rzeczy nie podejrzewałem. A stało się.

– To co z tym skrzatem?

– Obudź go i spytaj, jak cię tak ciekawość zżera. Skąd ja mam to wiedzieć?

– Przecież ty jesteś gęślarzem. A to, jak sądzę, zobowiązuje.

– I na co mi to było? Grałem sobie spokojnie po weselach, ludzie mnie lubili. Gęślarzem zawsze był Ryś, największym i najmądrszym pomiędzy nami. Z nim mogłeś nocami gadać, a on na wszystko znajdował odpowiedź. Zawsze wiedział, co do czego jest i na co. Spokojnie gadał, jak się rzeczy

mają, jak się mieć powinny. Był jak ojciec. A teraz? Sam się musisz martwić.

– Mówisz, jakby umarł.

– Żyje, ale nam nie pomoże. Niby jest z nami, lecz jak by to rzec, teraz sami sobie jesteśmy. I sami musimy sobie radzić. Bo wiesz, Wrzosiec, on ma nie tylko mądrość, ale i wiarę. Jest jak te góry niezniszczalna i on wie, że te nasze obyczaje i pieśni to wszystko prawda. Że zawsze tak było i będzie, jak jest.

– A ty w to nie wierzysz?

– Niby wierzę, ale słabiej jakoś. Dużo wędruję, po nizinach też czasem chodzę. Bywałem w miastach, bywałem w Lacercie. I kocham Smoczogóry, jednak na nich świat się nie kończy. Jak tak wędrujesz po świecie, to trochę jakbyś domu nie miał. Wszędzie jesteś gość. I jak gościa cię witają, dobrym słowem, ale na chwilę tylko. Tu wracam i tu odpoczywam, ale coraz mniej się czuję stąd.

– Przecież tu twoje korzenie, twój dom.

– Widzisz, i tak, i nie. Jak na weselach, zabawach rozmawiam z ludźmi, to widzę ich spracowane ręce, ich wysiłek. To oni naprawdę żyją z tą ziemią. Oni pasą owce, oni doją krowy, orzą, sieją i zbierają. A ja taki podrzutek jestem. Zjadam, co oni wypracowali, i cieszę się, że to moi ziomkowie. Ale kiedy mówią o swoich sprawach, o kłopotach w obejściu, o chudych plonach, czuję, że to nie moje życie. Takie wichry, na ten przykład. Ja wiem, że dla nich to jest ważna rzecz. Ale dla mnie? Czy wieje, czy nie, to ja sobie chodzę i przygrywam. Ej, Wrzosiec, źle być obcym pomiędzy swymi.

– Zawsze możesz osiąść gdzieś i zacząć żyć jak każdy przyzwoity góral. Berda zaśmiał się.

– Jak mi często mówi, że kiedy chłopu smutno, to powinien sobie babę wziąć i do gazdowania się zabrać. Smutek odejdzie, a jakby kłopoty przyszły, to będzie nareszcie wiedział, za co. A ja jakoś nie potrafię.

– Dziwne to jest, że tradycje tej ziemi noszą i przechowują ci, którzy są daleko od niej.

– Ano dziwne. Ale cóż poradzisz? Ani juhasi, ani gazdowie czasu na to nie mają.

– I to właśnie wy, gęślarze, co pewnie kozy wydoić nie potraficie, pokazujecie im, jak żyć, by być góralem.

– Mało to dziwnych rzeczy na świecie? To i w Karbach mogą się przydarzyć.

I przy tej rozmowie porzuciły ich hale, a płaj zmienił się w leśną ścieżkę. Spomiędzy świerków mniej księżycowej poświaty dochodziło, ale Berda znakomicie wiedział, jak iść. Na chwilę przerwali rozmowę, bo droga nakazała im dość ostre podejście. Kiedy jednak znów się wyrównało, Wrzosiec podjął przerwany wątek.

– To dlaczego nie osiadasz na Zarąbku? Znajdziesz sobie babę, będziesz miał dzieci. Na Kościańskiej dziedzinie znajdzie się chyba dość roboty.

– A dlaczego ty nie mieszkasz w Lacercie na stałe, nie masz jakiegoś warsztatu, nie robisz butów albo siodeł? Tak chyba musi być. Raz próbowałem, ale ciągle mnie gdzieś gna. Nie wysiedzę długo w jednym miejscu. A czasem to patrzę na nasze stare Smoczogóry i tak sobie myślę, że świat się gdzie indziej zaczął i gdzie indziej sobie taki prawdziwy czas płynie. Zostawił świat nasze Karby, zapomniał o nich. Spójrz na Beretycz. U nas to skoczny potok, potem rwąca rzeka. A w Lacercie? Ledwo mosty brzegi spinają. U was domy większe, ludzie jakby wyżsi, u was zamki i pałace. Nie, Wrzosiec, ja nie jestem Ryś, żeby za najlepsze uważać tylko to, co u nas.

– Bo to wszystko jest jak z tym Beretyczem. U was życie, a u nas co? Leniwe rozlewisko.

– To źle trafiłeś. Trzeba było na Zarąbku zostać i z Rysiem o tradycji gadać. On się na tym zna, on swoje wie, nie to co ja. Jakże mam być gęślarzem, skoro mi nie tylko mądrości, ale tej Rysiowej wiary brakuje? Chciałbym czasami żyć w twojej Lacercie, z uczonymi mężami gadać, w pięknym, ceglany pałacu mieszkać. Przecież u was bardziej bogato się żyje. Powiem ci coś. Stało się raz, trafiłem do dworu, jakieś trzy dni drogi na zachód od Bukowiny. Tam mnie pan możny o muzykę poprosił. Dobrze zapłacił, to i zagrałem. I ja w tych swoich wytartych portkach, w schodzonych kierpcach, a on na marmurach, kobiercach, wokół zaś jego krzesła z tuzin ogarów leżało. A bardziej wypasione niż wiele naszych dzieci. I jak żebrak się poczułem.

– To musiałeś trafić do dworu Radamanta. Możny i dobry człowiek, hojny donator Akademii. Zatrzymałem się u niego, jak tu zmierzałem. Chwalił was, waszą góralską dumę. Ceni smoczogórską tradycję, ma zresztą bogaty księgozbiór o tych stronach, mapy, wspomnienia wędrowców, pieśni, stare kroniki. Gorąco namawiał mnie do dalszego prowadzenia badań.

– Dumę to może mamy. Tradycja tradycją, ale on pewnie na

przednówka nie martwi się o jedzenie. A ja pamiętam takie lata, że ludzie z głodu umierali. Teraz dobrze nam się wiedzie, zwłaszcza w Kościańskich dziedzinach, ale w takich Jaworkach albo w Dolinie Cisowego Potoku... Tam popytaj o góralską dumę. Ten twój Radamant dał mi flakonik pachnideł, mówił, że z dalekiego południa. A było tak, że ja wtedy chodziłem do takiej dziewczyny w Smreczynach. Koniec końców nic z tego nie wyszło, później wydała się za innego. Ale ja jej wtedy ten flakonik zaniósłem. Wchodzę, a tam śmierdzi, bo gotowali akurat dla świń. Cielak w izbie, bo zimno, wszędzie kury biegają, jakieś dziecko płacze. A ja z tym flakonikiem południowych pachnideł...

– No to się role obróciły. Teraz ja cię przekonuję do waszej góralskiej tradycji.

– Przecież nie wierzysz w nasze pieśni.

– Ja już sam nie wiem, w co wierzę. Jeszcze podczas wieczerzy nie wierzyłem w skrzaty. A tu proszę, skrzaty są, a jeden nawet pochrapuje w twojej torbie.

– Ano, trochę się role obróciły. Trzeba było z Rysiem zostać.

– To bym się nigdy nie dowiedział, jak to z tą Śmiercią, co ją taszcę na plecach, naprawdę jest.

– Może się nigdy nie dowiesz.

– To wtedy zacznę żałować. A z Rysiem jeszcze zdążę się nagadać.

Tymczasem drogi ubywało, a noc powoli przechylała się na drugą stronę. Przed świtem postanowili przespać się chwilę. Berda zboczył trochę ze ścieżki i po niedługim czasie dotarli do niewielkiej szopy, która stała po lasem. Widać nikt z niej od lat nie korzystał, gdyż dach połatany był gwiazdami. Może służyła niegdyś jako koliba dla juhasów, a może trzymano w niej siano. Wrzosiec nie wnikał jednak w historię pochylonej ku ziemi chatynki, tylko zwinął się w kłębek i usnął.

Kiedy się przebudził, chłód głęboko wlaźł mu w kości. Z poziomu podłogi zaczął rozglądać się po szopie. I pierwsze, co zauważył, to wielkie, czerwone słońce, które orało brzuchem o szczyty Smoczogór i rozpychało się właśnie w drzwiach szopy. A na progu, na tle ognistej tarczy czerniał kształt wpatzonego w sine góry skrzata. Wrzosiec zrazu poderwał się, ale wspomniawszy przeżycia ostatniego wieczoru, pozwolił zmęczonemu ciału dojść do siebie. Poranne mgły mieszały się z dymem, który zaczął wypełniać izbę. Berda kucał przy palenisku i bezskutecznie podsyczał ogień. Ale widać komin w kolibie musiał się przed laty zawalić, gdyż z poczerniałego pieca co chwila buchały gryzące kłęby.

– Zbierajmy się, nie ma czasu na śniadanie. Watah z Garbacza zapewne ugości was, to nie będziecie długo maszerować z pustymi brzuchami – tubalny głos skrzata niósł się po podłodze.

Wrzosiec przyjrzał się ich tajemniczemu towarzyszowi. We wszystkim, poza wzrostem, przypominał krępego, dobrze ubitego człowieka. Teraz podszedł do zalegającej na ziemi głowy bakałarza, przyjrzał mu się spod krzaczastych brwi i wetknął w usta Wrzośca kilka mokrych od rosy listków.

– Pożuj sobie, uczoney człowieku, to cię postawi na nogi.

– Jak mam się do ciebie zwracać?

– A musisz? Skrzaty nie mają imion. Ale dawno temu nazywali mnie Kumak.

– Kumak... Skądś znam to imię.

– Rzeczą uczonego jest znać się na wielu sprawach. Jednak nie szukaj zbyt głęboko, bo się prędzej zagubisz, zanim co ciekawego znajdziesz.

Wrzosiec przeszedł do pozycji siedzącej. Zobaczył jak Berda, rezygnując ze śniadania, przygotowuje się do drogi. Skrzat odezwał się ponownie:

– No to bywajcie, może się kiedyś spotkamy. Ja znikam.

– Zaraz, zaraz, Ryś mówił, że będziesz nam pomagał.

– Pojawię się, jak będę was potrzebował.

– Ty nas? – Wrzosiec nie krył zaskoczenia.

– Nie sądzicie chyba, że to ja wam jestem potrzebny? Do Kośnych traficie sami, a mnie interesują tylko stoki Czartaka. Ja znikam, mam inne sprawy na głowie.

I skrzat zniknął. Po prostu obrócił się i zniknął.

– Trzeba mi było siedzieć w bibliotece w Lacercie i grzebać w starych kodeksach – wyjęczał zboląły bakałarz. – Tam przynajmniej czułem, że coś wiem, że coś rozumiem.

Berda zaśmiał się, stojąc w drzwiach.

– Zbieraj się, może po drodze coś ci rozjaśnię w twojej uczonej głowie.

Wrócili na porzuconą ścieżkę. Przez chwilę prowadziła ich przez las, ale szybko drzewa zostały za nimi i wyszli na halę. Przed nimi, oświetlany porannym słońcem, pęczniał masyw Garbacza. Czekają ich ostre podejście na szczyt, a następnie mieli ruszyć na północ. Na leżących tam halach spodziewali się spotkać juhasów i wataha Ceremgę. Berda, który w marszu pożywiał się kęsami jęczmiennych placków, rozmarzył się, mówiąc o świeżych serach, jakimi niewątpliwie ugoszczą ich bacujący na połoninach górale. Tu Ceremga był niejako rządcą dóbr Kościanów, to jemu podlegały

stada owiec i krów. Berda znał go z czasów, kiedy sam trochę juhasował. I raptem, być może rozpamiętując wczorajszą rozmowę, zatęsknił do takiego życia.

Dopiero teraz Wrzosiec mógł się zorientować, gdzie są. Noc bowiem tak szczerze otulała okolicę, że do tej pory bakałarz z Lacerty zdawał się na doświadczenie towarzysza. Kilkanaście dni wcześniej podchodzili na Garbacz, ale szli Smreczynami w górę doliny Beretyczu. Tym razem, ruszając z Zarąbka, wybrali łagodniejszą drogę, prowadzącą głównie szerokimi, odkrytymi płajami. Szli na zachód, za sobą mieli Rówień i główne pasmo Smoczogór. W marszu Wrzosiec szybko się rozgrzał, ale głód rozburczał w nim na dobre. Już na początku podejścia na szczyt stracił oddech, więc z wyjaśnieniami i opowieściami o skrzatach musieli trochę poczekać. Równo posapując, pieli się ku górze. Wreszcie stanęli na szczycie. Na samym środku polany natrafili na przepalane wielokrotnie ognisko. Las zaczynał się dopiero na łagodnie opadających zboczach i wierzchołki drzew nie zasłaniały widnokregu. Wrzosiec, odzyskując oddech, sycił się widokami. Kiedy chwilę odsapnął, położył się na trawie i nieśpiesznie przyglądał się leniwym obłokom. Żując jakieś źdźbło, zagadnął Berdę:

– To jak będzie z tym rozjaśnianiem mej niewiedzy? Coś mi w szopie obiecałeś.

– I dotrzymam. Tego skrzata nie znam, pierwszy raz zobaczyłem go, jak i ty. Ale przeczuwałem, że to, co mówią o Rysiu, to nie tylko plotki. Od dawna wiedziałem, że naprawdę rozmawia ze skrzatami. Często jakby mówił do siebie. Liska twierdzi, że to przez starość. A Ryś stary jest, ale nie niedołączny. On zawsze był stary, jak góry. I głowę ma jeszcze jasną. Skrzaty zaś... to opiekunowie dusz. Mówią o nich: łapiduchy. Wszystko to z tego, że człek jest taki pęknięty. Chodzisz po świecie i czujesz, że ci czegoś brak. Jakbyś nie był cały, jakbyś był taki wybrakowany. A to się bierze stąd, że twoja dusza jest niedopełniona. Jak się człek rodzi, to tylko pół duszy dostaje w posiadanie i ona mu musi starczyć. Czasem uda ci się tę dziurę załatać, jak spotkasz kogoś, kogo szczerze kochasz. I te wasze pęknięcia w duszach się jakby zblźniają. Ale to rzadko jest.

– Niektórzy mówią, że każdy ma swoją drugą połowę, tylko trzeba na nią trafić.

– Tak u was mówią? Czy ja wiem... Po mojemu to nie jest dobrze pomyślane. Bo widzisz, świat jest bardzo duży. I co mi z tego, że ta druga połowa żyje gdzieś za lasami, rzekami, za górami? Choćbym całe życie

szukał, to się naszukam, namęcę i nie znajdę. Przecież nie jest powiedziane, że ona, tak dla wygody, mieszka sobie u sąsiada w chacie. No i ja nieszczęśliwy, i ona. Ta wasza myśl to taka niedomyślana. Bo w świecie tak już jest, że albo człekowi każą się męczyć, albo nie. A nie ma tak jak u was, w pół drogi. U nas to inaczej jest.

– To gdzie są te części duszy, co nam ich brakuje?

– No właśnie, o to chodzi, że nie tylko ludzie, ale i cały świat jest taki przełamany. A druga część duszy mieszka w drzewach. Każdy człek ma sobie przypisane drzewo. Tylko nigdy nie będziesz wiedział, które. Ja wiem jedynie, że góralskie dusze mieszkają w lasach Smoczogór. Ale tych drzew taka mnogość, że nigdy nie znajdziesz. Za życia nigdy pełnego szczęścia nie uzyskasz, bo wszystko jest jakby przepołowione. I szczęścia też masz tylko pół. Dopiero po śmierci jest nadzieja, że to się do kupy zbierze i w jedno złączy, i dobrze już na wieki będzie.

– Ale przecież drzewa żyją dłużej niż ludzie. A jak się te półdusze odnajdują?

– No i tu jest kłopot. Ale bez trudu nie byłoby szczęścia. Jest tak, że drzewa dłużej żyją niż ludzie. Wtedy po śmierci te ludzkie części duszy się tułają, marzną i wyczekują, aż drzewo obumrze i swoją część im odda. A jest też tak, że ktoś drzewo młode wyrwie, albo zetnie, albo się kawał lasu spali. Wówczas tamte duszyczki się tułają. Bo taka dusza jest maleńka jak iskiereczka, a pozbawiona ciała to ani chodzić nie może, ani mówić, ani nawet szumieć jak drzewo. I to jest dopiero bieda. Musisz się tułać, a tu ani chodzić nie możesz, ani o drogę zapytać. Smutno takim duszom jest.

– No to jak się łączą?

– Właśnie po to są skrzaty. To takie pomocniki duszy. One po śmierci człowieka jego duszę zabierają i przechowują, aż drzewo jej przynależne umrze i swoją część wyda. Różnie o tym opowiadają. Że skrzaty pod filcowymi czapkami te duszyczki przenoszą. Albo w workach, na plecach. Nieraz widziano, jak z chaty zmarłego wysuwał się mały skrzat i w trawie zniknął. Ponoć każda rodzina ma swego skrzata, co wie, które drzewo któremu człekowi odpowiada. Taki skrzat pod podłogą mieszka i czeka. Nie pokazuje się też często, chyba że przez przypadek. Zresztą, skrzaty zniknąć na życzenie swoje potrafią, to i w oczy się nie za bardzo rzucają. A ci, co udało im się skrzata podpatrzeć, mówią, że taki i w obejściu pomaga.

– To ów rodzinny skrzat musi sporo duszyczek pod czapeczką nosić... A nie pomieszają się one, nie połączą ze sobą, nie chcąc dłużej się po świecie tułać?

– Chcieć to one mogą. Ale jak z dwóch chłopów dzieci nie będzie, choćby chcieli, tak z tych iskiereczek nijakiego połączenia nie będzie. Podobne z podobnym nie może się tak dobrze połączyć. Trzeba tych duszyczek z drzew. Tak jest, i cóż poradzisz? Ale skrzaty i tak nie noszą wszystkich ze sobą. Zostawiają te czekające duszyczki po dziuplach, po dziurach sękowych. Daleko od chałup, żeby nie nękały domowników i swymi żalami żyjącym życia nie trują. Ale to skrzatów robota i mądrość, i nam nic do tego.

– Powiedz mi jeszcze, Berdo, skąd się biorą skrzaty?

– Tego to chyba nawet Ryś nie wie.

– A te budki, o których opowiadałeś, że zmarłym służą?

Wrzosec wskazał na skraj lasu, gdzie stało ponad sto niewielkich drewnianych budek na słupach różnej wysokości. Jedne miały wysokość człowieka, inne małego dziecka, jeszcze inne górowały nad pozostałymi. Na szczycie słupa były trzy deski ułożone w trójkąt, jakby podłoga i spadzisty dach. A wewnątrz stały gliniane naczynka z wodą i skromnymi porcjami jedzenia. Bakałarz widział już takie budki przy drogach, na rozstajach i za wsią. Czasem pojedyncze, innym razem w skupiskach. Wiedział tylko tyle, że to kapliczki, stawiane przez górali, którzy troszczą się w ten sposób o swoich zmarłych.

– Ludzie wierzą, że kiedy budują takie kapliczki, to duszom lżej się tułać. Ja tam nie wiem, czy jest im lepiej, bo przecież i tak nie mają gęby, żeby jeść. Ale niech sobie ludzie tak myślą. Tu, na Garbaczu, jest ich dużo, bo to ważne miejsce. Tu ma swoje źródła Rudy Beretycz. Drugie takie miejsce jest tam, za Równią. – Berda głową wskazał na wschód. – Tam, w wysokich Smoczogórach rodzi się Srebrny, Rudego brat. I stąd tu tyle budek. Bo źródła to początek. A duszyczkom, co im się zdaje, że się wszystko pokończyło, taki początek jest potrzebny. Ale budki są nie tylko dla spokoju górali, że o zmarłych pamiętają. Na nich skrzaty umieszczają znaki w swoim języku. Nacięcia, kreski, takie niby litery. Podobne można znaleźć przy starych dziuplach, po pniach drzew. Malutkie, powykręcane, nie wiadomo, co tam stoi. Jednak one muszą coś znaczyć. Znak przecież po to jest, by coś oznaczał. Nie wiem co, może czyja to dusza, albo z jakiego rodu, może wiedzą, z jakim drzewem się połączy? To skrzatów sprawa i nie nam mieszać się do tego. I tak dobrze, że skrzaty przy gęślach z duszami pomagają. Bo bez tego to by nie było grania.

– Będę musiał jeszcze z Kumakiem porozmawiać.

– Na to bym nie liczył. On się pojawi, kiedy sam będzie chciał i

potrzebował. Śmierć go interesuje, bo on przy Śmierci stoi i dusze jej zabiera. Lecz tajemnic swych zdradzał nie będzie.

– Ale z Rysiem się spotyka.

– A tyś nie Ryś. A gdybyś nim był, tobyś na pewno wiedzy skrząców do niczego nie potrzebował.

– Jak Ryś z Kumakiem sobie często rozmawia, to o tym, że coś się ze Śmiercią stało, bo nie przychodzi, musiał dawno słyszeć. A jak Kumak się na Śmierci zna, to wiedzieć musiał, że ta na stryszku sobie wisi. Jeśli oczywiście w tym worku jest Śmierć.

– Na pewno wiedział. Ryś też wie o wiele więcej, niż mówi. Czasem to tak sobie myślę, że on nie jest zwykły człek, że on nie jest z nas. I gdzie mnie równać się do niego, gdzie mnie po nim być gęślarzem Kościanów...

– Sądzisz, że Ryś nie jest człowiekiem? A jak nie, to kim? Przecież żyje tak długo. Może bogiem, jak Władca Wichrów...

– Władca Wichrów nie jest żadnym bogiem. Ani Ryś. Bo z niektórymi tak już jest, że więksi są od nas. I mądrość mają albo wichrami rządzą. Mówią, że to posłańcy.

– Czyi posłańcy? Zawsze sądziłem, że tu, w Smoczogórach, macie wielu bogów. Tak w księgach w Lacercie jest napisane.

Berda zapatrzył się w horyzont. Wzrokiem przenikał kolejne pasma i łańcuchy, jakby chciał coś poza strzępiastymi graniami wypatrzeć.

– Kiedyś, parę lat temu, gdy z kolejnej wędrówki powróciłem na Zarąbek, zapytałem Rysia, jak to jest z bogami. W naszych pieśniach coś głucho o nich. A ja akurat kapłanów w drodze spotkałem i oni mi o różnych wielu bogach opowiadali. Od wody i od ognia, od ziemi i od powietrza. Więc się Rysia zapytałem, jacy bogowie są tu, w Smoczogórach. A on nic z początku nie powiedział, tylko mnie na Garbacz zaprowadził. Stał tu, gdzie my teraz siedzimy i kazał mi się rozglądać po widnokręgu. Patrzę i widzę góry, dumne, groźne, ale nasze. Widzę lasy, szumiące zbocza. Słyszę śpiew strumieni i pędzące nad graniami chmury. Patrzyłem tak długi czas na to prastare piękno, dziwnie urzeczony widokiem, który przecież znam od dziecka. Aż Ryś się odezwał: „Myślisz, synuś, że wielu bogów naraz potrafiłoby wymyślić takie piękno? Pokłóciliby się i bardzo brzydkie góry by im wyszły. Taki świat to mógł tylko Jedyny wymyślić. Bo jedność to doskonałość, a w wielości jakiś brak i niezgoda siedzi i wszystko może popsuć. Jak w muzyce”. I tyle mi powiedział. A ja patrzyłem na te nasze góry ukochane i wiedziałem, że prawdę mówi, bo inaczej być nie może.

Berda zamilkł, a Wrzosiec wstał, by oglądać tę samą harmonię, którą

przed laty pokazał Berdzie Stary Ryś. A kiedy już nasycił oczy tym widokiem, znów zaczął pytać.

– To skąd się takie rozpęknięcie, taka wielość w duszy bierze?

– Jest i na to odpowiedź, ale nie teraz. Zło się bierze też z pustego brzucha, który domaga się napełnienia. Biermy się w drogę, bo na Hali Redykalnej nie będą ze śniadaniem do obiadu czekali. Na obiedzie zaś nie możemy zostać, bo nam śpieszno. Więc żeby cokolwiek na ząb dostać, musimy wartko ruszać. A o wielości to sobie jeszcze kiedy pogwarzymy, ale z pełnymi brzuchami.

Rozdział dziewiąty

w którym jest pełno owiec,
a Wrzosiec po raz pierwszy czuje strach



Jako się rzekło, Berda z Wrzoścem dziarsko ruszyli w dół. Z każdym krokiem zostawiali za sobą łąsinę Garbacza i wnikali w świerkowy półmrok. Szli przez ostępy, gdzie słońce prawie nigdy nie dochodziło, z trudem przedzierając się przez zwartą iglastą zbroję. Ścieżka wiła się między potężnymi pniami, a wokół nich rudziało wieloletnie igliwie. W ten ostry dywan zakopały się pokonane młode świerczki, których starsi bracia nie dopuścili do światła. Wrzosiec z niechęcią szedł przez tę nieprzyjazną okolicę. Jeszcze żywe były w nim uniesienia ze szczytów starej góry i bronił się przed martwiejącymi zakusami lasu. Z nadzieją zawieszał wzrok na seledynowych kolumnach porostów.

A Berda kroczył pewnie, zupełnie obojętny na ponury oddech lasu. Wiedział, że za chwilę smreczyna przerzedzi się i pola między drzewami wypełni bujne paprociowisko. Takich paproci nie było nigdzie poza Smoczogórami i młody gęślarz dobrze znał to miejsce. Niebawem ujrzał je też bakalarz i obaj zanurzyli się w zielone korytarze. Ścieżka prowadziła ich bezpiecznie, twardo wydeptana przez setki góralskich kroków.

Gdyby dobrotliwie przyglądać się dwóm wędrowcom z grzbietu wysmaganej wichrami połoniny albo z przestworzy, w których od

prawieków panują orły, to teraz z pewnością łatwo można byłoby stracić ich z oczu. Zapodziani w zieleni ukryli się przed wścibskim wzrokiem i tylko nieznaczne poruszenia liści mogłyby zdradzić, jaką drogę przebyli.

Można więc teraz zapytać, co po wielekroć czynił Wrzosiec, dokąd zmierza ta opowieść? Zapewne na stoki Czartaka, gdzie powinna dokonać się ostateczna rozprawa ze Śmiercią. Jednak sam cel to nie wszystko. Przed Berdą i przed Wrzoścem otwierają się dziesiątki możliwości, pomiędzy którymi będą wybierać, prowadzeni własnymi nadziejami i marzeniami, czasem łagodnie popychani przez opiekuńczy los, a czasem zagubieni w wyciu górskich wichrów. Z północnych stoków Garbacza widać pogrążone w wiecznej mgłę szczyty Starych Sztolni. Równie mgliście rysuje się dalszy kierunek tej opowieści. Trzeba więc zostawić orle przestworza i zaufać dwóm wędrowcom. Ich droga najlepiej opowie, dokąd zawędrują.

Mimo obaw młodego uczonego, który do cna stracił orientację w paprociowej gęstwinie, ścieżka odpłaciła pokładane w niej zaufanie i bezpiecznie wywiodła ich z lasu. Wpierw przejaśniło się przed nimi, potem świerki ustąpiły miejsca wesołym jarzębinom, ogniście okalającym ostępy. Przedarli się przez leszczynę i jeżynowe kolce, aż wreszcie ścieżka ze śmiechem wpadła do solidnej górskiej drogi, znikła w niej i tyle ją widzieli. Byli na górnym krańcu hal, które ciągnęły się jak okiem sięgnąć, łagodnie przysiadając na okolicznych zboczach. Tu i tam pasły się rozdzwonione kierdle. Zbyrcoki wtórowały beczeniu owiec i poszczekiwaniom płowych owczarków.

I tak opuszczając las, weszli na dziedziny, gdzie od wiosny do jesieni niepodzielnie panował Ceremga, od wielu lat watah Kościanów. Z pomocą tuzina juhasów wypasał liczne kierdle, zebrane od wielu kościańskich gazdów ze Smreczyn i okolicznych przysiółków. Berda pamiętał te strony, bo jak prawie wszyscy młodzi górale, przed laty sam brał udział w redykach. I sądził, że to dobra szkoła dla każdego. Pamiętał odwieczne obyczaje wypasów, opowieści przy ognisku, niczym nieskrępowane granie samym górom. Ale przede wszystkim wspominał sery, bo brzuch natarczywie przypominał mu o braku śniadania. I znów szli płajem, łagodnie wyrysowanym na grzbiecie Hali Redykalnej. Mijali wypłowie od deszczów zagrody, pojedyncze szałas, aż doszli w samo jej serce, gdzie na przecięciu kilku dróg rozsiadła się koliba wataha. Ceremga siedział przed zagrodą i gestykulując fajką, tłumaczył coś młodemu chłopakowi. Według Wrzośca mógł mieć pięćdziesiąt lat, ale wychłostany wiatrami i surowy jak ostra trawa wyglądał na więcej. Po dachu koliby zręcznie balansowali

juhasi, przybijając pomiędzy deski pokrycia sporą, jaśniejącą świeżością łąkę.

Ceremga skończył rozmowę z chłopakiem, a na widok wędrowców wstał i zakrzyknął:

– Witajcie pięknie na naszej dziedzinie!

– Witajcie, dobry Ceremgo – odpowiedział Berda.

Górale przywitani się po męsku. Berda przedstawił swego przyjaciela. Watah pozdrowił i Wrzośca, który znowu zajął pozycję obserwatora. Znow był z boku, znow był obcy, choć witany ciepło i serdecznie.

– Od dawna czekamy ze śniadaniem. Jeszcze parę chwil i przyszlibyście na wieczerzę.

– Dopiero południe. Ale skąd wiedzieliście, że przyjdziemy?

– Ten, co szedł przed wami, powiedział, byśmy coś do jedzenia przyszykowali. Jak było prośzone, tak i jest. Siadajcie.

– Kto szedł przed nami? – Wrzosiec z trudem ukrywał zdziwienie – Pewnie taki mały, krępy i z brodą.

– Nie do końca, bo akurat był wysoki, szczupły i pod wąsem. Ale znaczenia chyba nie ma, bo tak czy owak sery przygotowane.

I nie czekając na dalsze pytania, watah zakrzyknął na swych chłopaków, by przynieśli świeży bundz.

– Widzicie, u nas wieści szybko się rozchodzą. A ja niby mało co usłyszę, siedzę z dala od ludzi na hali, ale swoje wiem. Na ten przykład, to, że Stary Ryś zrobił cię na swoje miejsce gęślarzem, Berdo.

– To też od tego wysokiego pod wąsem? – Wrzosiec patrzył trochę nieufnie.

– Panie Wrzosiec, bo tak się chyba nazywacie, ja tam wiele wiem. Daleko od ludzi siedzę i dobrze mi z tym. Bo głuchy jestem na plotki i błahe rzeczy. Ale to, co naprawdę warto wiedzieć, zawsze na halę przywędruje. Są jaskółki, są wichry, czasem jakiś człowiek zabłądzi. A ja pasterz jestem, to muszę być czujny.

– Ten wicher, co o moim gęślowaniu wam wieści przywiął, to mocny musiał być i prędki, bo do tej pory jeszcze szkód nie naprawiliście. – Berda zaśmiał się i głową wskazał na górali kołyszających się na dachu.

Watah nagle spoważniał.

– Czasu było mało wiele.

– Zapomniałem już, że tu, pod niebem, czas wolniej płynie. Bo ja od kilku dni wichrów nie słyszałem.

– Na gęślach pięknie grasz, to ci nie powiem, żeś głuchy, ale sprawa jest

taka, że po diabelsku duło nie dalej, jak dziś w nocy. I stąd szkoda w dachu.

– Widzicie, Ceremgo, niezwyčajne to wiatry, bo my, śpiący na wschodnich stokach Garbacza, gdzie chyła się ku ziemi koliby po Dziewięcślach, nijakiego wichru nie słyszeliśmy.

– Rzecz dziwna, ale szkoda na nią czasu – powiedział watah i mimo to zadumał się na okamgnienie.

Z szopy przylegającej do koliby wyszedł juhas, niosąc ser i drewniane kubki z żętycą. Przyszedł zadymiony i na wpeł uwędzony, ale bundz był przedni, a dumny Ceremga sam hojnie kroił i podawał go przybyszom. Po chwili zajadali się łapczywie, z pełnymi ustami błogosławiąc owce i pracę pasterzy. A Wrzosiec, mimo ostrzeżeń, pił żętycę kubek za kubkiem. I potem tego żałował. Podczas posiłku mało rozmawiali. Ceremga wstał i pokazywał juhasom, jak mają głazami przygnieść deski na dachu. Wkrótce dach został naprawiony i górale rozeszli się do innych zajęć. Jeden wszedł do wędzarni, a pozostali zniknęli pomiędzy pobekującymi stadami. Mimo że dzień był ładny, watah zaprosił ich do koliby. Na środku, ponad paleniskiem, wisiał wielki kocioł pełen owczego mleka. Ceremga zamieszał potężną warząchwią.

– No i dobrze się stało, że Stary Ryś przekazał ci gęślarstwo – rzucił znad kadzi.

– Dobrze? Ciekaw jestem, dla kogo.

– Tak w ogóle dobrze. A to jest dobro nie dla kogoś, tylko dla wszystkich.

– Przecież ja się do tego nie nadaję.

– A do czego się nadajesz, jak nie do grania i spamiętywania starych pieśni?

– Mogłem zostać z wami na hali, pewnie przejąłbym za kilka lat wasze watahowanie. I wtedy dopiero byłoby dobrze.

– Jak dla kogo. Ja się do umierania nie wybieram, więc byś się zestarzał i scapiał do reszty na tym wyczekiwaniu. A owce i gazdowie na pewno nie byliby zachwyceni. Bo po mojemu, to ty się właśnie na pasterza nie nadajesz.

– Ja się nie nadaję? – Berda był wyraźnie urażony.

Wrzosiec, który swoją wiedzę o pasterstwie czerpał od przyjaciela, też poczuł się dotknięty.

– Wstawaleś w południe, całymi dniami włóczyłeś się po górach, a ile razy inni juhasi musieli zganiać twoje stado znad przepaści, to ci liczył nie będę. A pamiętasz, jak raz przegnałeś woły prawie na Rówień? I nikt nie

wiedział, po co.

– Ja też do dzisiaj tego nie wiem.

– No i ja właśnie o tym mówię. Nie masz woli do juhasowania. Zawsze cię gdzieś gnało. Pożytek był taki, że pięknie grałeś. To cię ze trzy razy na redyk wziąłem. Zmęźniałeś, no i dobrze.

Berda siedział zmartwiony. A Ceremga kontynuował:

– Wychodzi na to, że do niewielu rzeczy pasujesz. Taki jakiś jesteś, Berdo, wybrakowany. Po twojemu kiepski z ciebie gęślarz, po mojemu nędzny był z ciebie juhas. A gazdowania nie próbowałeś, to i nic nie wiesz, jaki byś był. Ale ja się nie martwię. Grunt, że się obawiasz, czy dorównasz Rysiowi. I po mojemu to powinno wystarczyć. Przynajmniej na początek.

– Widzicie, a ja się obawiam, że właśnie nie wystarczy.

– No i niepotrzebnie. Ani ty, ani ja nie pamiętamy, jaki był Kościański gęślarz przed Rysiem. I albo był gorszy od Rysia, albo lepszy. Jeśli był gorszy, to znak dla ciebie, że nawet kiepski gęślarz to nic strasznego, skoro mamy po nim tak wielkiego Rysia. A jeśli lepszy, to też się nie musisz obawiać. Bo pomyśl sobie, jak się Ryś musiał bać po nim gęśle przejmować. A jeśli bał się, to trochę głupio, bo ja mądrzejszego człowieka od niego nie znam. Jest więc nadzieja, że i z ciebie będzie ktoś mądry, nawet jeżeli teraz jeszcze nie jest. Czyli, jakkolwiek by było, jest dobrze.

– Łatwo wam mówić.

– Bo źle by to było, jakby się nie dało łatwo o łatwych sprawach opowiadać. Każdy ma w życiu jakąś rolę, jakiś dar. Mnie postawił ród Kościanów na straży swych stad. I też się bałem, jak po raz pierwszy powierzono mi watahowanie. Ale obróciło się parę lat i teraz śmieję się z tamtych strachów. A ty masz być strażnikiem naszej tradycji. No i dobrze. W tradycji dwie rzeczy są ważne. Pierwsza to zaufanie. Zaufanie, że ścieżka, którą ktoś przed tobą szedł, nie prowadzi donikąd. A druga rzecz to zobowiązanie. Patrzysz na dzieło Rysia i wiesz, że przed nim byli inni gęślarze. I myślisz sobie, że głupio by było, gdybyś był kiepskim gęślarzem. I to właśnie cię zobowiązuje, żeby ich wszystkich nie zawieść. I nawet kiedy Rysia już nie stanie, to nadal będziesz czuł się wobec niego odpowiedzialny.

– Wiecie, że to nie jest takie proste.

– Wiem. Ale masz w sobie i zaufanie, i zobowiązanie względem Rysia. A że na głupiego nie trafiło, to ci się uda. Lecz już nie mówię więcej. Bo przecież gdybym się na tym znał, to mnie zrobiliby gęślarzem, a nie ciebie.

Ceremga przerwał i zaczął krzątać się po izbie. Coś mruczał pod nosem,

jakby czegoś szukał. Wreszcie wyprostował się i zwrócił twarz w kierunku przycupniętego w cieniu Wrzośca.

– Tak sobie tu gwarzymy o sprawach, na których ani ja, ani, jak się okazuje, Berda ni w ząb się nie znamy. A nasz gość uczony jest, to pewnie ma w sobie taki ciąg na wiedzę. To ja chętnie pokażę mu stada i coś o owcach opowiem. Niech też i pożytek będzie miał z naszego spotkania, bo po tej żętycy to, prawdę powiedziawszy, mało co w nim pozostanie. Chyba że żal. Chodźmy na halę, bo się zaduch tu jakiś zalągl.

Ale mimo nadziei Wrzośca i chęci Ceremgi niewiele z tego zapoznawania się z tajemnicami pasterstwa wyniknęło. Bo kiedy tylko wyszli przed kolibę, zobaczyli wokół siebie dziwne poruszenie. Juhasi zebrali się przy ogrodzeniu i z uwagą patrzyli na rozsiędziony przed nimi Garbacz. Niby nic się nie działo. Po dawnemu owce skubały trawę, owczarki biegały, poszczekując czujnie. Wrzosiec uczył na twarzy lekki podmuch wiatru. Spojrzał na garbatą górę i właśnie wtedy się zaczęło. Jeśli bakałarz z Lacerty sądził już, że wie, co to są górskie wichry, to teraz miał okazję przekonać się, jak bardzo się mylił. I wcale nie pocieszał go fakt, że stojący wokół górale są równie zdziwieni.

Najpierw usłyszeli szum, który narastał w ciągły świst. Stali i nic nie robili, bo pomiędzy nich dochodziły tylko lekkie dmuchnięcia. Wichry ścigały nad Garbacz wysoko ponad ich głowami, wysoko ponad Halą Redykalną. Nadleciały ze wschodu, od Pustaci. Wpierw zobaczyli, jak chmury zaczynają uciekać przed niewidocznymi podmuchami. Z początku przesuwwały się wolno i leniwie. A potem coraz szybciej, coraz bardziej rozpaczliwie. Zagnane wokół łysiny Garbacza zbiły się w białe stado i trzęsły w oczekiwaniu najgorszego.

Jeden z wichrów przeleciał po świerkach, między którymi niedawno wędrowali. Ciemna powierzchnia lasu zmierzwiła się i zafalowała. Wysokie drzewa położyły się jak źdźbła trawy. Usłyszeli trzask pękających pni. Wicher poleciał na zachód i las podniósł się, jaśniejac świeżymi ranami.

Juhasi przypadli do ścian koliby. Wtulili się pod okap i z lękiem patrzyli na to, co się przed nimi działo. Wrzosiec zbladł i w pierwszym odruchu też chciał się gdzieś schować, ale nie mógł się ruszyć.

Drugi z wichrów zaczął niczym biczem siec ocalałe świerki. Każdy podmuch wycinał pomiędzy nimi wąską i wyraźną ścieżkę. Wicher ciął wściekle, świszczac złowrogo. Wrzoścowi wydawało się, że Garbacz kuli swe stare, wychłostane i krwawiące plecy.

I wtedy powrócił znad Łysego Wierchu pierwszy z wichrów. Widzieli,

jak się zbliża, gdyż pod jego oddechem kładły się wszystkie drzewa i krzewy. Natarł na zapamiętałego w biczowaniu towarzysza. Pasterze, bezradnie znieruchomiali przy kolibie, usłyszeli potworny huk, który przewyższał moc dziesięciu piorunów. Wichry stały się i zderzenie ich zagrzmiało potężnie, choć przestworza były jasne i zupełnie nieburzowe. Owce zaczęły beczeć, psy skuczeć, a wichry rozdzieliły się i każdy oddalił się nieco od szczytu Garbacza. I po chwili stały się nad samą łysiną starca. Nacierały z łomotem i zwały się z jeszcze potężniejszym hukiem niż poprzednio. Górale, jak owce, zbili się w ciasną gromadę. I znów wydawało się, że to setka gromów, lecz niebo było błękitne i pogodne, a słońce chłodno przyglądało się tej walce. A wichry po zwarciu wleciały pod niebiosa, zabierając ze sobą skulone wokół szczytu obłoki. I tam, wysoko nad głowami pasterzy, zderzyły się znowu, a chmury po tym starciu rozprysły się poszarpanymi strzępami po całym niebie. Znów huknęło, jakby z oddali. Ale wybuch wichrowej wściekłości musiał być równie mocny i dosadny, bo Wrzosiec usłyszał, jak z jękiem pęka struna w gęślach Berdy.

I tak rozpoczęła się szaleńcza gonitwa nad okolicznymi halami. Pełna jęków, ryków wściekłości i kolejnych wstrząsów. Wichry goniły się po rozległych połoninach od Garbacza po Jedłowiec. Kosiły drzewa i krzewy, wyrwały fragmenty ogrodzeń. Aż opadły z sił i wolno, jakby ciszej odleciały nad Pustać.

Lecz wkrótce nadciągnął stamtąd trzeci wichur. A ten był wichrem niskim, gdyż gnając na oślep, wyrwał jałowce i kępy darni. Kiedy zaś dotarł do Garbacza, zaczął wirować wokół wymęczonej góry. Górale widzieli, jak co chwila wraca, pojawia się i znika. I wirował coraz szybciej, coraz drapieżniej, świszcząc i jakby śmiejąc się złowrogo, a każdym okrążeniem zataczał coraz to szersze kręgi. Aż stało się tak, że porwał owcę ze skupionego pod lasem kierdła, wyrwał ją i uniósł w opętanym tańcu. I kiedy okrążył z przeszywającym sykiem górę, ułapił kolejną. A następnie krowę i kozę, znowuż owcę i krowę. I wszystkie te zwierzęta wirowały wraz z jałowcami, kęsami darni i pogruchotanymi świerkami. Za kolejnym nawrotem zgarnął jeden z szałasów, stojących w oddali pod lasem. Aż wreszcie zaczął zwalniać. Pasterze coraz dłużej czekali, kiedy pojawi się z zająca. Czekali, bo cóż innego mogli robić. Stali bezradnie i w osłupieniu patrzyli na niespotykany nigdy wcześniej w Smoczogórach taniec wichrów. Słyszając huk nad głowami, wszyscy przypadli do ziemi, ale podniebne żywioły omijały ich lekceważąco.

Aż trzeci wichur oderwał się od stoków Garbacza i poszybował w ich kierunku. Jakby zatrzymał się kilkaset kroków przed nimi, wzniósł się i pognał w przestworza. To, co unosił z nad hal, stało się maleńkie jak podniebne jaskółki. I wtedy trzeci z wicherów upuścił dźwiganą podmuchem zdobycz, jeszcze raz nawrócił w kierunku umęczonej góry i ze świstem odleciał nad Pustać. A porozrywane owce i krowy szybko opadły i wraz z balami starego szałas zaryły w ziemię.

W jednym momencie wszystko ucichło. I gdyby nie olbrzymi wiatrołom na Garbaczu i pogruchotana sterta ofiar przed ich oczami, to można by powiedzieć, że nic się nie stało. Cisza zaczęła dźwięczeć w uszach. Po niewyobrażalnym huku wszystko umilkło, nawet owce i krowy z wrażenia straciły głos.

Wrzosiec poczuł pod dłonią kudłaty łeb owczarskiego psa, który domagał się przygarnięcia. Odruchowo pogłaskał zmierzwioną sierść. I wtedy uświadomił sobie, że ręce mu drżą, że cały drży i że się boi. Nagle, kiedy osłupienie tym, co zobaczył, minęło, przeniknęła go nieokreślona, ale przeszywająca od stóp do głów trwoga. Chciał uciekać, ale nie miał dokąd. Z nadzieją spojrział na Ceremgę i Berdę. Przez moment łudził się, że dwaj górale, obeznani z tutejszymi obyczajami, zaraz go uspokoją i zaczną żartować. I wtedy zobaczył, że ich twarze mają kolor bundzu, jaki nie tak dawno ze smakiem zajadali. Że są białe i przerażone. I tak bakałarz poznał wichry Smoczogór. I wcale go ta wiedza nie cieszyła. Bo do tej pory, cokolwiek się stało, był pewien, że górale panują nad swoimi górskimi sprawami. I śmiał się ze Śmierci, i śmiał się z ich pieśni, ale mimowolnie czuł się bezpieczny. Czuł, że miejscowi ludzie na swym własnym terenie ochronią go, że ich koślawe wierzenia i starodawne obyczaje osłonią go przed złem. A teraz, stojąc wbity w Halę Redykálną, wiedział, że porzucając Lacertę, wszedł w świat sił i mocy, nad którymi żaden człowiek, choćby mądry mądrością Rysia, nie panuje. Zrozumiał, że rzucając wyzwanie Tajemnicy, butnie wyzywając ją po imieniu, wkracza na wąską ścieżkę wiodącą skrajem przepaści. A ci, którzy mogli go uratować przed upadkiem, być może sami wyciągną doń rękę po pomoc.

Minęły długie, nienaturalne chwile. I wtedy Wrzosiec z Lacerty, młody i zdolny bakałarz smokoznawstwa, opadł z sił, opadł ze strachu i skulił się pod ścianą koliby. I ten opadnięty do cna Wrzosiec zaczął najzwyczajniej na świecie płakać.

Rozdział dziesiąty

który dzieje się pomiędzy Halą Redykalną a Kierpcami



Dłuższa chwila minąć musiała, zanim wszyscy otrząsnęli się z otępienia. Wpierw stali jak skamieniali i dopiero lękliwe pobekiwanie wełnianych kłębów wyrwało ich z nieruchomości. Pierwszy odezwał się watah Ceremga:

– No to się porobiło...

Nikt nic nie powiedział, bo nic nie było do powiedzenia. Juhasi spojrzeli po sobie i ruszyli w kierunku wyrwy w ziemi, skąd widać było resztki owiec, krów i połamanych płazów niegdyśszego szałas.

– Stało się, jak dawnymi laty prawili dziadowie. – Jakby postarzały watah Kościanów tępo patrzył w wychłostany i cierpiący masyw Garbacza.

– A jak mówili? – Wrzosiec poczuł, że w ustach ma sucho jak nigdy wcześniej. Niemal słyszał chrzęst, z jakim język haruje po podniebieniu.

– Ano opowiadali, że czasem wieją wichry jak pieśni. A kiedy powracają pieśni, to idzie zmiana. Nie wiadomo, czy na gorsze, czy na lepsze. Ale idzie nowe. Bo to były właśnie takie wichry.

– Takie wichry znamy tylko z pieśni. Tak było w prawnikach, kiedy jeszcze nikt z górali nie chodził po perciach. I kiedy nadchodzą takie wichry, to się czas obraca. Tak powracają pieśni – Berda uzupełnił słowa Ceremgi.

Wrzosiec chciał o coś zapytać, ale zrozumiał, że nie jest to właściwa chwila. Wreszcie Ceremga obrócił się w ich kierunku, a bakałarz odniósł wrażenie, jakby watah nagle postarzał się o ładnych parę lat. W oczach odmalowało się całe jego zmęczenie, wszystkie lata spędzone pod gołym niebem po halach, pośród wichrów, deszczów i zgryzot.

– Chłopcze, nie pytaj mnie o więcej. Ja już niewiele rozumiem z tego świata. Jak czujesz potrzebę, jak cię ciekawość pije, zapytaj Berdę. On jest gęślarz, on się zna. A jak się nie zna, to niedobrze będzie z nami.

A po chwili, podczas której odsapnął kilka razy, jakby zbierał siły po długim marszu, odezwał się do Berdy:

– Słyszałem niedawno trombity. Wiem, że radziliście u Jaka. Wiem, że macie sprawę na Czartaku. Ruszajcie zatem co rychlej, bo inaczej źle będzie z nami. I niech was dobry los prowadzi. Co mogę rzec, to was przestrzec przez Hnatem Kardaszem. Teraz siedzi w jaskiniach na Chochole, to możecie mu wpaść w ręce. Prędko on do walki i powiadają, że czasem wpierw atakuje, a dopiero później pyta o przyczynę. A twój przyjaciel jest obcy, nie nasz. A wiesz, że Kardasz nienawidzi ludzi z Lacerty jak psów.

– Kto to ten Kardasz?

– Panie uczony, te pytania to was kiedyś zgubią. A Hnat to zbójnik, co za górali walczy z królem Lacerty. I dobrze nas broni, ale gwałtowny jest i porywczy. Zresztą, w Kośnych usłyszycie o nim więcej.

Poklepał młodego Kościana po ramieniu i zniknął w kolibie. Po chwili wynurzył się z ciemnej izby, niosąc zawinięte w płótno oscypki, bundz i drewnianą parzenicę z bryndzą.

– Nie sądziłem, że dożyję takich czasów. Stary jestem, niechże się świat obraca na nowe beze mnie. – Watah, wypowiadając ostatnie, machnął dłonią, jakby odganiał natrętne gzy. – Bywajcie, bywajcie.

I tak opuszczali zbocza Garbacza, poranione hale, gdzie pasły się ocalałe stada Kościanów. Nie żegnano ich z taką serdecznością, jak witano w południe. Wrzosiec też poczuł się starszy. Wichry Smoczogór dobitnie przypomniały im o misji Berdy, o celu wyprawy i o tym, że nie należy lekceważyć ostrzeżeń Władcy Wichrów.

Choć młody smokoznawca miał głowę nabitą niepokojącymi pytaniami, milczał. Zasepiony Berda nie wyglądał na skorego do rozmowy. Zapewne znów zapytywał siebie o sens swego powołania, zapewne żałował, że nie może poprosić Starego Rysia o kolejną radę. Zapewne przeklinał swoje niedopierzone gęślarstwo. Ale przede wszystkim musiał wyjaśnić sam sobie sens ostatnich, tak groźnych i zdumiewających wydarzeń. Od jego wiedzy

zależało wiele: losy ich wyprawy, ich najbliższe działania, a także zapewne losy smoczogórskich górali. I wtedy, patrząc ukradkiem na postać Berdy, Wrzosiec zdał sobie sprawę, że coś dziwnego stało się z czasem, gdy trwała podniebna walka wicherów. Postarzał się Ceremga; sam uczoney czuł się zauważalnie słabszy. Ale w owej chwili zobaczył, że jego przyjaciel idzie lekko przygarbiony. Że w zwichrzonych warkoczach widać pojedyncze siwe włosy. Że zmęczone oczy oplecione są drobnymi zmarszczkami. Wrzosiec nigdy nie pytał, ile Berda ma lat. Sądził, że dobiega trzydziestu, a więc jest nieznacznie starszy od niego. Ale teraz zaczął mieć wątpliwości. Kiedy z twarzy grajka zniknął zawadiacki uśmiech, wyszło zmęczenie i pojawił się wyraz wieloletniego doświadczenia. I na okamgnienie smokoznawca dostrzegł, że smoczogórski gęślarz mógłby być jego ojcem. Nie wiedział Wrzosiec, czy naprawdę Berda miał tyle lat, na ile właśnie wyglądał, czy to czas ruszył rozpędzony wichrami. Bardzo niewiele wiedział, lecz na razie bał się pytać.

Przez długi czas szli wsłuchani w rytm własnych kroków.

Wędrowali starą górską drogą, wydrążonym w halach korytem, zanurzyli się w niej po głowy. Bakalarz dopiero wtedy zauważył, jak bardzo różne są drogi górskie od nizinnych. Do tamtej pory zawsze był czymś zaprzątnięty, zawsze miał jakieś zajęcie. Rozmawiał z Berdą, podziwiał krajobrazy, układał sobie w głowie myślowe konstrukcje i abstrakcyjne teorie, a nade wszystko i ponad potrzebę zaprzątnięty był samym sobą. A teraz zaczął dostrzegać odmienność górskich dróg. Niziny znały po prostu drogi, proste lub skręcające. A w Smoczogórach drogi latami były żłobione przez strugi deszczu i strumienie, kiedyś mające stać się rzekami; przez ciągnięte końmi pnie drzew, kiedyś mające stać się domami; przez zwożone z pól zboże, kiedyś mające stać się chlebem. Drogi żłobione ludzką pracą, drążone między polami i halami parowy i głębokie koryta.

Myśli Wrzośca musiały nader natrętnie i głośno krążyć tam i z powrotem po drogach Smoczogór, bo wreszcie Berda przerwał narastające przez dłuższy czas milczenie:

– Kto podróżuje drogami, niewiele ciekawego widzi. Bo droga prowadzi cię tam, gdzie ona chce. Przez wioski, przez miasta, przez góry. Ale ona nie tylko cię prowadzi, ona wszystko wedle siebie przemienia. Bo wszystko przy drodze jest drogą dotknięte. Z nią przychodzą nowe obyczaje, ona przynosi wieści z dalekich stron, ona też wiedzie nowych ludzi. I tak też przemienia się wszystko wedle drogi. Domy są bardziej otwarte i nowości łaknące, ludzie są świata ciekawi i z przyglądaniem się cudzemu

wędrowaniu obyci. I widzisz, Wrzosiec, żeby nas i nasze sprawy poznać, trzeba czasem drogi porzucić i na bezdroże wejść. Wtedy samemu trzeba iść, samemu siebie prowadzić. I spotkasz ludzi i domy, co inne są od przydrożnych. Ale dopiero tam zobaczysz, co naprawdę w Smoczogórach siedzi.

– Skąd wiesz, że właśnie o górskich drogach myślałem?

– Nie wiedziałem. Ale mówię ci, że nam trzeba drogę opuścić. Bo ta nas przez stoki Jedłowca zaprowadzi na Rówień. A tego nam nie trzeba. Na pozadrożu musimy więc znaleźć drogę do Kierpców, bo one bliżej Jałowca siedzą – to mówiąc, Berda wskazał na przycupnięte przed nimi garby. – I idzie o to, że czas drogę zostawić. I czas, żebyś się wreszcie dowiedział czegoś o Smoczogórach.

I tak wspięli się po stromych, gliniastych brzegach koryta, które niosło ich od Garbacza. Zaczęli brnąć przez kępy wysokiej trawy, przez borówkowe krzewiny. Szli wolniej, opóźniani rozigraną polnymi konikami łąką. Z każdym krokiem oddalali się od Garbacza, ale cień tego, co tam widzieli, nie chciał opuścić Wrzośca. I wtedy odezwał się Berda:

– Prawdę gadali stary Ceremga. To są pieśniowe wichry, nie zwyczajne. Zwykły wiatr może dach zerwać, może drzewo obalić. Ale te miały moc stu takich wiatrów. I wolę też miały, bo jak ludzie się piekliły i swymi wyciami rządziły. I czasy się obracają na nowe, tak chyba będzie. Bo nikt w Smoczogórach takich wichrów jak my dziś nie oglądał. Takie stoją jedynie w naszych prastarych pieśniach.

Wrzosiec dla pewności spojrział w stronę Pustaci. Powietrze było przejrzyste i nieruchome. Czubki świerków okalających halę sterczały wyczekująco. A Berda, nie patrząc, co robi bakałarz, jął mówić:

– Bo wszystko trzeba zacząć od początku. A na początku było tak, że nie było Smoczogór i niczego nie było. I był tylko Jedyny, ojciec wszystkiego. Ale on taki jest, że się go nie pojmie rozumem, ani nie opisze muzyką. Można się tylko nad tajemnicą zadumać i westchnąć nad swą małością. I kiedy Jedyny był jeden, to nic nie było. Bo niby skąd. I dopiero z niego się wszystko, co jest, wzięło. W świecie jest zmienność i niezmiennosc. I to są dwa prawa, z których wszystko się rodzi. Jak gęśle z jawora, jak człowiek z człowieka. Jest jakaś nieruchomosc, stałosc podobna wantom i turniom. I jest ruch, co zmienia tę stałosc, co ją obraca, rozpoławia i nowe rzeczy z niej wyciąga. Ale ruch musi mieć co do ruszania, bo sam by zginął. A stałosc potrzebuje ruchu, boby bez niego naprawdę nie była. Bo bycie to czas, a czas to ruch. I skała wie, że się ma

starzeć, bo jest czas i ruch.

Berda zamilkł, jakby zbierał myśli. Wrzosiec sądził, że przypomina sobie prastare pieśni, w których to wszystko jest opowiedziane. Chciał o coś zapytać, ale przypomniał sobie słowa wataha Ceremgi. Dlatego cierpliwie czekał. A potem przyszło mu do głowy, że Berda tłumaczy stare pieśni na obrazy, które on, człowiek z dalekiej i nizinnej Lacerty, mógłby zrozumieć. A może po prostu gęślarz czekał, aż przyjaciel z miasta zrozumie to, co zostało przed chwilą powiedziane.

– I pierwsze takie rozpołowienie to było na początku świata. Wtedy stały się góry i wichry. I każde z nich było sobie, ale też dzięki sobie, bo wichry targały górami i góry się kształtowały. Wyostrzały się granie i wyrabiały turnie. Raz po raz szły lawiny i drążyły się wielkie doliny i wąwozy, co ich z początku nie było. Góry bowiem zupełnie inaczej niż dziś wyglądały. Równe i niepooharatane, nieba sięgały i taką gładkość w sobie miały jak kamień wyslizgany w potoku. Dopiero przez wichry stały się ostre i postrzępione jak dziś. Ale wichry też miały za co dziękować górom. Bo w wyciu wichrów jest muzyka, najpradawniejsza i prastara. Ale nie byłoby muzyki bez gór, ponieważ muzyka się rodzi, kiedy wicher pomiędzy górami hula. Kiedy przez szczyty i kominy przechodzi, kiedy po żlebach się kołocze albo lawinę spuszcza i hukiem wypełnia kotły. Wicher między wantami gra. Jak w chałupie. Tylko w źle obetkanej go słyszysz, bo się szparami wciska. Lecz gdyby w pustce wiał, toby nie było ani wycia, ani echa. I tak bez celu by wiał. A tak być chyba nie może.

I tak było na początku. Ale była to też pierwsza wojna, bo się raz po raz ścierały wichry z górami. I kruszyły wichry góry, i kaleczyły się na górach. Porobiły się z tej wojny rany w górach i rany w wicherach. A z jednych wzięły się rzeki i woda, z drugich zaś porobiły się chmury i wszystko, co siedzi w przestworzach. Bo przestworza to nic innego jak wichry, co sobie dla odpoczynku przysiadły i oddech swój wstrzymały. I wyszło na to, że dzięki takiej sprzeczności, takiej walce może się co dalszego urodzić. Był w tym tęgi pomysł Jedynego, żeby jedność swą porzucić i na wielość zamienić, bo z wielości jest kłótnia, ale też jest miłość, i rodzenie, i nowe. I dobrze to zostało pomyślane, że nas przy tym początku świata nie było. Bo wtedy, jak opowiadają pieśni, cały czas wichry z furią o góry uderzały i cały czas wściekle wyły. Jak dziś na Garbaczu. I była w tym muzyka, ale dla człeka nie do wysłyszenia.

Berda znów przerwał. Na chwilę przystanęli, gęślarz bowiem zapatrzył się w nakryte białymi czapami Pazdury. A Wrzosiec o nic nie pytał, bo

uczył się słuchać.

– A potem nadeszły kolejne zmiany i kolejne rozdwojenie. Jak się już świat ukształtował, to te wielkie wichry nieco pocichły. I Jedyny wziął z gór trochę skały i porobił smoki i sztolników. Smoki wziął z grani, ze szczytów turni. I dla tej przyczyny dostały smoki ostre grzebienie i kamienne łuski. I latały po stojącym powietrzu, lekko unoszone przez wiatr. Takie to były czasy. A smoki były ogromne. Miały ogień w sobie, i to było nowe dzieło z walki skał z wichrami. I tym ogniem mogły palić wszystko, co teraz jest na świecie, ale wtedy miały do palenia tylko góry i wanty.

I byli też sztolnicy, co ich nazywają karłami, a u was gnomami. Byli jak posąg, do ludzi podobni, ale ze skały wyciosani. I ich wziął Jedyny z korzeni gór, tak jak smoki były wzięte z grani. I byli sztolnicy panami świata pod górami, a smoki panami przestworzy. I sztolnicy też mieli ogień, bo w nim wykuwali kruszce i metale, wydobyte z gór. Pod górami drążyli swe sztolnie i stąd też się wzięło ich miano. I znów nadeszły długie wieki, gdzie światem rządzą sztolnicy i smoki. I była druga muzyka, bo była muzyka w kowalstwie i wykuwaniu, i była muzyka w lataniu nad górami. Ale jedni o drugich nie wiedzieli, do czasu, aż się sztolnicy na powierzchnię świata przekopali. I wtedy zaczęły się wojny. Walczyli na ogień i na skały i wiele było takich wojen, gdzie podgórcy królowie wystawiali armie przeciw smokom, a smoki niszczyły podgórskie sztolnie. Aż znów zerwały się wichry i wyły potężnie a groźnie. I stało się tak, że czas smoków i sztolników się wypełnił. Jedni posnęli pod górami, a drudzy na graniach. I siedzą sztolnicy w Starych Sztolniach, gdzie właśnie idziemy. Ponoć pod Czartakiem i Mogielnicą jest ich podziemne królestwo. A Jaszczur w Pazdurach to smok i więcej takich da się wypatrzeć po naszych graniach.

Berda zawiesił głos wskazał i pokazał poblękitniałe od odległości góry. Wrzośca mimo wszystko przeszył dreszcz.

– I tak nadeszły nasze czasy. Ze smoków porobiły się głupie żertwy i mądre żmije. Bo wszystko w tym świecie musi być rozdwojone i poróżnione, takie już jest prawo. Zbójeckie prawo, jak niektórzy mówią, bo z tego poróżnienia tylko szkoda jest i walka. Ale bez tego to by nic nie było. Ja zaś sobie myślę, że jak jest, tak jest, ale jest. I lepiej, jakby miało nie być. Więc nie ma co narzekać. A na miejsce sztolników pojawiły się drzewa i pojawili się ludzie. I one rozdwojone, i my rozdwojeni, ale o tym już sobie gwarzyliśmy po drodze na Garbacz. I o to idzie, że teraz trzeba to wszystko znać i z pieśni wydobyć. Bo każdy czas miał swoje pieśni, lecz nie były one tylko o tamtym czasie, ale o naszym, jakkolwiek by na to patrzeć, trochę

też.

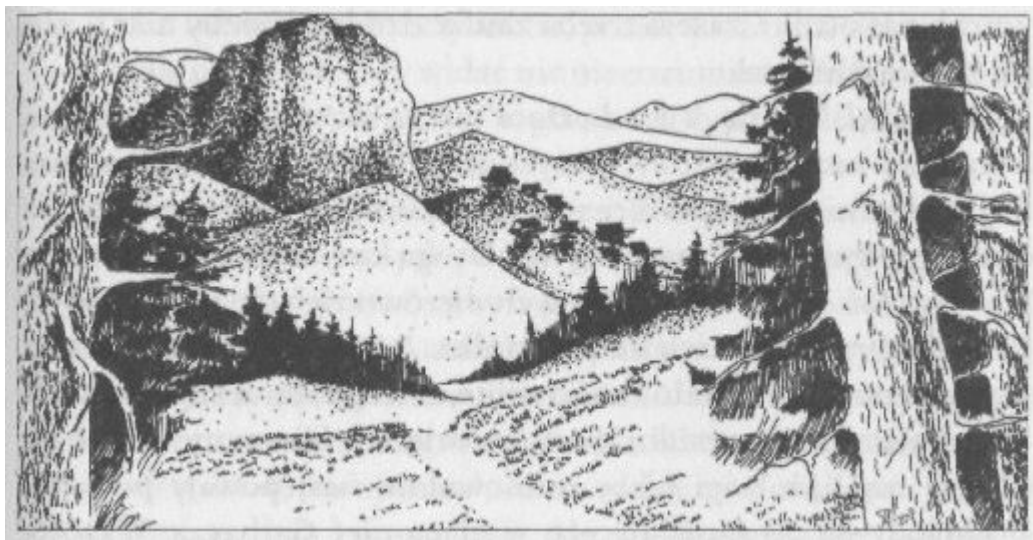
I stąd gęślarze poszukują odwiecznych nut, bo to są takie nuty, co są od początku świata. A w nich jest nie tylko muzyka, ale i słowa. I każda nuta ma sobie jedyne słowa, jedne co do niej pasują. I gęślarz potrafi je z nuty wydobyć. I to cała moja rola. A teraz czasy się zmieniają, bo znów stare wichry się pobudziły z pustkowi, z kotłów górskich, gdzie sobie na wieki gniazdo uwiły. I mnie trzeba rozpoznać, czego chcą. Niby proste, ale trudne jak nie wiem co.

I tak Berda skończył swą opowieść. A Wrzosiec słuchał jak uczeń, nie jak uczyony. Potem zaś weszli w las i gęślarz zaczął pogwizdywać pod nosem, a Wrzosiec rozpoznał w tym gwizdaniu nutę odwieczną od starego Guni z Kła, co ją poznał na ganku na Zarąbku. I zatęsknił za Rysiówym uśmiechem, za spokojem starego orzecha i za łagodną i dyskretną opieką Liski. Wrzosiec pomyślał też, że widać na tyle oddalili się od Garbacza, że Berda tak spokojnie gwizdże, lecz zaraz potem pomyślał, że być może opowieść o starych pieśniach i dawnych czasach tak uspokoiła gęślarza. Ale prawda była inna. Berda nie gwizdał ze spokojem. On gwizdał z nadzieją. Bo za niedługo zostawili las i skręcili w lewo i ich oczom ukazały się przytulone do siebie stare chałupki Kierpców. A w Kierpcach mieszkał stary Świstun ze swą odwieczną nutą. I gęślarz miał nadzieję, że w niej właśnie zaklęta jest rada na kłopoty, co spadły nieoczekiwanie na Smoczogóry.

A kiedy ukazał się ich oczom przysiółek, Wrzosiec chętnie zaniemówiłby z wrażenia, gdyby nie to, że milczał prawie od samego Garbacza. Poprawił więc worek na plecach i wydawało mu się, że nawet dudy zaklekotały wesoło.

Rozdział jedenasty

który trwa długo i krótko, ale dzieje się tak być może dlatego, że Wrzoścowi wydaje się, iż czas to ciągnie się niemiłosiernie, to znów zastyga w miejscu



Wyszli z lasu i zobaczyli przed sobą chałupy Kierpców, nad nimi zaś masyw Jałowca, który Wrzoścowi przypominał siedzącą na ziemi postać. I właśnie na podciągniętych pod brodę kolanach rozsiadły się oczekiwane Kierpce. Powietrze było krystaliczne i przejrzyste, a kontury chałup wyraźnie odcinały się od pomarańczowego nieba. Słońce powoli żegnało się ze światem i jeszcze po matczynemu muskało ostatnimi promieniami zbocza gór. I rozświetliło na chwilę przytulone do siebie chałupki i ocieniającą je kępę drzew. Bakałarz westchnął.

– Choćby cię wychłostały wichry i wysiekły deszcze, to nie przestaniesz kochać gór. Mają one w sobie takie widoki, jak ten, dla których wszystko im wybaczysz – powiedział ściszym głosem Berda.

Młody smokoznawca w milczeniu przyznał mu rację i popatrzył jeszcze raz ku Kierpcom. A chałupki wydały mu się teraz tak malutkie i odległe, tak nieosiągalne i dalekie. I czuł, że to nadzieja je przybliżyła, że wyobraźnia podpowiadała mu ich dokładny kształt, pokrycie dachu, rodzaj okalających drzew. Lecz spojrzął w dół hali, na którą wyszli. A tam czerniły się las i dolina, i łagodne garby, które oddzielały ich od celu podróży. Bo zachód

słońca zwodził ich i zmieniał odległości tego, co oczekiwane. A w rzeczywistości do Kierpców mieli jeszcze kilka godzin marszu. Zmierzchało i Berda wyszukał pozarastaną i ginącą w trawie drogę.

– Jaka jest, taka jest, ale zaprowadzi wprost do Kierpców, kiedy zmrok nas otuli. Czasem trzeba zaufać drodze, choćby nikt o niej od lat nie pamiętał.

Odпочęli chwilę, a kiedy złota tarcza skryła się za pagórami i stamtąd zaczęła różowić horyzont, ruszyli w dół. Czasem musieli rozgarniać raniące ręce maliniaki, innym razem przekraczać omszałe, sypiące się, martwe pnie. Droga kazała im brodzić w trawie, osuwać się po zapuszczonych nierównościach, ale z każdym krokiem przybliżała ich do przysiółka. A Wrzosiec był zmęczony. Zwykłe znużenie dawało znać o sobie, dlatego starał się nie myśleć o czekającym ich wysiłku. Buty go ocierały, lecz zanurzał się we własne myśli, a nogi jakby mimowolnie następowały po sobie i oddalały go od zapadającego w niepamięć Garbacza. Wkrótce hala się skończyła i znów weszli w las. Kilkakrotnie potknął się bakałarz o powykręcane korzenie, czasem przystawał, by wysypać igliwie z butów. Spomiędzy świerkowych gałęzi łagodnie, choć bezużytecznie skrzyły się gwiazdy. Myśli o Jedynym i muzyce świata nieco odpędzały zmęczenie, ale wszechstronne ćwiczenie cierpliwości okazało się dla Wrzośca zbyt ciężką próbą. Wreszcie zapytał towarzysza:

– Mówiłeś o odgadywaniu znaczenia słów z czystej melodii. Skąd wiadomo, że te wasze nuty miały jakieś słowa?

– Nie nasze, Wrzosiec, nie nasze. Gdyby były nasze, to pewnie miałyby nasze słowa, przez nas powymyślane. A takie na nic by się nam przydały. Ale coś nieuważnie mnie słuchałeś, kiedy opowiadałem o świecie i jego muzyce. Bo wszystko, co jest, to dzieło rozdzielania. A każde rozdzielanie to pęknięcie, to brak i szkoda. Tak jak i w człeku. Ale w tym jest nadzieja. Jak masz popękane skorupy dzbana, to możesz dopasować je do siebie po kształcie pęknięć. I tak jest z muzyką. Kiedyś słowa i muzyka to były jedno. I są ślady tego do dziś. Mówisz szelest, i ci szeleści; mówisz *huk* i coś ci huczy; mówisz *kumak* i kumka ci ta wypowiedziana żaba. I tak było kiedyś ze wszystkim. Była muzyka, a w niej nuty i słowa. A potem się porozdzielało. I gęślarska rzecz to poznać te pęknięcia, jak u dzbana. A wtedy znajdziesz słowa, co były w nucie odcisnięte i z nutą połączone. Jak po śladach możesz powiedzieć, czy gonisz zająca, czy dzika, tak i tu. I to cała sprawa.

– Teraz rozumiem. Rzeczywiście, proste to, z tymi słowami.

– Wcale nie proste, a ty widać nic nie rozumiesz. Tylko wiesz, jak jest. A to jest gruba różnica. – W głosie Berdy nie było złośliwości, jedynie ciężkie westchnienie.

Ciemność oddzieliła ich od siebie i Wrzosiec w milczeniu postępował za śladem jasnych portek gęślarza. Zmęczenie narastało i często musiał zagryzać zęby i uporczywie odganiać myśli od swych stóp. Szli od świtu i nie licząc krótkiego odpoczynku na Hali Redykalnej, nie dawali sobie wytchnienia. Bakałarz nie pamiętał zbyt dobrze map Smoczogór, jakie oglądał dawno temu w Lacercie. Zresztą i tak podejrzewał, że są wielce niedokładne i łatwiej się z nimi zgubić, niż znaleźć. Ale wyobrażał sobie rysowane tuszem stożki gór i wzniesień, delikatnie cieniowane i okolone małymi kulkami drzew. I jego zmęczona wyobraźnia mnożyła te stożki, jakie niechybnie minęli od porannego wymarszu. Zapadał w dziwną drzemkę, gdzie zapamiętałe w marszu ciało, jakby od zawsze wędrujące zarośniętymi ścieżkami, samo kroczyło uparcie do przodu. A on wybudzał się co chwila i nie pamiętał, ile czasu mogło minąć od przyśnięcia. Monotonia pni świerkowych, podejść i zejść, łagodnego opadania i wznoszenia usypiała go. Niekiedy płaczliwie przywoływał oddalającego się coraz bardziej towarzysza. Wtedy Berda przystawał i zapewniał, że już niewiele im zostało do przejścia. Ale po tych zapewnieniach przychodziły kolejne mijane pnie, kolejne opadania i wznoszenia. Aż wreszcie gęślarz sam przystanął.

– Zaczerpnij, chłopie, kapkę powietrza, bo to już ostatnie podejście. A tam na górze są Kierpce. I dawaj tę Śmierć, bo zgubisz siebie i ją, a wtedy dopiero będzie bieda.

Ponad lasem coś migotało przyjaźnie. A podejście okazało się ostatnie. I ciągnęło się niemiłosiernie. Pod koniec bakałarz poczuł, że kręci mu się w głowie, a przed oczami migają ogniste i czarne plamy. Aż wyszli na polanę, na łyse kolano Jałowca, gdzie czekały na nich Kierpce i ciepłe światło sączące się z okien na trawę. Mogła być północ, choć Wrzoścowi było wszystko jedno. Nie wdrapał się na ganek pierwszej z chałup, tylko przycupnął na schodach i słyszał jakby z oddali, jak Berda puka do drzwi.

– Kto jesteście i czego szukacie po nocy?

– Przychodzimy z muzyką i po muzykę!

– To prosimy was pięknie do środka!

Ale niewiele z tego, co działo się później, pozostało w pamięci bakałarza. Ostatnie, co zobaczył, to snop światła bijący od otwieranych drzwi. A potem jeszcze na mgnienie oka przecknął się zagrzebany w sianie.

Z dołu dochodziły dźwięki skrzypiec. I tak usnął.

Obudził się zlany potem. Południowe słońce wnikało na strych przez liczne szpary i dziury w dachu. Zastygły, pełen siennego pyłu blok powietrza pomiędzy stropem i pokryciem chałupy nagrzał się do nieprzytomności. Wrzosiec z trudem łapał powietrze, co rusz kichając i z każdym ruchem wzniesając kurzawę. Promienie prześwietlały mętne, krążące wokół niego chmury paprochów. Z zewnątrz dochodziły głosy i śmiechy. Wreszcie bakałarz wstał i spróbował zejść po drabinie. Każdy szczebel przypominał mu o minionym marszu. W końcu stanął na twardym gruncie i, kulejąc, wyczłapał na ganek.

W zasadzie ganek był ciągnącym się na całą długość chałupy tarasem, niezdarnie kończącym się przegniłą balustradą, za którą w dole panoszyła się zarośnięta hala. Pod ścianą, na długiej ławie, siedzieli czterej sędziwi górale, a naprzeciw nich, okrakiem na starej beczce, kołysał się Berda. Wrzosiec stanął w drzwiach, przycupnął na progu i tak zastygł, przysłuchując się rozmowie.

– A więc przychodzicie z Zarąbka nad Smreczynami?

– Tak jak mówiłem w nocy. Od Starego Rysia.

– Ten sam Ryś z Kościanów? To on jeszcze żyje?

– Żyje, i ma się dobrze.

– No i nic dziwnego, toż to był smark, jak go ostatnio widzieliśmy.

– E, chyba, gazdo, żartujecie – zaśmiał się Berda.

– Jak żartuję, kiedy nie żartuję? – obruszył się zagadnięty. – Byliśmy już w leciech, obabieni, kiedy ten chłopak dopiero co zaczynał juhasować na Garbaczu. I wiem, co mówię, bo pamięć mam dobrą.

– Dobrze mówisz, Zgadula, tylko trochę nie tak. Bo nie ostatni raz go wtedy widzieliśmy. Jeszcze parę razy zachodził tu, do Kierpców. I nut szukał. A znał się na tym. Dziw, że jeszcze żyje.

– Musi mieć coś z nas.

– Stara góralska krew...

– Takiej już nie bywa...

Starczy się rozmarzyli i zatopili w rozmyślaniach. Mrużąc oczy, patrzyli na południe. Berda wstał i poklepał towarzysza po plecach.

– A oto i mój przyjaciel, Wrzosiec z Lacerty, chłop wielce uczony, choć nieco za słaby jak na góry.

– A, to ten, cośmy go w nocy na stryszek pomagali wnosić? – powiedział, kiwając głową, Zgadula.

– Ten sam, ale jak nowo narodzony.

– To widać mu nie zaszkodziło, jak go przypadkiem ze trzy razy upuściliśmy?

– Dwa, Zgadula, tylko dwa razy.

– Jak mówię, że trzy, to trzy.

– Siedź lepiej cicho, boś smark. I nie pyskuj starszym, boś nam winien szacunek i poważanie. Mówię, że dwa, to nie może być trzy. To każdy zrozumie, poza tobą.

Berda ze śmiechem przerwał to przekomarzanie.

– Dobrzy gazdowie, poznaliście mego towarzysza, to pozwolicie, że i was przedstawię. Wrzosiec, przed tobą ostatni mieszkańcy Kierpców: Przesmyk i Głuchacz, najmłodszy z nich Zgadula, i najstarszy Świstun.

Berda przedstawiał ich w kolejności siedzenia, a wymienieni lekko kłaniali się, dalej patrząc w hale. A kiedy gęślarz skończył, Przesmyk, co się wcześniej kłócił ze Zgadulą, wtrącił:

– Nie ostatni, ale pierwsi. Przed nami nikogo tu nie było.

– I po nas nie będzie – dodał Głuchacz.

– Tak to się czasem dziwnie na tym świecie dzieje. Że ci sami zaczynają i kończą. Choć inaczej być powinno.

Wszyscy wyglądali na wielce sędziwych. Nosili się jak Ryś, a ich długie, zmierzwione i nieprzycinane od miesiący bokobrody sięgały ramion. Mieli smagłe, poorane twarze i ostre, orle rysy. Siedzieli obok siebie jak bracia, a ich portki pełne były dziur i cerowań.

– Przepraszam, że pytam – zaczął nieśmiało Wrzosiec – ale ciekawi mnie wielce, ile panowie... ile macie lat?

– Ho, ho... – zadumał się Zgadula.

– A konkretnie który z nas cię obchodzi, moje dziecko? – zapytał Przesmyk. – Bo mnie i Głuchaczowi będzie po dwieście roków, równusieńko. Tego samego dnia się nawet rodziliśmy. Zgadula jest dużo młodszy, bo ma dopiero jakieś sto osiemdziesiąt pięć...

– Sto osiemdziesiąt siedem, w lipcu przecież skończyłem, już nie pamiętasz, stary dziadu?

– Prawda, chłopcze, niech ci będzie te sto osiemdziesiąt i siedem. A Świstun jest z nas najdojrzały, bo będzie mu dwieście i trzysta. I szanujemy go, bo to nasz stryj, a i Zgadulę ojciec. Ale cóżeś tak zbladł i zaniemówił, dziecko?

– Bez wieczerzy się położył, bez śniadania wstał, to cóż się dziwisz.

– Berda, daj mu coś jeść i pić, a my tu za was podumamy.

Przyjaciele weszli do izby.

– Powiedz, że żartują ze mnie – odezwał się Wrzosiec, jak tylko zamknęli za sobą drzwi.

– Nie powiem ci tak, bobym musiał skłamać. A nie lubię. Może mylą się o parę lat, ale na pewno starsi są od Rysia. A jemu jest dokładnie sto siedemdziesiąt i dziewięć roków. I taka jest prawda.

– Jak oni to robią?

– Tak to jest, że niektórzy górale dostają długie życie. I już. A jak ci takie wyjaśnienie nie starcza, to sam ich zapytaj.

Przy izbie, w której siedzieli, chałupa na Zarąbku wydawała się nowoczesna. Bakałarz nie wiedział dokładnie, na czym to polega, ale domy w Kierpcach wyglądały, jakby pamiętały początek świata. Zbudowane z ogromnych, teraz prawie białych płazów, których cztery starczyły, by wystawić ściany tak wysoko, że gdyby Wrzosiec podskoczył, toby z trudem sięgnął dłonią stropu. Płazy, wyciosane z prastarych jodeł smoczogórskich, których już od dziesiątków lat nie spotyka się w Garbach; maleńkie, jakby zagubione w potężde bierwion okienka; staroświeckie, niespotykane gdzie indziej zdobienia sosrębu; proste, poorane czasem meble, a więc stół, kilka zydli, dwa kufry, kryjące się w ciemności kątów; pod ścianami pajęczyny, zakurzona podłoga, z wydeptanymi w świerkowej podłodze ścieżkami do drzwi, stołu, pieca i łóżka. I piec malowany scenami z góralskich opowieści, gdzie każdy kafel opowiadał inną scenę: smoki, gnomy, zbójnicy i gęślarze. Wrzosiec poczuł, jakby nagle czas zawrócił i cofnął ich do samych początków Smoczogór, do początków, o których pamiętają tylko nieliczni, znający stare pieśni.

Spokojnie posilali się, mieszając przyniesione sery ze skromnym pożywieniem czterech starców. Minęła dłuższa chwila, zanim znów wyszli przed chałupę.

– O, już jesteście? – zdziwił się Przesmyk. – Pewnie w ciemnej sieni nie wiecie, gdzie drzwi do izby. Zaraz za cebrem, na lewo.

– Dziękujemy, sami trafiliśmy. I jesteśmy już po śniadaniu.

– Nie może być.

– Ale jest.

– No i dobrze. A teraz siadajcie i opowiadajcie, co tam nowego w świecie. Bo my słyszeliśmy potężną burzę, co się przetoczyła nad Garbaczem. Kiedy to było?

– Wczoraj, Przesmyk, koło południa.

I tak Wrzosiec po raz pierwszy usłyszał Świstuna. I od razu wiedział, skąd wzięło się jego imię. Starzec, nie odrywając wzroku od poszarzałych w

ostrym słońcu gór, z każdym słowem wypuszczał z ust powietrze z takim świstem, że z trudem można go było zrozumieć. Przesmyk już chciał zaprotestować, lecz go Berda ubiegł.

– Wczoraj to było, dobrze Świstun mówią. Ale nie burza, tylko wichry. One wyły jakby grzmoty i pioruny.

– Nie może być... – Przesmyk zasepił się wielce. – Na pewno nie burza?

– Wichry, sami widzieliśmy. Byliśmy wtedy na stokach Garbacza, na Redykalnej.

– Jak mówią, że wichry, to mówią. I się stary nie dziw – Świstun uciał dyskusję. Nie wyglądał Wrzoścowi na przyjemnego staruszka.

– To dobrze, bo was chociaż nie zmoczyło.

– Dobrze i źle zarazem... – zaczął Berda cicho.

A potem opowiedział wszystko, od początku. O wichrach i o Smyku, o Śmierci i o gniewie Władcy Wichrów. O radzie u Jaka i o celu ich wyprawy. Starcy w milczeniu kiwali głowami, potem zaś zapadła cisza. Wrzosiec, jak pozostali, przepatrywał widnokrąg w poszukiwaniu rady.

– Nie fraszujcie się, chłopcy – Świstun zaświstał po swojemu. – Już o tym gadaliśmy trochę wcześniej, bo nam skrzat poopowiadał. Na wszystko znajdzie się rada. Skoro wieje, tak być musi. Pierwszy to raz rozeźlił się Władca Wichrów? Nie pierwszy. Powód ma na pewno, bo głupi nie jest, że wichry pełne złości porozpuszczał. Czy to Śmierć, czy nie Śmierć, nie nam sądzić. Zróbcie, co macie zrobić, i czekajcie. Góry są stare i wielkie, a my mali i zupełnie nowi na tym świecie. Mimo choćby i tych dwustu lat. To i cicho czekać musimy, kiedy się naprawdę starzy kłóćą o świat...

Wrzosiec już chciał o coś zapytać, ale Berda ścisnął mu rękę i syknął szeptem:

– Zawrzyj na moment gębę i posłuchaj choć raz.

– Po radę do nas przychodźcie, bo nam starość mądre rady podpowiada – starzec świstał dalej. – A ja wam tak powiem. Są takie sprawy, na które nie ma rady. Nawet starcy jej nie mają. Co ma być, to będzie. Powiem wam tyle, że dziwne idą czasy. Ale to już wiecie.

– Ryś mówili, że macie, Świstunie, odwieczną nutę.

– Mam, od lat ją noszę. Wiedziałem, że kiedyś przyjdzie czas, by ją przekazać. I to jest ten czas. Jednak nie śpieszmy się. Muzyka to światło nocy. Teraz jest słońce i są widoki. One nas rozpraszają, one kradną dźwięki. Ale przyjdzie zmrok, to przyjdzie czas muzyki. I wtedy dam ci, Berdo, odwieczną nutę. Choć może w niej nic na wichry nie znajdziesz...

– Dzięki, Świstunie.

– Nie dziękuj, Berdo, bo ja ją tylko przechowuję. I nie moja to nuta. Nic na świecie nie jest nasze. Nawet życie, co nam się własne zdaje, darowane nam jest. Jednym krótkie, innym długie, jednym szczęśliwe, innym pełne trudów. I źle się dzieje, kiedy ludzie zawłaszczają, co nie ich. Z tego się nieszczęścia biorą. Jak teraz ze Smykiem i Śmiercią. Widać nawet własna śmierć nie może być do końca własna.

Świstun nagle skończył. Przez cały czas nie spojrzął na nikogo, tylko spokojnie osadzał wzrok w horyzoncie. Znow nikt nic nie mówił. Ale Wrzoścowi jakoś się nie dłużyło. Wydawało mu się jedynie, że czas trochę wolniej kapie, bardziej leniwie, lecz nie nudno. Słońce spokojnie przesuwano się po nieboskłonie. Na koniec odezwał się Głuchacz:

– Do nocy trochę czasu. Jak chcecie jeść, to trzeba grzybów nazbierać. Idźcie w las, zanim słońce zajdzie. Ugotujemy zupę z prawdziwków, z jajkiem i śmietaną, jak trzeba. A potem usmażymy kanie i rydze. Zgadula, idźże z nimi, młody jesteś, a my się tu w spokoju pogrzejemy. Pokażesz, gdzie najlepiej szukać.

Zgadula niechętnie podniósł się i zniknął w sieni. Wyszedł z brzozowym koszem, postawił go przed Wrzoścem, a potem, pogwizdując, zszedł z ganku i ruszył w stronę lasu. Bakałarz zdziwiony patrzył, jak równo i dziarsko idzie. Sam wstał i poczuł ból w mięśniach. Jęknął płacząco.

– Takie zmęczenie trzeba rozchodzić, nie ma lepszej rady – usłyszał głos Berdy. – Bywajcie do wieczery.

Pospieszyli za czerstwym staruszkiem i szybko się z nim zrównali. Zgodnie z przypuszczeniami, Wrzośec nie potrafił utrzymać języka na wodzy.

– Ja nie jestem stąd, to się dziwię może prostym sprawom. Ale powiedzcie mi, jak to jest, że pośród was są tacy, co żyją po dwieście lat i dobrze się mają, a inni już po siedemdziesiątce dziadzieją?

– Ja tam nie wiem, mnie dopiero dziewiętnasty krzyżyk idzie. Spytaj tamtych – Zgadula niewyraźnym gestem machnął w stronę oddalających się powoli Kierpców. – Ale mówią, że to od drzew zależy. Jak się przydarzy, że twoje drzewo przed tobą obumrze, to masz przed sobą długie życie. Rzadko się tak dzieje, bo przecież drzewa to urodzone staruchy. Ale jak już się trafi, to nie dość, że zdrowie i życie na długo zachowujesz, to jeszcze z wiekiem, zamiast głupoty i bełkotania, jakaś taka jasność ducha ci przychodzi i spokój, że czujesz się zupełnie inaczej niż inni ludzie.

– Mówią też – ostrożnie podjął Berda – że dusza jakoś wie, że coś się na drodze do zjednoczenia dokonało, i stąd ten spokój. I dlatego mądrości w

starości szukamy. Nie dlatego, że starzy większe mają doświadczenie od młodych, ale właśnie dla tych przygód duszy. Bo ona jakby już jedną nogą jest w zaświecie. Jednym okiem ogląda sprawy naszego świata, a drugim poza bramy śmierci zagląda. I nie wiadomo jak, ale sobie taką pełniejszą o świecie buduje wiedzę. Dlatego starcy rozmawiają ze skrzatami, z chochlikami, co choroby przynoszą, ze snujami i smętkami, podczas gdy zwykły człek takich stworów nie ma jak oglądać.

– Tak, chłopcze, mądrze gadasz, że myślę sobie, że twoje drzewo ktoś musiał omyłkowo wyrwać i przez to życie ci się szykuje sędziwe. Jako nam.

– Może, tego nikt nie wie. Ale chyba mylicie się. Ja po prostu jestem uczniem Starego Rysia i jego słowa powtarzam.

– A ja wiem, co mówię. O, jesteśmy.

Zgadula przyprowadził ich na podmokłą polanę. Na jej skraju rosły na przemian brzoźki i świerki, a pomiędzy nimi kryły się całe stada poszukiwanych grzybów. Były tam nie tylko prawdziwki, ale maślaki i duże kozaki. Młodzi zaczęli buszować między kępami wysokiej trawy, a stary góral usiadł na pniaku i zapalił fajkę. Kiedy Wrzosiec w swych poszukiwaniach zbliżał się do niego, miał wrażenie, że słyszy, jak stary szepcze i coś komuś tłumaczy. Ale nie wnikał w to, gdyż pochłonęło go grzybobranie. Bo takich kani, wielkich jak filcowe kapelusze, nigdy nie oglądał. Każda była w sam raz, by zapełnić patelnię. Nie minęło wiele czasu, kiedy stojący u stóp Zgaduly kosz zapełnił się po brzegi. Powoli zaczęli wracać.

– Długo tak sami w Kierpcach pomieszkujecie? – Berda skracał rozmową marsz.

– Będzie gdzieś połowa życia. Baby nas zostawiły i za dziećmi poszły w dół, do Kośnych, do Moczarek. I dobrze. Jest taki czas, że ani baba z chłopą pożytku nie ma, ani chłop z baby. Ani za co chwycić, ani po czym poklepać. Zresztą baby taką mają już naturę, że się starości boją. I myślą, że jak się od starości odwrócą, jak nie będą na nią patrzeć, to od niej uciekną, to się jej wywiną. A ja ci powiem, boś młody i jeszcze wiele błędów przed tobą, że na babę nie ma żadnej mądrości. Choćbyś żył i trzysta lat, i tak baby nie zrozumiesz. Tak ten świat pomyślany i już.

– I nie nudzi się wam?

– A co się ma nam nudzić? Życie? Tacy bezdrzewni starcy jak my wiedzą, że życiem trzeba się cieszyć. Ludziom czas się dłuży, poganiają go, a potem żałują, jak śmierć nadchodzi. I w tym jest głupota. A my już wiemy, że życie to dar, i wiemy, jak czas naprawdę płynie. Wolno sobie

kapie, a ty się tylko przysłuchujesz temu kapaniu chwil. Patrzysz na góry, myślisz. I choćbyś sto lat myślał, nie zrozumiesz świata. To co ci się ma znudzić? Nudzą się ci, co myślą, że już wszystko znają i wszystko widzieli. A ja co dzień w widoku przed domem odnajduję coś nowego. Starość pozwala ci zobaczyć zmiany, które umykają młodym ludziom. I stałość tego, co jest niezmiennie.

Wrzosiec nie pamiętał już o bólu w nogach i dopiero kiedy zobaczyli chałupy Kierpców, przywołał wspomnienie wczorajszego podejścia. Teraz mógł je świadomie powtórzyć i cieszyć się zbliżającymi się domami, co skwapliwie wykorzystał. Zobaczył, że na hali pasą się krowy i kozy, a pilnują ich stare psy, które wygrzewały się na kamieniach i wystawiały do słońca posiwiałe, niegdyś płowe pyski.

I tak doszli do chałupy, w której spali, a która, jak się okazało, należała do Świstuna. A że był najstarszy, to wszyscy go odwiedzali i tak tylko na noc zachodzili do siebie. Całe życie starców toczyło się pomiędzy gankiem a izbą, w zależności od pory roku. Czasem Zgadula, jako najmłodszy, zaganiał krowy, choć te od lat nawykły do starczych obyczajów i same z kozami na noc szły do obórki, by rankiem spokojnie wyruszyć na pasienie. Doili je z gazdowskiego przyzwyczajenia i czasem, jak nie zapomnieli, robili wędzone sery. Ale w ogóle mało jedli, a przyzwyczajone do tych gazdowskich dziwactw krowy dawały mało mleka – i tak wszystko pozostawało w najlepszym porządku.

Tymczasem, pomiędzy opowieściami o codzienności Kierpcowych gazdów, zupa grzybowa jakoś się sama przygotowała i zapach wypełnił izbę. I nie trzeba chyba nikogo przekonywać, że była wyborna i smakowita, a przez śmietaną także sycąca. Kto zaś nie wierzy, niech sam spróbuje, choć marne szanse, by mu wyszła tak dobrze, jak owego wieczora. A o kaniach to już w ogóle nie ma co mówić, bo tylko przykrość można głodnemu wyrzucić takimi wspomnieniami. A kiedy wymiatali resztki z misek kawałkami pieczywa, słońce dobrotliwie i na dobre zapodziało się gdzieś za widnokregiem i mogli zacząć muzykować.

I wtedy Wrzosiec kolejny raz w trakcie swej smoczogórskiej wyprawy po raz pierwszy zobaczył i usłyszał całe mnóstwo nowych rzeczy. Zobaczył, na ten przykład, jak górale grają przy głębokim głosie dużego bębna, w który uderzał zapamiętały i kiwający się miarowo Zgadula. I nigdy później nie miał już tego oglądać, bo tylko w Kierpcach pamiętano o tym prastarym strażniku rytmu. I zobaczył Przesmyka grającego na fujarze, i starego Świstuna rzewnie ciągnącego na skrzypcach, i Głuchacza dmącego w dudy,

i to nie były jakie, ale zrobione z prawdziwej górskiej kozicy, z kunsztownie rzeźbionymi bąkiem i gajdzicą.

Jednak najważniejsze było to, że po raz pierwszy młody bakałarz usłyszał pieśni. Nie góralskie tańce, nie przyśpiewki, jakimi uwodzą się młodzi, ale prastare, odwieczne pieśni. Wtedy Świstun i Głuchacz odłożyli instrumenty i zaczęli śpiewać niskimi głosami, rzadko spotykanymi w góralskiej muzyce. I Wrzosiec usłyszał to, co znał tylko z opowieści. Starcy kiwali się jednostajnie w rytm bębna, jakby pogrążeni w transie, jakby rozpięci pomiędzy światem i zaświatem, a pomiędzy ich głosami wił się dźwięk piszczałek Głuchacza. I słyszał Wrzosiec o początkach świata i o smokach, o sztolnikach i wielu innych sprawach, które poznawał, odkąd zanurzył się w Smoczogóry. I usłyszał sporo innych pieśni, o których nie opowiadał mu ani Ryś, ani Berda, a dzięki którym wydawało mu się, że lepiej rozumie te strony.

Ale nie to wszystko było najważniejsze. Bo oto stało się coś, czego nawet nie śmiał podejrzewać: kiedy tylko Świstun zaczął pierwszą z pieśni, swym świszczącym, przenikliwym głosem, Wrzosiec poczuł, że czas zastyga. Że staje zasłuchany, że pieśń wciska się pomiędzy chwile i tam trwa, nie trwając w bezczasie. I spojrzał na Berdę, a ten siedział nieruchomo; i spojrzał smokoznawca na płomień, który drgał na końcu łuczywa, a płomień zastygł w bezruchu i po prostu oświetlał izbę, nie igrając skocznie w podmuchach powietrza. Bo powietrze też stało w bezruchu. I nagle zrozumiał Wrzosiec cały sens pieśni, całą miłość górali do tych odwiecznych śladów Jedynego. Zrozumiał, że pieśń potrafi zatrzymać czas. I czuł nawet, że gęślarze potrafią pieśnią ten czas cofnąć.

Berda zmrużył oczy i też trwał wraz ze wszystkim w bezruchu, choć Wrzosiec nie wiedział, czy taki beczasowy bezruch, gdzie jest tylko pieśń, można nazwać w ogóle trwaniem. I mimo że nie wiedział, to nie dociekał tego, tylko wewnętrznie kołysał się wraz z pieśnią i chłonał jej rytm, monotonną, powtarzalną melodię i słowa.

A kiedy skończyli grać i śpiewać, bakałarz ocknął się, bo sądził, że dopiero przed chwilą zaczęli. I miał rację, ale to była najdłuższa chwila, jaką przeżył, równa połowie nocy, chociaż za oknami noc ani na krok nie zbliżyła się do świtu. I znów mieli całą noc dla siebie.

I wówczas Świstun zaczął grać swą nutę odwieczną. I grał pięknie, grał spokojnie. A kiedy Wrzosiec spojrzał na Berdę, to zobaczył nagle starego, przygarbionego przyjaciela, który z trudem wspiera się na gęślach jak na kosturze, na gęślach twardo wbitych w kolano. I zobaczył, jak palce

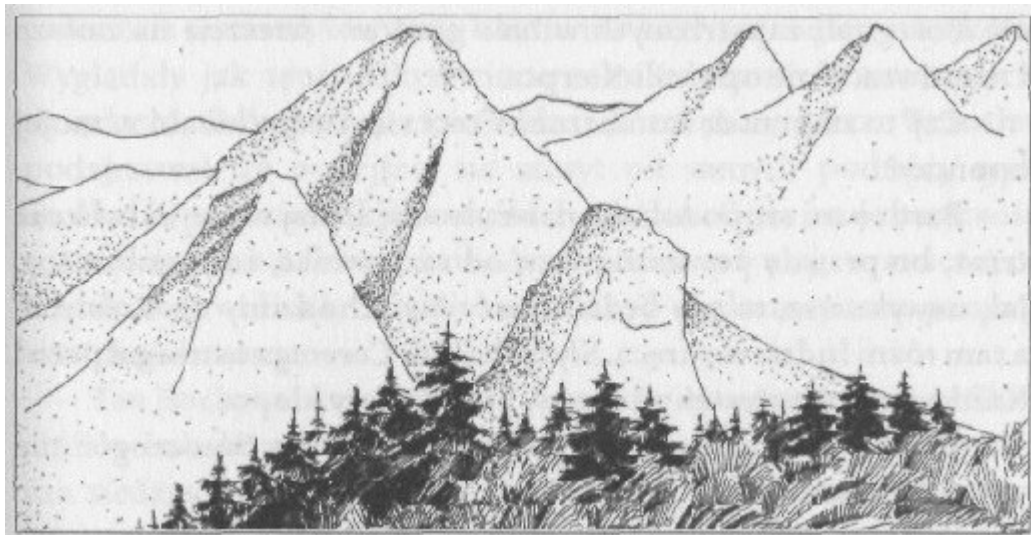
bezgłośnie wędrują po gryfie, powtarzając ruch palców Świstuna.

I zobaczył i usłyszał jeszcze wiele nowych rzeczy. I były dlań tak nowe i niezwykle, że kiedy wspomniał je po przebudzeniu następnego dnia, to nie był do końca pewien, czy przypadkiem to wszystko nie śniło mu się pośród wonnego, łaskoczącego po twarzy siana. I dopiero kilkakrotnie pytany Berda ze śmiechem potwierdził prawdę o minionym wieczorze.

Wkrótce dziwnie wypoczęci i nieznacznie posileni kozim serem mieli wyruszyć w dalszą drogę, by na zawsze zostawić za sobą Kierpce i czterech starych, zapomnianych przez czas bezdrzewnych gazdów.

Rozdział dwunasty

w którym Berda z Wrzoścem na chwilę schodzą z gór



Bardzo długo się zbierali, choć byli zaskakująco rześcy i wypoczęci. Bakalarzowi wydawało się, że powoli wszystko wraca do pierwotnej równowagi. Ten sam czas, który ich nagle postarzył na Hali Redykalnej, odjął im lat podczas wieczornego posiadu w Kierpcach. Jakby tylko dał im tamten ciężar na niedługie przechowanie. Wrzosiec znów czuł się młody.

Tuż przed wyruszeniem spojrzał jeszcze raz na siebie. Spotkanie z sędziwymi gazdami zmieniło go nie do poznania. Teraz miał na sobie góralskie portki, co prawda trochę nadwerężone i stare, ale jeszcze nadające się do noszenia, i podobną Berdowej szarą lnianą koszulę z kapturem. A na wierzch filcowy serdak, haftowany w kwiatowe wzory. Kiedy dotykał twarzy, w miejsce długiej, przetykanej rudym włosem brody czuł delikatną, gołą skórę. Tylko wąsy zdołał ocalić z porannego golenia. Wprawdzie ostre sukno trochę drapało go po nogach, policzki i podgardle swędziały, ale w tym stroju bardziej niż w swej bakalarskiej opończy przypominał górala.

– No, teraz to prawie wyglądasz jak nasz – Berda z odległości kilku kroków krytycznie przyglądał się przyjacielowi. – Ale uważaj w Kośnych, żeby nie mówić za dużo i z byle kim. Bo gadasz jak nie nasz, po uczoneму i bez góralskiego rytmu. I od razu poznają, żeś tylko poprzebierany.

Uczony nie wiedział, czy się ma z tej odmiany cieszyć, czy smucić.

Pożegnali zapatrzonych w hale gazdów i wreszcie na zawsze i nieodwracalnie opuścili Kierpce.

– Czy to naprawdę konieczne? Co ci się nie podobało w mojej opończy?

– Bardzo mi się podobała, nawet trochę lepiej w niej ci było niż teraz, bo prawdę powiedziawszy, od razu widać, żeś poubierany. Jak nawykniesz, to nie będzie znać. Ale schodzimy do Kośnych, a tam różni ludzie się kręcą. Słyszałeś, jak Ceremga ostrzegał przed Kardaszem. A ty jesteś z Lacerty. I to jest cały kłopot.

– Jestem uczonym i żadnego zła góralom ze Smoczogór nie wyrządziłem.

– Widzisz, Wrzosiec, ja to wiem i Ryś to wie i wszyscy, co cię tu poznali, też. Ale Hnat Kardasz chyba nie za bardzo. I może cię nie zapytać. A on poddanych króla nie lubi. Opowiadają, że mu żonę żołnierze królewscy spalili, co góralowi wystarczy za powód do zemsty. Wierz mi, Wrzosiec, w zupełności wystarczy.

Bakałarz poprawił ostre wełniane portki i ruszył dalej. Jego nowy przydzwiek nie bez trudu Zgadula wyszperał na dnie starego kufra, do którego nikt nie zaglądał przez lata. Nawet uczony wiedział, że strój jest cokolwiek staroświecki i wymaga porządnego prania, ale nie miał kiedy tego zrobić. Od czasu wichrów pod Garbaczem Berda krzywo patrzył na wszelkie opóźnienia w ich wędrówce. I Wrzosiec dobrze to rozumiał. Gazdowie nic nie chcieli za ubranie, ale Berda nalegał. Koniec końców, stanęło na tym, że zostawili starcom oscypki i bundz, co je mieli od Ceremgi. Nawet na ponurej zazwyczaj twarzy Świstuna widać było radość. W Kierpcach dawno zapomniano, jak smakują prawdziwe owcze sery. Przesmyk z Głuchaczem rozmarzyli się, wspominając swe niegdysiejsze stada. I w tym rozmarzeniu zostali, zapewne na długie godziny, nieobowiązujące nachalnym przemijaniem.

A tymczasem dwaj wędrowcy dochodzili do północnego krańca Jałowcowych hal. I kiedy podnieśli wzrok, zobaczyli na horyzoncie wysoką, dumną górę. Wyglądała na lekko przechyloną, jak drzewo na wietrze, choć stała prosto i stabilnie. I była dużo wyższa od Jałowca, Jedłowca i Garbacza. Ponad lasem, na płowej połoninie wznosiły się dwie kamienne bryły, mniejsza i większa. Wyglądały jak tępe, zakrzywione zęby osadzone w trawiastych dziąsłach. Odległość umniejszała ich rozmiary, lecz Wrzosiec podejrzewał, że podejście na szczyt od samych podnóży tych skał musi zajmować kilka ciężkich godzin. Góra majestatycznie rozpierała się na horyzoncie. A na prawo od niej, w znacznym oddaleniu, widniały równie

wysokie i otulone poszarpanymi chmurami turnie.

– Ten pochyłony to Chochoł. A ten mniejszy przy nim to Chochlik – bakałarz usłyszał zza siebie głos gęślarza. – Tam właśnie ma siedzieć Kardasz. Ale to już nie Karby, to ramię Pazdurów. Widzisz, że są ze dwa razy większe od gór, po których teraz chodzimy. Bardziej na prawo, w chmurnych czapach, to Stare Sztolnie z Czartakiem. Tam idziemy. Będzie ostre podejście. A jeszcze dalej, to znowu Jaszczury, ale tam pójdziemy innym razem. Bo sprawy nie mamy.

– Kiedy dojdziemy do Chochoła?

– Nie wiem, bo się tam nie wybieramy. Wejdziemy starą, sztolnicką drogą na Świstową Przełęcz pomiędzy nim a Czartakiem. Ale do Kośnych powinniśmy zejść jutro pod wieczór. I czeka nas jedna noc w lesie. Ta dzisiejsza.

Wrzosiec skrzywił się, bo pamiętał pierwszy nocleg po opuszczeniu Zarąbka. Było to całkiem niedawno. Obrócił się, by wypatrzeć Garbacz. I zobaczył niewielką, niebieskawą fałdkę na horyzoncie.

– Tam byliśmy... Szmat drogi.

– I szmat przed nami. Trzeba nam wyciągać nogi, bo sprawę mamy pilną. Cud, że wichry posnęły. Oby tak na zawsze, ale nie możemy się ociągać.

Berda zamilkł i zaczął wesoło pogwizdywać. Wrzosiec, jak zwykle zajęty własnymi myślami, jednym uchem łowił znane góralskie nuty. Minęło czasu mało wiele i gęślarz sam się odezwał. Akurat słońce oświetliło widoki przed nimi z niebywałą ostrością.

– Różnie gadają o narodzinach Chochoła. Według jednych nazwa bierze się od jego postaci. Że taki przechylony, jak chochoły słomiane, co się nimi na zimę krzewy opatula w ogrodzie. Ale on się tylko zdaje w tym górskim powietrzu pochyłony. Gajda całe tamte góry schodził sam. I do tego jest cieślą, chałupy stawia, to się zna na tym, co proste, a co pochyłone. I mówi, że Chochoł prosty jest jako smrek. Jak mówi, to wie. A jeszcze inni powiadają, że jest góra siedliskiem chochlików, co choroby roznoszą.

– Niezależnie od tego, jak było naprawdę, to piękna góra.

– Prawda. A czasem na coś krzywego też miło popatrzeć.

I Berda powrócił do gwizdania. Spokojnie mijały w marszu godziny. Pozarastane płaje prowadziły ich z dużą łagodnością, a dla bakałarza, zwłaszcza po ostatnich doświadczeniach, nie można było znaleźć większego dobrodziejstwa. Przed nimi aż do Kośnych miało nie być żadnej większej góry. Spokojnie wędrując polanami i lasami, powinni dokołysać się do

położonej przy królewskim trakcie wsi.

Wyrwawszy się na chwilę z zamyślenia, Wrzosiec usłyszał, że towarzysz spoważniał i pogwizduje odwieczną nutę Świstuna.

– Każda nuta się musi w człeku uleżeć, wymościć sobie własne miejsce – powiedział jakby bardziej do siebie niż do uczonego.

Na pierwszym postoju gęślarz wyciągnął skrzypce i zaczął ją cicho grać. Grał do siebie, wolno. A potem zagrał jeszcze inne nuty od Świstuna. Łowiąc spojrzenie Wrzośca, powiedział tylko tyle:

– Muszę rozdzielić prawdziwą nutę od ozdobników. W nich się gubi sens słów, co ich szukam. Muszę zagrać ją tak, jak śpiewały ją prastare wichry. Inaczej wszystko na nic.

Odtąd odwieczna nuta ich nie opuszczała. Wrzosiec zauważył nawet, że maszeruje w narzucony przez nią rytm. A za nim lekko podążał grający na gęślikach Berda. I tak zeszło do wieczora. Potem, po krótkiej i przerwanej porannym chłodem nocy ruszyli dalej. I znów szli z nutą odwieczną, która na dobre przyłgnęła do nich i ich wędrowania, a bakałarz łapał się na tym, że nawet kiedy przyjaciel nie grał, to sam podśpiewuje ją pod nosem. I tak wędrowali sobie we czworo, Berda, Wrzosiec, odwieczna nuta i Śmierć. Aż doszli na skraj polany i w dole zobaczyli Kośne. Było wczesne popołudnie.

Kośne stały nanizane na kamienną drogę, biegnącą ze wschodu na zachód. Rozkładały się leniwie na dnie szerokiej doliny, która od południa spotykała się z Karbami, a od północy dotykała stromych zboczy Chochoła. Masyw, przegięty bardziej, niż to było widoczne z Kierpców, pochylał się nad osadą. Miał w sobie majestat i grozę.

– I tak znów odnajdujemy drogę. Tędy wraca w Smoczogóry to, co wypływa Beretyczem – odezwał się Berda – i wcale nam to na dobre nie wychodzi.

– Przecież macie twardą, dobrą drogę. Dzięki królom Lacerty.

– U nas są opowieści o królewskim trakcie. Ale jakoś nie ma w nich nic, żeby ją królowie budowali, tylko my, górale. Było to kilka wieków temu i prawda, była wówczas przyjaźń między Smoczogórami a Lacertą. Wtedy król wasz zaczął nas lubić, odkąd mu zbójnicy życie ocalili, jak przez góry jechał. I dla wygody kupców urządzono zbudować drogę. Tak po prawdzie, to była ona i wcześniej, bo pierwszą drogę sztolnicy w prawiekach pobudowali. Ale wyszczerbiła się i trzeba ją było poreperować. Królowie dawali za to pokój. To zebrały się rody i uradziły, że drogę poprawimy. Pomagali nam poddani króla, przywożeni tu robotnicy. I odtąd zaczęły chodzić kupieckie wyprawy, przez Rogacze, na drugą stronę gór. A król był

na tyle łaskawy, że rodom nadał po wieki te ziemie. Dziwne trochę, że rządził się nie swoim. Widziałem u Jaka stary pergamin z pieczęciami Lacerty, że Kościany mają na władanie całe hale wokół Garbacza. Po wsze czasy. Każdy ze starych rodów ma taki list. Tylko co nam po nich? To zawsze były nasze ziemie i łaski króla nie potrzebujemy. Ale nawet tego uszanować w Lacercie nie potrafia, bo sam wiesz, że od wielu lat jest między nami wojna.

– Nie moja wina, Berdo. Ponoć Stargatowi, który teraz zasiada na tronie Lacerty, przepowiedziano w dzieciństwie, że stanie się największym królem w dziejach i będzie miał królestwo od gór do gór. Przez lata nikt o wieszczbie nie pamiętał, ale Stargat wziął za małżonkę córkę władcy Chitry i kiedy tamten umarł, z wojskami wkroczył w Góry Żmijowe, co zamykają Międzygórze od zachodu, i ogłosił się królem. Doszło do walk, lecz wszystko obróciło się na jego korzyść i odtąd mamy wielką Lacertę. I wtedy Stargatowi przypomniano o przepowiedni. A ten uznał, że nie może spocząć, dopóki nie oprze wschodnich granic królestwa o Rogacze. Co było dalej, to wiesz sam najlepiej. A jak będzie dalej, nie wiadomo.

– Ciężko może być. I Lacercie, i nam. Bo do Smoczogór jedynie dwie drogi prowadzą. Jedną, na południu Karbów, wypływa Beretycz. Ale to groźny wąwóz, pełen spienionej kipieli, nikt się tam nie przedrze, może tylko samotny wędrowiec. Przełomem Beretyczu nie przejdzie żadna armia. Ani w górę, ani w dół. A druga to Dźwierze Smoczogór, czyli dolina u naszych stóp. Tu jest szeroka i bezbronna, ale pół dnia drogi na zachód zwęża się i kończy wąskim wąwozem. Tamtędy na niziny wychodzi królewski trakt. A tego przejścia możemy długo bronić.

– Jest też trzecia droga, przez Karby. Ja przeszedłem, choć cudem. Teraz dziwię się, dlaczego nikt mnie po drodze nie zabił.

– Może górale mają szacunek dla twojej uczoności – zaśmiał się Berda.

– Może. Ale nie polecałbym tamtej drogi armii Lacerty, bo ugrzęzną i zostaną pobici. Wiem o wielu grupach zbójników, którzy co chwila nękają pograniczne stаницe.

– Na całym pogórzcu Smoczogór pełno zbójników. Nikt nie wie, ilu ich naprawdę jest. Nikt nie zna gór jak oni. I nikt nie potrafi radzić sobie w tamtejszych lasach. Nikt też nie potrafi zastawiać takich pułapek jak oni. Wasi żołnierze się boją i ja się im nie dziwię. Wielu jest takich jak Hnat Kardasz, a ich czyny trafiły do opowieści, powtarzanych po całych Smoczogórach. Stary Mohył z Cisnych, Korzeń, co go wołają Igielnym, czy potężny Niedźwiedź Jaworowy. Albo choćby ci, których poznałeś na radzie

u Jaka. To jest Jaga i Kydryna. Nie dziw się, że na ciebie krzywo patrzyli.

– Mówisz o naszych wojskach, jakby były moje i moje zamiary realizowały. Jestem poddanym króla Lacerty, ale nie zgadzam się z jego polityką. Ta wojna nic nam nie da, za wiele kosztuje. Stargat zamknął w wieży trzech doradców, co się mu sprzeciwili. Kto wie, może nawet już nie żyją. Był też spisek na jego życie, ale został rozbity, a spiskowców wywieszano. Nie, Berdo, nikt nie kocha Stargata. Jego zaślepiła ta rzekoma wieszczba, bo jak było naprawdę, nikt już nie pamięta.

– Nam rady nie da. My swój honor mamy i nie damy się tak łatwo.

– Stargat też nie jest łatwym przeciwnikiem. Jego wojsku udało się złapać jednego z hersztów waszych zbójników. Przewieziono go do Lacerty i tam, na rynku, żywcem poćwiartowano. A kiedy go prowadzili, śmiał się i śpiewał góralskie pieśni. I była w nim taka duma i hardość, że nawet jego najwięksi wrogowie patrzyli z podziwem. A potem tłum zaczął krzyczeć i nikt już nie słyszał, czy góral śpiewa, czy jęczy z bólu.

– Kiedy to było?

– Tej wiosny, może dwa miesiące przed moją wyprawą do was.

– A jak wyglądał ten zbójnik?

– Wysoki, z czarnymi, długimi włosami. Ponoć nie miał trzech palców u jednej z dłoni.

– Korzeń Igielny... A gadali, że się zaszył na południe od Karbów. To był wielki człek, honorny i dzielny. Szkoda go... Wielu naszych siedzi w zamku na Bukowinie. Ale tu się wojska Stargata nie dostaną.

– Może i dostaną. Może właśnie to wieszczą wichry. Zawsze byliście sami sobie panami, teraz może się to skończyć. Może to jest zapowiedź nowych czasów. A nowe czasy to wielka Lacerta, od gór do gór. I bez wolnych górali.

– Może... – westchnął Berda. – Smoczogóry dają Lacercie Beretycz, a woda to początek i życie. A stamtąd królewskim traktem nadchodzi koniec dla górali. Może po to trzeba wypuścić Śmierć. Żeby się ten koniec dokonał.

Znów weszli w ciemny las i powoli schodzili w dół. Gęślarz schował skrzypeczki do kaptura i przestał gwizdać. A kiedy po trzech godzinach wyszli z lasu, to górską drogą pomiędzy polami doprowadziła ich do samych Kośnych. Jak zobaczyli pierwsze chałupy, Berda położył ciężką dłoń na ramieniu bakałarza.

– Szkoda byłoby cię, Wrzosiec. Każdego człeka szkoda. Dlatego nie mów wiele, jak wejdziemy do karczmy. Ja będę gadał. A jakby co, to jesteś z Kościanów, ze Smreczyn. Tylko nie mów nic, bo się poznają, żeś nie nasz.

I wtedy we dwóch możemy mieć kłopoty.

Słońce powoli zbliżało się do połonin. Szli przez Kośne, dość wesołe i nieprzejęte toczoną na pogórzcu wojną. Wrzosiec wspomniał na rozmowę z Berdą o drogach. Osada, leżąca przy królewskim trakcie, nasiąkała przynoszonymi przez podróżnych wieściami i opowieściami. Domy były jakby mniej góralskie, a wszystko jakby trochę inne. Po trakcie kręcili się kupcy, którzy po sowitym opłaceniu czuwających przy Dźwierzach Smoczogór zbójników mogli przewozić towary. Na środku wsi stały kupieckie wozy, z których handlowano z miejscowymi. Wymieniano przywiezione towary na wełnę, beczki śliwowicy i miedź. Lecz nade wszystko w Kośnych była karczma, jedyna karczma w całych Smoczogórach. Po prawdzie, to górale karczmy nie potrzebowali, wystarczały im hale i posiadły u sąsiadów, tam do woli pito i tańczono. Karczma była dla obcych, a w Kośnych było wielu obcych. Pomędzy straganami na kołach chodziła grupa górali w szerokich, nabijanych ćwiekami pasach. Wspierali się na niewielkich toporkach, zwanych bartkami. Zza pasów wystawały noże. Uśmiechali i zagadywali kupców, ale nikt nie miał wątpliwości, kim naprawdę są.

Wrzosiec i Berda spokojnie weszli do karczmy. Brunatne płazy okrywały trzy duże sale, pełne ludzi skupionych wokół długich stołów. Pośród dymu fajkowego, w półcieniu gasnącego dnia zasiadali kupcy, miejscowi i ciekawi świata górale oraz rozmaici podróżni, zapewne dokładnie sprawdzeni przez ludzi Hnata Kardasza. Tu zanikały spory. Jedzono, żartowano, raczono się piwem i śliwowicą.

– Tutaj będziemy bezpieczni. To gospoda, a jak się kogoś do gościny dopuściło, to się mu na ręce nie patrzy.

Mimo tych słów Berda wybrał pogrążony w półmroku stół w kącie drugiej, większej sali. Zamówili kwaśnicę na jagnięcych żeberkach i jasne piwo. Wrzosiec z każdą łyżką coraz bardziej doceniał kunszt góralskiej kuchni. Tymczasem sala, mimo że już wcześniej wydawała się pełna, zaczęła pęcznieć jeszcze bardziej. Pojawiali się kolejni kupcy, a wieczór, który spokojnie otulał Kośne, łagodnie zapraszał coraz to nowych gości. Do karczmy weszli górnicy. W Smoczogórach znajdowały się wprawdzie niewielkie kopalnie i jedna kuźnica, na wschód od Kośnych, ale wielkiej tradycji tam nie było. Wrzosiec wiedział od Rysia, że górale wierzą, iż głębiej niż ich wyrobiska leżą drogocenne pokłady, nawet szczerego złota, ale boją się kopać, by nie pobudzić sztolników. Najwięcej kopalń było na stokach Starych Sztolni, lecz pieśni o sztolnikach, którzy u kresu świata

mają się przebudzić i stanąć ze smokami do nowej, ostatniej wojny, odstraszały zapalonych poszukiwaczy. Wydobywano niewiele, a co do złota, to zadowalano się przynoszonymi przez górskie potoki małymi samorodkami. Górnicy zajęli ostatni z wolnych stołów pod oknem i skracali oczekiwanie na posiłek, puszczając w obieg dzban śliwowicy.

Na ławeczce pod wygasłym paleniskiem, które zapewne zimą ogrzewało salę, przysiadł ślepy, brodaty starzec. W jego pogarbionej, obdartej postaci uczony z Lacerty rozpoznał lirnika, należącego do tajemnego bractwa religijnego, którego członkowie wędrowali po równinach Międzygórza i pieśniami nawoływali do odmiany życia. Zasiadali przed świątyniami i swym graniem i śpiewem zarabiali na skromne utrzymanie.

I nagle w drzwiach stanęło trzech młodych, roześmianych górali. Spokojnie zanurzyli się w chmury fajkowego dymu w poszukiwaniu wolnych miejsc. Brnąc pomiędzy spiętrzonymi wokół stołów gośćmi, dotarli do kąta, gdzie siedzieli Wrzosiec z Berdą. I wtedy uczony rozpoznał jednego z nowo przybyłych. Zanim zdążył coś powiedzieć, ten zakrzyknął radośnie:

– Berda, stary przyjacielu, Wrzosiec! Dobrze was widzieć. Co robicie w Kośnych?

– Witaj, Gajda, to aż tu cię na ciesiołkę przygnało? – powitał przyjaciela gęślarz.

– To moi kompani i pomocnicy w robocie, Howerla i Kosmacz – przedstawieni ukłonili się zgodnie z obyczajem – a to Berda z Kościanów i Wrzosiec...

– ...też ze Smreczyn – wtrącił gęślarz, puszczając oko do Gajdy.

– No właśnie. Wszyscy razem juhasowaliśmy w młodości pod Ceremgą – dokończył cieśla.

– Jakże miałbym nie znać wielkiego Berdy! Wyście grali na weselu mego brata, w Moczarkach. Nikt nie gra jak wy, a wielu słyszałem. Właśnie skończyliśmy stawiać chałupę Samkowi Kośnemu i chcemy to w karczmie, przy śliwowicy, jedzeniu i zabawie uczcić – zagaił Howerla, kiedy już usiedli. – A naprawdę nikt nie gra jak wy.

– Toś mnie na dudach nie słyszał! – wesoło wtrącił Gajda. – A co do roboty, to już skończona, więźba stoi, wiecha zatknięta. Jak Gajda Kościan buduje i ma takich pomocników, to żadne wichry i śniegi nawet się do domu nie zbliżą. Nie powiem, jak długo chałupa postoi, bo bym musiał ze sto lat jeszcze żyć, by to sprawdzić, a nie bardzo mi się chce. Poczciwy Samek zapłacił, więc weselcie się z nami.

I u pięknej, młodej dziewczyny, co roznosiła posiłki, Gajda zamówił połowę pieczonego prosięcia, a do tego rozmaite i smakowite dodatki oraz dzbanek śliwownicy. Wkrótce potrawy wjechały na stół, a Wrzosiec, nierozpieszczany przez akademicką kuchnię, ze zdziwieniem zauważył, że się kwaśnicą za wiele nie najadł. I dzielnie uczestniczył w krojeniu nóżek, szynki i boczku. Trwało to wszystko jakiś czas, więc musieli dowołać drugi dzbanek. Ciesle pili zdrowo i rzetelnie. Potem na chwilę odeszli od stołu, bo zauważyli innych znajomych i chcieli się z nimi przywitać. Kościańscy kuzyni mogli wreszcie spokojnie porozmawiać.

– Coś taki, Berdo, skryty? Boisz się o naszego uczonego, żeś go na górala przerobił?

– Wiesz, jakie są czasy, ponoć Kardasz pod Chochoła ściągnął. A ludzi z Lacerty nie lubi.

– Lubi nie lubi, ale z nich żyje. Ciągnie od kupców jak z mlecznych krów, tak mówią. I mówią też, że się na większą wojnę szykuje, tylko siły i złoto zbiera.

– Tak czy inaczej, ostrożność nie zawadzi. Zwłaszcza że sprawę mamy w tych stronach.

– O Kardasza się nie martwcie, mam go w saku. Ta dziewczyna, co nam prosię przynosiła, to Carynka, jego córka. Pomaga w karczmie, a z nim mieszka w górach. Spotygam się z nią. Nie bójcie się.

– No to słusznie się obawiałem i jeszcze bardziej się zacynam Hnata Kardasza bać – zaśmiał się Berda. – Jak go zobaczę, to powiem, że cię nie znam i żeś mi nie kuzyn. Bo nie tylko nasz uczone, lecz i ja ucierpię przez twoje zaloty.

– Jeszcze pożałujesz! – Gajda udawał urażonego. – Ale mówiłeś, że macie tu sprawę. O co idzie?

– Słyszałeś, jak synowie Jaka trombitami na radę stare rody zwoływali?

– Słyszeć słyszałem, ale robotę miałem do wykonania. Zresztą i tak bym nie zdążył. Poza tym młokos jestem, są u Jaka inni, żeby radzić. A co się właściwie stało?

– To posłuchaj... – i Berda po raz kolejny opowiedział o wichrach, Smyku, Śmierci i wyprawie.

Wrzosiec był świadkiem wszystkich tych opowieści i czuł, że jeszcze przyjdzie mu tego nie raz wysłuchać. Jednak śledził słowa gęślarza z uwagą, bo ten za każdym razem inaczej prowadził wątek, pewne sprawy pomijał, dodawał własne domysły. Bakałarz tym razem zauważył, że Berdzie dużo dało spotkanie ze starymi gazdami w Kierpcach. Wędrując w milczeniu

przez Karby, cały czas musiał myśleć o wichrach wokół Garbacza, o pieśniach i odwiecznej nucie. Dlatego Wrzosiec nie nudził się, gdyż za każdym razem wysłuchiwał trochę czego innego. I sam złapał się na tym, że też układa opowieść, i widzi siebie opowiadającego o tym w Lacercie, pośród uczonych. I snuł w swoich myślach jeszcze inną od Berdowej historię.

Atmosfera gęstniała od dymu, aż wreszcie Berda opuścił Kierpce, w jednym zdaniu dotarł do Kośnych i skończył. Wyciągnął fajkę, nabił i po raz pierwszy od pożegnalnego spotkania na Zarąbku zapalił. Przez chwilę słyhać było tylko pykanie. Rozmowy z sąsiednich stołów jakby odpłynęły w dal. Zaczął Gajda:

– Bo ja wiem, może to znak, ta wasza wyprawa.

– Znak czego? – zapytał Wrzosiec.

– Dla mnie znak, żebym się dłużej nie ociągał. Bo też mam sprawę w górach, wlecze się ona za mną od przedostatniej zimy. Ale jakoś nie mogę się zebrać.

– Nie mówiłeś nic o tym. Co to za sprawa?

– Jak by tu zacząć... – Gajda z wesołego cieśli w parę chwil stał się poważny i zafrasowany.

– Jak każdą opowieść, od początku – spokojnie ponaglił Berda zza wonnej chmury.

Rozsiadł się, przepłukał gardło i zastygł gotowy do słuchania.

– Stało się tak, że dwie zimy temu wędrowałem wedle Kruczej Turni. Bo jak nie ma dla cieśli roboty, to za przewodnika robię i czasem przeprowadzę kupców przez Rogacze. Ale wiecie, jakie są czasy, i kupców, zwłaszcza zimą, coś nie za wiele było. To sobie sam dla własnej radości po górach wędrowałem. Idę percią, coś pod nosem pogwizduję, a tu jak się ziemia nie wzburzy! Łomot taki, huk i śnieg na mnie leci, jednym słowem – lawina. Ledwie zdążyłem się uchylić, a tu mnie porwało. Co było dalej, nie wiem. Obudziłem się w jakimś szałasie, ogień strzelał w palenisku. A przy mnie stoi dziwny człek. Obce szaty, długa broda, mądre oczy.

– No, no... dobrze się zaczyna – pochwalił Berda.

– Ale gorzej kończy. Okazuje się, że mnie chłop spod śniegu zmarzniętego wykopał, życie i dobytek ocalił. Wielkie szczęście mieć musiałem, bo nic mi się nie stało, tylko trochę obolały byłem. Tenże mój wybawca to wędrowiec jakiś, taki, co bez celu po górach chodzi, pielgrzym, sam nie wiem. Akurat zobaczył lawinę, mnie musiał też uwidzieć, to i wyratował. Kilka dni się mną opiekował, aż do zdrowia wróciłem. Mówił

niewiele, raczej o mnie wypytywał. Sam wielce tajemniczy, nie wiadomo kto, skąd i dlaczego. Ot, jak to wędrowcy boży.

– Przygoda jak przygoda. Nie wiem tylko, czego się martwisz? Powinieneś szczęśliwy być, że ci starzec życie i zdrowie ocalił.

– Jestem przecież. Ale słuchajcie dalej, bo to dopiero początek. Leżę sobie na posłaniu ze smrekowych gałęzi, dochodzę do siebie, a tamten się krząta, gdzieś znika na długie godziny, to znów wraca. Wreszcie ozdrowiałem i z obolałości wyszedłem, a ten zbiera się do odejścia. Pytam więc, jak się mogę odwdziaczyć. A wędrowiec mówi, żebym odszukał Władcę Wichrów. Dziękuję mu pięknie i mówię ostrożnie, że nie będzie prosto, bo tego Władcy Wichrów po prawdzie nikt nie widział. Na to wędrowiec odpowiada, że może to i lepiej, i że jak się dobrze poszuka, na pewno się znajdzie. Widzę, że obcy, więc się kłócił nie będę, ale po mojemu, to nie ma żadnego Władcy, ot, bajki jedynie. Pytam jednak grzecznie, co mam zrobić, jak mi się już uda go znaleźć. A ten opowiada, że wtedy sam będę wiedział. Dodał jeszcze, że kto jak kto, ale ja na pewno Władcę Wichrów odnajdę.

– Żadnych rad nie dał, wskazówek?

– Żadnych. Obiecałem słowa dotrzymać, a wędrowiec wyszedł z szałas. Myślałem, że po drewno, ale ten nie wraca i nie wraca. Mijają godziny, a ja dalej sam. Wreszcie zrozumiałem, że zwyczajnie odszedł. Myślę sobie, no to niedobrze, jak ja się z obietnicy wywiążę? Wędrowiec dał mi zadanie nie do wykonania, do niczego nie przymuszał, a słowo dałem.

– No, sprawa głupia, a już szmat czasu przeszedł.

– Nie ruszałem, bo niby dokąd? Nawet trochę zapomniałem o tym wszystkim. I dopiero nasze spotkanie o obietnicy mi przypomniało. I tak sobie pomyślałem, że jak po drodze do tego Sowy idziecie, to się z wami zabiorę. Wolny jestem, na Czartak się przebiegnę i tam może radę dostanę. Bo Sowa wieszczun, na pewno coś o Władcy Wichrów wie. Więc jak będzie?

– Trudno będzie, ale nam nie przeszkadzasz. W kompanii zawsze różniej wędrować. A może dudziarz się nam bardziej przyda, niż myślimy.

– No to stoi. A już martwiłem się, jak opowiadałeś o Smyku, że te wichry to przeze mnie, że to moja wina.

– Oj, Gajda, pomyśl chwilę! Jak tak dalej pójdzie, wnet się okaże, że każdy coś przeskrobał i słusznie się Władca Wichrów gniewa.

– Może tak być, nie bądź taki niewinny. Ale jeszcze jedno ci powiem:

tego Smyka to ja tu, w Kośnych, wczoraj widziałem. Przywitałem się, bo nic nie wiedziałem, że wygnany. Może tędy mu droga wyszła, by odejść z Karbów.

– Kośne to niby nie Karby. Jednak Smyk wie, że gdzieś jeszcze dalej musi domu szukać. Trudna sprawa i nawet mi tego starego głupca żal... Ale Jedla za wszystkich Dziewięćsiłów przemówił, nam nic do tego. Takie prawa.

– Jutro ruszamy? – podsumował Gajda i uśmiechnął się szeroko. – Jak się zesłiśmy, to i wypić za spotkanie nie zawadzi.

I wtedy okazało się, że Carynka musi przynieść trzeci dzbanek śliwownicy. Wieczór, pomrukując pod nosem, miarowo kołysał się za oknami.

Rozdział trzynasty

który okazuje się dla wędrowców trochę pechowy,
bo choć powracają w góry, to jednak wbrew własnej woli



Wrzosiec zdziwił się i zaniepokoił, kiedy okazało się, że trzeci dzbanek śliwowicy nie był ostatnim, jaki mieli owej nocy pokonać. Sam od jakiegoś czasu tylko udawał, że pije, ale górale budzili jego szczery podziw. Mówili tak składnie, myśleli tak jasno i spoglądali tak trzeźwo, że nigdy by nie podejrzewał, ile mocnego trunku już w siebie wlał. Wspomniał swych przyjaciół z Akademii i wspólne, zakazane wyprawy do gospód Lacerty, kiedy pienię im w głowach już po kilku czarkach lekkiego wina. Wrzosiec głębiej rozsiadł się pod swoją ścianą i szeptem podziękował jej, że wspiera go swoją stabilnością. Udając zupełnie trzeźwego, z natężoną uwagą przysłuchiwał się prowadzonym przy stole rozmowom. Karczma drżała od śmiechów i pokrzykiwań. I wtedy Wrzosiec zauważył z niepokojem, że góralska gwara jest trudna i prawie niezrozumiała. Dziwił się, że wcześniej tego w ogóle nie zauważył. Zrezygnował ze słuchania i spokojnie patrzył po zebranych. Górników trochę przybyło, lirnik stroił lirę, Carynka zarumieniona zalotnie odrzucała czarny warkocz. Bakałarz ze swego kącika cichutko zazdrościł wysokiemu i urodziwemu Gajdzie. Znów był niewidocznym świadkiem, podglądaczem cudzego życia, obserwatorem, który żyje sprawami innych bądź wyczytanymi z książek teoriami.

I nagle, spomiędzy tych teorii, jakoś wielce owego wieczora pogmatwanych, zobaczył w drzwiach karczemnej sali Smyka. Schudł i pobladł góral, zmarniał też i Wrzoscowi wydawało się, że wspiera się o odrzwia. Smyk nie był sam. Obok niego przystanęli trzej rośli zbójnicy, poznał ich bakałarz po szerokich, sięgających piersi pasach. Smyk coś im tłumaczył, a oni w milczeniu kiwali głowami. I nagle stary góral zaczął rozglądać się po sali, zmęczonymi oczami przenikać siwy dym. I wypatrywał, czego szukał, wypatrywał ich skulony w kącie stół, wypatrywał Berdę i Wrzośca, może też i Gajdę. Znów szepnął coś zbójnikom i wskazał wypatrzony kącik, a oni spojrzeli za jego wskazaniem i pokiwali głowami. I wyszli, a stary Smyk przysiadł się do stołu górników.

Wrzosiec nie do końca wiedział, co się stało, ale zaniepokoił się i szybko przekazał swoje obawy towarzyszom.

– I cóż nam stary Smyk może jeszcze zaszkodzić? Biedny człek, choćby się starał, gorzej już i tak nic nie potrafi zrobić, jak zrobił – spokojnie podsumował Berda.

– Ale rozmawiał ze zbójnikami Kardasza – Wrzosiec nie dawał za wygraną.

– My Kościany jesteśmy, a on wygnany. I nic nam przez niego nie będzie.

– To po co z nimi rozmawiał? Może oni nie wiedzą, że on jest wygnany? Albo że ja nie góral?

– Więc lepiej siedź cicho, a nie krzycz o tym na całą karczmę.

– Coś jest w tym, co gada Wrzosiec – włączył się Gajda. – Tylko jeszcze nie wiem co.

– No i koniec – Berda chciał uciąć wątek.

– Ale tak czy inaczej, ja bym sprawie zaradził – powiedział cieśla, wstał i w tłumie odnalazł swych pomocników.

Za chwilę powrócił i rzekł krótko:

– Będzie dobrze.

I minęło czasu mało wiele, kiedy Howerla, Kosmacz i jeszcze dwóch podeszło do Smyka. Howerla położył mu dłoń na ramieniu i coś szepnął, i zaraz zobaczyli, jak Smyk wstaje z ławy. Długo wstawał i drżąc. A czterech górali wzięło go pod ramiona, za nogi i wyniosło do sąsiedniej sali. Gajda wychylił się i patrzył, co dalej będzie się działo.

– Rozewrzyjcie który drzwi! – usłyszeli donośny głos Kosmacza.

A potem doszedł do ich uszu hałas.

– Lekki był, sam by drzwiom nie sprostał, dobrze, że kto litościwy

przeszkodę usunął – zdawał sprawę Gajda. – No i po kłopotcie.

– Po Smyku – zakomunikował wracający Howerla.

Powoli podejmowano przerwane rozmowy, które zamarły, gdy cała sala z ciekawością przyglądała się rozwojowi wypadków.

– Niby po kłopotcie. Ale jakby nie – powiedział Berda po chwili.

– Jakoś się powietrze zwarzyło – dodał Gajda.

Zadumali się górale nad pustym dzbanem, a Wrzosiec udawał, że duma wraz z nimi. I z tego zadumania nie zdążyli po raz kolejny poprosić Carynki, bo podszedł do nich Howerla, właśnie z kolejnym dzbankiem, i stawiając go z hukiem na stole, zaczął:

– Berdo kochany, dumo nasza, bardzo was pięknie prosimy, przygrajcie od serca. To się od razu ludzie rozweselą. I wtedy dopiero dobrze będzie.

A Berda sięgnął po gęśliki, podstroił i zagrał. Ciche z początku dźwięki z trudem przebijały się przez gorące rozmowy, rozpalone od komentowania ostatnich wydarzeń. Ale ostatecznie to gwar zaczął cichnąć i muzyka ruszyła po sali. A Howerla stanął na środku i rozłożył ręce, prosząc o ciszę.

– Potem pogadacie, teraz muzyki słuchajcie. Bo grają Berda Kościan z Zarąbka. A jak grają, to nawet turnie słuchają zadumane.

I nic już nie przeszkadzało muzyce Berdy. A po chwili Gajda sięgnął po swą kózkę i dołączył się do grania. I wtedy się zaczęło! Znać było, że nie pierwszy raz we dwóch muzykują. Nie musieli długo grać, bo minęła jedna chwila, kiedy od stołu poderwali się górnicy i zaczęli tańczyć, skacząc i pokrzykując. Co rusz jeden wzlatywał pod samo belkowanie, sięgając stropu wyciągniętą ręką i bijąc dłonią po sosrębie. Reszta pogwizdywała i tupiała, kiedy opadał, wzbijając tumany kurzu. Deski w podłodze uginały się na legarach, ale od lat znosiły góralskie tańce i przytupy, więc tylko jęknęły rozbudzone i dalej uginały się w rytm kroków, które szły w rytm muzyki, wiernej rytmowi Berdowego smyka. Co tu dużo gadać, miały chłopcy siłę, żeby po całym dniu w sztolni jeszcze tańczyć. I to jak tańczyć!

– Nie do zdarcia są – powiedział z podziwem Howerla, który nie wrócił w dawne miejsce, lecz przysiadł się do muzykantów.

A ci musieli usłyszeć, bo jeden zakrzyknął:

– Pięknie przygrywacie, ale leniwie jakoś!

I dopiero się zaczęło. Wystarczyła jedna wymiana spojrzeń pomiędzy Kościanami, a naraz spokojny taniec stał się dziki. I za każdym powtórzeniem dzikszyszy i szybszy, i coraz dzikszyszy. Wrzoscowi, choć siedział skryty w swym kąciku, zaczęło wirować w głowie. A Berda zaciął skrzypeczki i jeszcze przyśpieszył. I przyśpieszyć musieli górnicy, a

podłoga wraz z nimi i odtąd huczało w sali miarowe łup-cup, łup-cup, łup-cup. I pot ciekł im po twarzach i po szyjach, i mokre mieli koszule, ale się nie poddawali. A Gajda jeszcze podkreślił tempo, aż się zaczęły zaplatać nogi tancerzom, aż kroki wpadały na siebie i wpadały na rytm, trochę nierówno, lecz dzielnie i dziko. I stało się, co się stać musiało, bo padł jeden z górników, a na niego drugi. Szybko odsunęli się ze środka sali, a reszta tańczyła. Coraz niżej skakali, i coraz rzadziej i ciężiej opadali i głośniej. A podłoga już falowała, unosiła się i opadała, ostatkiem świerkowych sił wybijając ich w górę i przyjmując upadki. A oni szli po okręgu tańczący i dodawali sobie otuchy pogwizdujący i pokrzykujący, jakoś słabiej i ciszej. I kolejny górnik zatoczył się pod ścianę i opadł na ławę, i z ławy, dysząc, spoglądał na towarzyszy. Pot ocierał z czoła, i ocierał zewsząd, bo potem splotywał i cały był mokry. A później odpadł następny i następny, i wpadli na tamtego, i na jego ławę, i dysząc jeszcze ciężiej, zasiedli na niej. I ściągnęli przez głowy mokre koszule, i wykręcili je na wymęczone deski. Aż zostało dwu tancerzy, a wreszcie jeden. Tańczył dziko, już nie w rytm, tylko swoim rytmem, muzyce obcym i Berdzie obcym. Ale i ten osunął się na kolana, aż na koniec padł na samą twarz, na same deski.

I rozległy się okrzyki, i brawa dla muzykantów, i słowa podziwu dla tancerzy. Bo każdy wiedział, że Berdy nikt nie przetańczył, że przy nim każdy padnie, choćby najsilniejszy chłop. A muzykanci dali ludziom wytchnienie i dalej grali, ale wolniej, do słuchania grali, nie do tańca. I zaczęli się przegrywać z Gajdą, i zaczęli się bawić muzyką, cieszyć się każdą nutą, każdym tryskającym spod smyka dźwiękiem. Wrzosiec pierwszy raz słyszał góralskie tańce grane do tańca. I czuł inność tego grania, czuł w nim puls i życie inne od grania na Zarąbku, od grania góróm i starym gazdom. Poczł po raz pierwszy prawdziwy rytm tej muzyki. I młody bakalarz, pogrążony w swym zachwycie i kąciku, trzeźwiał zauroczony.

A muzykantów uwiodła muzyka i uwodzili wszystkich swoją grą.

– Tego posłuchaj, Gajda – odezwał się Berda.

Dudziarz przerwał i wypuścił z kozy powietrze, a ta wdzięcznie beknęła, zmęczona. A Berda spuścił jedną ze strun, dostroił pozostałe i coś poprawił pod mostkiem. I zaczął grać na skrzypeczkach jak na dudach. Zabrzęczały bąki strun i wypełniły salę. A on na najwyższej strunie zabeczał jak na gajdzicy. Ozdabiał pobekiwaniem i pomekiwaniem i każdy dźwięk był jak nie z gęśli, ale jak z kozy. Wrzosiec zamknął na chwilę oczy i mógłby przysiąc, że to nie skrzypeczki, ale dudy grają, tak kozowato grał Berda. I

bardziej nawet koźło grał od Gajdy, bo bakałarz słyszał nie instrument, lecz samą kozę słyszał, jak żywą. Bąk jednostajnie pomrukiwał nisko. Wreszcie Berda zakończył.

– A ty zaskrzypisz na swoich dudkach? – zapytał na sam koniec przyjaciela.

– No nie zaskrzypię. Ale ja cieśla jestem, a ty gęślarz.

– To pograjmy jeszcze, cieślo.

Znów przywrócił gęślowatość gęślikom i zagrali razem, a pięknie grali. I sala kołysała się zasłuchana, nawet ostatnie dyszenia górników dyszały w rytm ich muzyki. Wreszcie Gajda odłożył dudy i szepnął Howerli:

– Wywiedź mi Carynkę.

Po czym wyskoczył jednym susem na środek izby i zaczął tańczyć. Ale nie krzesał, jak górnicy, tylko drobił. I pięknie tańczył, dostojnie, jak dostojnie grał Berda. I wtedy z ławy wstał Howerla i podszedł do zapatrzonej Carynki, obramowanej ciemnymi belkami drzwi. Wrzosiec zapamiętał, że bardzo wtedy Gajdzie zazdrościł. A Howerla zaczął z Carynką tańczyć i powoli zbliżyli się do Gajdy. Droczyli się chwilę, a Gajda czekał w tańcu i nie ustawał. Aż jego przyjaciel wypuścił z ramion dziewczynę, a ta zawirowała i zawirowała z nią czerwona spódnica, i w tym obrocie padła w ramiona Gajdy. I zaczęli tańczyć, spokojnie, delikatnie, jakby dopiero się poznawali, a potem zbliżyli się i zaczęli wirować i stali się jednym wirowaniem. Berda zaś przygrywał dobitnie i rzewnie, przytupując do rytmu. Howerla, co zasiadł, też zaczął tupać i cała izba wraz z nim zaczęła tupać. Młodzi krążyli wokół siebie w rytm tego tupania, i patrzyli sobie w oczy, Gajda z Kościanów i rumiana, piękna Carynka, córka groźnego Hnata Kardasza. I był ten taniec czymś więcej niż tańcem, był rozmową i uwodzeniem, i początkiem miłości. A gęślarz Berda dopowiadał do tej miłości słowa swym graniem, bo tamci, co tańczyli, nie potrzebowali słów. I gdyby Wrzosiec, młody i samotny bakałarz z Lacerty, miał opowiedzieć o ich tańcu, toby nie wiedział, co powiedzieć. Bo zapamiętał ten taniec oczami Gajdy, oczami wpatrzonymi w piękną, dziewczęcą twarz Carynki. A przecież cały czas niezauważenie siedział wtulony w swój ciepły kącik. Tak to muzyka zmienia widzenie świata, nawet dla uczonego i kształconego umysłu.

I biedny Wrzosiec zapamiętał się w tym nieswoim tańcu jak tych dwoje na środku sali. I zatracił się w nim, i znów mu się czas zagubił, lecz nie szukał go wcale, wierząc, że ten powróci, gdy przyjdzie pora. A młodych o władnęło to kołowanie i oddali się mu bez reszty. Nie widzieli ludzkich

spojrzeń, już nawet muzyka dolatywała do nich rwanymi strzępami, choć Berda grał i rzewnie, i pięknie. Wzdychali górnicy i nawet kupcy spoza gór wzdychali. A Berda zaczął zwalniać i grał oszczędniej, i prościej, i ciszej. I zwalniali w swym tańcu Carynka z Gajdą, i kręcili się coraz wolniej, że wkrótce można ich było odróżnić od wirowania i od siebie nawzajem, i nie byli już tańcem, tylko sobą. Sobą razem i sobą z osobna, coraz wolniej i wolniej. I Berda zebrał się do kończenia, a Gajda wypuścił Carynkę z rąk. Dziewczyna jeszcze kilka razy obróciła się i zniknęła w drugiej sali, a rozmarzony i rozkołysany Gajda opadł na ławę.

– Nawet jakbyście wszystko to widzieli – zaczął odmienionym głosem – nawet jakbyście widzieli, to i tak nic byście nie zobaczyli. Taki taniec...

Po takiej muzyce i po takim tańcu mogła nadejść jedynie cisza. Berda cicho złożył na ławie gęśle, cicho, cichuteńko, by nikogo nie wybudzić z zasłuchania. A Howerla po prostu westchnął i połał wszystkim śliwowicy.

I tak jak po dniu może być tylko noc, tak po takim tańcu nic już być nie może. Posiedzieli chwilę, pomilczeli i zaczęli przemyśliwać o śnie. Nadchodziła północ albo odchodziła niezauważona. Nikt już na to nie patrzył. Gajda zaprowadził przyjaciół na poddasze, gdzie sam pomieszkiwał. Z trudem weszli po stromych schodach, z trudem po ciemku dotarli do izby. Padli na pachnące letnią łąką sienniki i posnęli bez trudu i bezgłośnie.

Świt ich niemiło zaskoczył. Nie zdążyli się sami obudzić, bo obudzono ich niegrzecznym trzaśnięciem drzwi. W izbie, skąpanej porannym słońcem, stało pięciu zbójników. Wypełniali całą przestrzeń poza siennikami.

– Pospaliście trochę, to teraz pójdziecie z nami.

– Nigdzie się nie wybieramy – odburknął zaspany Gajda, otulając się wełnianym kocem.

– Wybieracie się z nami, choć tego jeszcze nie wiecie.

– Aha – mruknął Gajda i obrócił się do ściany.

– Hnat Kardasz chce was oglądać. A my was do niego mamy doprowadzić. Chodźcie po dobroci.

Wrzosiec, który traktował całe zajście jak część porannego snu, na dźwięk usłyszanego imienia obudził się w jednej chwili. W głowie zahuczało mu górskim wodospadem. Siadł na sienniku i spytał:

– A czego chce od nas Kardasz?

– Może ciebie, wędrowcze z Lacerty? Spytaj go samego.

Gajda z Berdą też nagle otrzeźwieli.

– Dokąd mamy iść? – spytał rzeczowo gęslarz.

– Doprowadzimy was, zbierajcie się.

Gajda zerwał się na równe nogi, ale zbójnicy go powstrzymali. Wrzosiec ponuro rozpoznał pośród nich tych dwóch, którzy wieczorem rozmawiali ze Smykiem. Syknął bezsilnie.

– Chodźcie po dobroci, bo będziemy musieli wam pomóc.

– Pójdziemy, ale puśćcie Gajdę. – Berda również wstał podszedł krok w kierunku zbójników. – Jestem Berda, gęślarz rodu Kościanów. I mówię wam, pójdziemy po dobroci albo wcale.

Wrzosiec zauważył, jak zbójnicy rozstąpili się z szacunkiem, kiedy przyjaciel wypowiadał swoje imię. A potem Berda dodał:

– Zjemy spokojnie jajecznicę na boczku, a później zaprowadzicie nas choćby i do samego Hnata Kardasza.

Nikt nie protestował i trzech towarzysze zeszli na dół. Zbójnicy podążali za nimi krok w krok, ale nie ważyli się ich tknąć. Przyjaciele w spokoju zjedli jajecznicę, za radą Gajdy popili chłodnym żurem. Bakałarz poczuł, że nieznośny ból głowy powoli mija.

Wreszcie śniadanie się skończyło, trzech wędrowcy zebrali swój podróży dobytek i wszyscy wyruszyli w kierunku Chochoła. Linia lasu wydawała się bliska, ale dopiero koło południa minęli pola, wołą ojców i dziadów pocięte na wielobarwne pasy. Świerki pojawiły się w samą porę, właśnie wtedy, kiedy słońce zbierało się do ostatecznego natarcia. Wrzosiec usłyszał, jak syknęło rozczarowane, kiedy z błogością zanurzyli się w pachnący igliwem cień. Południe musiało rozpiekać się bez nich. Droga wiła się między korzeniami, kolejne wykroty zmieniały jej bieg. Zbójnicy zachowywali się jak starzy znajomi. Zagadywali o wczorajsze granie, chwalili Berdę i Gajdę. Wrzosiec za wszelką cenę starał się nie myśleć o celu ich marszu, ale ponure wizje i gniew herszta zbójców powracały doń w coraz czarniejszych odsłonach. Pod koniec lasu zatrzymali się na dłużej. Bakałarz zadziwiony poczuł, że nie potrzebuje odpoczynku. Nogi same go niosą, od dojścia do Kierpców pogodziły się z górskimi drogami. Zbójnicy ociągali się z wyruszeniem.

Aż w końcu usłyszeli powód wyczekiwania. Przez las szedł czysty dziewczęcy śpiew. Głos powoli zbliżał się do nich, by wreszcie nabrać pięknych kształtów Carynki. Bakałarz westchnął i poczuł ukłucie w sercu. Przyglądał się jej pogodnej twarzy, na którą opadł kosmyk włosów, uwolniony ze splotów warkocza. Dziewczyna co chwila dmuchnięciem odganiała go, lecz ten powracał. Wrzosiec pomyślał, że mógłby być choćby takim małym, niewinnym loczkiem, i naraz doznał wrażenia, że twarz

Carynki kogoś mu przypomina. Ale wrażenie szybko minęło, a on nie zdążył uchwycić domniemanego podobieństwa.

– A ty dokąd się wybierasz? – usłyszał głos Gajdy.

– Do ojca, muszę mu przecież opowiedzieć, jak mnie wczoraj taki jeden obtańcowywał.

– To się dobrze składa, bo przy okazji pokażesz mu, który to ten jeden. – Głos Gajdy brzmiał dość wesoło.

– Nie wiem tylko, czy się z tego ucieszy... – zaśmiała się dziewczyna.

Przystanąła dla odpoczynku i tak stała, kołysząc się lekko, niczym na wietrze. Zerwała źdźbło z kępy przy ścieżce i włożyła między zęby.

– Coś się zasapaliście, grajkowie, że tak długo odpoczywacie.

– Bo na ciebie czekamy.

– No to jestem.

I ruszyli dalej. Szli teraz odkrytą połoniną. Kiedy wzniesli się ponad linię drzew, Wrzosiec po raz ostatni oglądnął się za siebie. Zobaczył skromne, małe garbki Jałowca, jeszcze mniejsze wzniesienie Jedłowca. Choć widoczność była dobra, Garbacz krył się w kolejnych niebieskich falach. Wreszcie doszli do grzbietu połonin. Stąd na lewo piętrzył się potężny Chochół, a na prawo dużo mniejszy Chochlik i pomniejsze skałki. Tam właśnie podążali. Było nieruchome, pełne popołudnie. W dole mała zagubione wśród pól Kośne. Minęła jeszcze godzina marszu północnymi zboczami i stracili z oczu całe Karby, cały ich dotychczasowy świat. Przed nimi piętrzyły się groźne i nieznane Smoczogóry, strzępiące i raniące niebo aż po widnokrąg. I wreszcie, nieco w dole, zobaczyli starą, warowną grażdę. Wspierała się o rozłożyste i mocne drzewa, które dolnymi konarami otulały dachy zabudowań.

Brama ze skrzypieniem została otwarta i weszli na obszerny podwórzec. Po drewnianych tarasach wokół niego przechadzali się zbójnicy. Większość siedziała na ławach i łapała ostatnie promienie kryjącego się za Chochół słońca. Cień sieni poprowadził ich do dużej, pociemniałej izby. A tam, za stołem, łupiąc świeże orzechy, siedział sam Hnat Kardasz.

Musiał być wysoki i barczysty. Ubrany był jak każdy ze zbójników. Podniósł głowę znad stołu i spojrzął na przybyłych, a długie, czarne włosy strakami rozsypały się po ramionach. Miał szlachetne orle rysy i czarną opaskę na prawym oku, zasłaniającą połowę policzka. Spokojnie patrzył na nich jedynym okiem. Wrzosiec zbladł. Herszt zbójców wyglądał groźnie. I nie wróżyło to zbyt dobrze. Uczony schował się za przyjaciółmi.

– No i was przywiedli.

– Sami przyszliśmy – zaczął dumnie Berda. – Jestem Berda, gęślarz rodu Kościanów. I sam przychodzę, jeśli chce.

– Chciałem cię poznać, Berdo. Smoczogóry wiele o tobie mówią. Jednak los jakoś nie śpieszył się z krzyżowaniem naszych ścieżek. Mówisz, że jesteś Kościańskim gęślarzem. Ryś nie żyje?

– Żyje, ale mnie przekazał gęślarstwo.

– No dobrze, jak już do mnie przyszlście z własnej woli, powiedzcie, z czym przychodzicie.

– Sami przyszliśmy, lecz to wy macie do nas sprawę.

– I tu jest rzecz cała. Bo o was mi nie chodzi, ale o waszego towarzysza. Jeden przyjaciel powiedział mi, że to uczony z Lacerty, i za jego radą miałem życzenie tego uczonego i was zobaczyć. Całych i zdrowych. Czy to prawda z tym uczoneym?

– A może ten przyjaciel zwie się Smyk? Ja też wiele dobrego o was słyszałem, Hnacie Kardaszu. Ale co wam powiem, to wam powiem, że sobie źle przyjaciół dobieracie. Bo Smyk jest wygnany z Dziewięćsiłów.

– Nie o niego chodzi. Ale to on, Smyk, na prośbę mego przyjaciela, miał was moim ludziom pokazać. I choć wygnany, nie pomylił się, boście właśnie wy z Mohyłem przyszli.

– A jest tu ten przyjaciel? Bo chętnie go spytam, co o Wrzoścu z Lacerty wie i co mu zarzuca.

Kardasz wstał, podszedł do okna i w zamyśleniu spojrzął na podwórzec.

– Nagle w Smoczogórach pojawia się tajemniczy gość z Lacerty. Nie wchodzi, jak każdy uczciwy człek, przez Dźwierze, tylko przemyka po Karbach. Ja tu stoję na straży naszej wolności i już to tajemnicze przybycie wydaje mi się podejrzane.

– Zapewniam was, że Wrzosiec to uczciwy człowiek. Prawdy szuka o nas i naszych obyczajach. Jak każdy uczony.

– A może jak szpieg króla? Kryje się w nasze stroje, zamiast obnosić opończę akademików.

– Nie jestem szpiegiem – bakałarz przemówił drżącym głosem. – Nie mam nic na swoją obronę, bo żadnych dowodów niewinności nie potrafię pokazać. Ale zaufali mi mądry Ryś i Berda, który po Rysiu piastuje gęślarstwo. I jeśli oni szpiega we mnie nie rozpoznali, to chyba mają rację. Pomyślcie o tym, zanim mnie zabijecie.

– Pomyślę, może to dobra rada. A zabijać was na razie nie chciałem, bo mój przyjaciel wpierw chce z wami sam pogadać.

– Poznamy go wreszcie czy będzie się dalej krył za wami? – Berda miał

głos opanowany i stanowczy.

– Nigdzie się nie kryję, tylko ty nie potrafisz patrzeć, gęślarzu – usłyszeli tubalny głos, choć dochodzący jakby z oddali.

Na stole pomiędzy miską z orzechami i stertą łupin stał znany Berdzie i Wrzoścowi skrzat, co pozwolił na siebie mówić Kumak. Kiedy przemówił, jego postać jakby zajaśniała, a jasność ta wydobyła go z ciemności blatu.

– Miałeś nam pomagać, a nie wystawiać Kardaszowi. – Głos Berdy był pełen żalu. – Zamiast tego trzymasz ze Smykiem. I taki z ciebie pożytek.

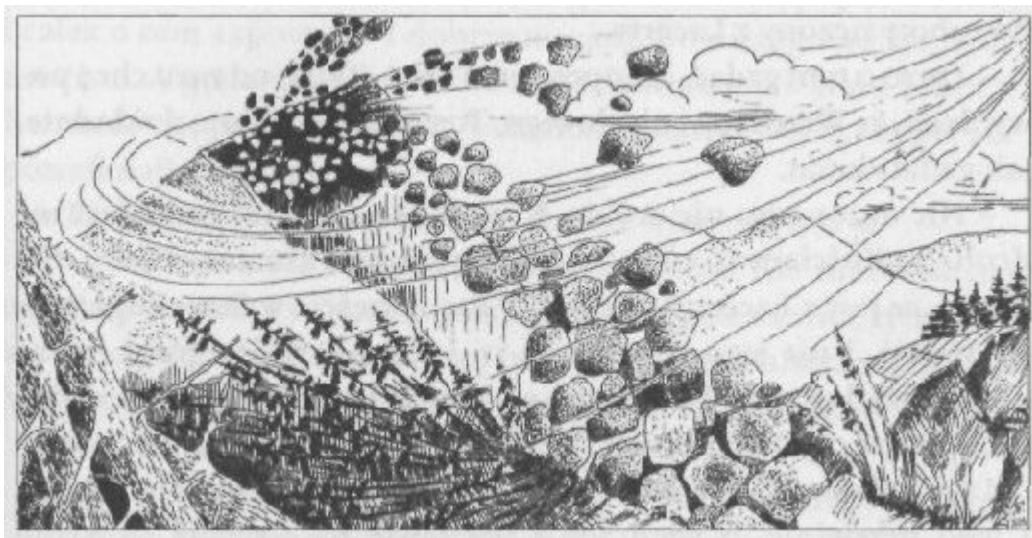
– Nie jestem tu dla waszego pożytku, choć i o niego się troszczę. Mam swoje skrzacie sprawy i wasze mnie nie obchodzą. I Wrzosiec był tylko pretekstem, więc nie ruszaj go, Hnacie. A kazałem was tu sprowadzić dla waszego dobra. Dzień się jutro na dobre nie rozbudzi, a zobaczycie, że prawdę mówię, choć wy jeszcze niczego nie wiecie. I radę ci dam, Berdo. Ruszaj rankiem na Czartak, na nic nie czekaj. Niedługo Śmierć będzie potrzebna wielu ludziom. Nie zawieź ich, bo cię przeklną.

– Dla... – Berda zaczął i urwał, bo skrzat nagle okręcił się na pięcie i zniknął.

Tak po prostu. Kiedy minęło okamgnienie, stół był pusty. I Wrzosiec już wiedział, że nie ma go ani w izbie, ani w całej graździe. Wiedział, że Kumak jest już bardzo daleko stąd.

Rozdział czternasty

o którym należy powiedzieć tylko tyle, że zawiera ważne,
lecz wielce smutne rzeczy



Ze skrzatem czy bez, czas musiał płynąć dalej. I sam ruszył spokojnie z miejsca, i zabrał ze sobą zebranych w grażdnie Hnata Kardasza, wyciągając ich z otępienia.

– Wasz przyjaciel dziwnie mówił i dziwnie się zachował, Hnacie – zaczął Berda. – Przyznam, że niewiele zrozumiałem.

– Taki on mój, jak i wasz. Skrzaty sobie same są przyjaciółmi. I nikt nie wie, o co im chodzi. Może Stary Ryś wie, ale ten jest daleko – odparł gospodarz, patrząc w okno.

– Dziwne to wszystko. Wpierw tobie każe nas tu sprowadzić. Przyczyna tego ma tkwić we Wrzościu i w tym, że jest z Lacerty. A potem okazuje się, że to pretekst, bo chodzi o coś innego. A o co, tego już nikt nie mówi.

– Może dlatego, żebyśmy pewnie i tak nie uwierzyli – podsunął bakałarz, który zdążył nieco ochłonąć, a narastające od rana napięcie opadło ze słońcem, które nie czekając na rozstrzygnięcia, usunęło się wraz ze skrzatem.

– Poczekamy do rana, to się rzecz wyjaśni. Nie ma co łamać sobie głowy tym, co niebawem samo się nam okaże – podsumował Berda.

– Ale można wyjaśnić to, co da się wyjaśnić. Mówił skrzat o twojej

drodze na Czartak, mówił dziwne rzeczy o Śmierci. Jesteś gęślarzem, więc coś musisz o tym wiedzieć. A ja panuję nad tymi dziedzinami i też chcę wiedzieć, co się będzie tu działo. I co ma tu do roboty uczony z Lacerty.

– Dużo o tym gadać, ale opowiem i wam. Tylko od razu chcę powiedzieć, że Wrzoścowi nic do tego. To porządny chłop, dokładnie, jak gadał skrzat.

– Nic uczonemu nie zrobię. Kto z Kościanami trzyma, jest mi druh. Bo Kościany to ród stary i zacny, i z byle kim nie chodzą. Co z tego, że jest z Lacerty? Nie każdy ma szczęście w Smoczogórach się rodzić. I nie jego to wina. A ja, jak mało który góral, wiem dobrze, że ludzie z Lacerty są rozmaici. I trafiają się pomiędzy nimi nawet całkiem dobrzy. Ale gadajcie o tej Śmierci.

I tak kolejne i nie ostatnie ściany wysłuchały opowieści o Smyku i jego przewinie, o wichrach i wyprawie na Czartak. A kiedy Berda skończył, Kardasz zadumał się wielce. Potem uchylił okno i zawołał na swoich ludzi. Zaczęto przygotowywać wieczerzę.

– Nie rozumiem, co ma Smyk do zrobienia w tej całej historii. Niby wygnany, a właśnie dzięki niemu skrzat was tu przywołał. Czy słusznie, czy nie, poczekamy ranka. Ale dziwne. Ja zbójnik jestem, niech się gęślarz łamaniem głowy zajmie – powiedział w końcu Hnat.

– Ja sobie już na Smyku parę razy głowę połamałem. Kiepski ze mnie widać gęślarz.

– Dawno po Rysiu gęśle nosisz?

– Z gęslami to będzie parę lat. Ale dopiero po radzie u Jaka przekazał mi swe gęślarstwo. Za wcześnie.

– Może chory jest albo ku śmierci się zbiera, jak się tak śpieszy?

– Gdzie tam, zdrów jak rydz. Wszystkich nas przeżyje, toż to starzec jest. A ja byłem od dzieciństwa na gęślarza przeznaczony, tak Kościany chciały. I wziął mnie Ryś pod opiekę, i wszystkiego, co wiem, nauczył.

– To pewnie ojca nie znasz.

– Nie, bo i skąd? Jak się okazało, że do Rysia na wychowanie idę, to Hardy musiał odejść. Ponoć zatracił się w górach. A inni mówią, że na niziny poszedł. Nawet go nie pamiętam. Tak już jest z gęślarzami, że bez rodziców się chowają. Sami sobie są i nie mogą się z ludźmi wiązać. Bo rodzice wiążą, żona wiąże, dzieci wiążą. I się ten brak, co jest w człeku, jakoś tak zasypuje, zakrywa, i człek o nim zapomina. I dobrze mu jest, bo niczego od życia już nie chce. A gęślarz musi być otwarty i dziurawy, jak stara kapota. Bo wtedy może się w muzykę wsłuchać. I może innym służyć,

jak potrafi najlepiej. Taki los...

– Kłaniaj się Rysiovi ode mnie. Będzie wiedział, kto ja.

– O was, Hnacie, wszyscy u nas coś wiedzą. Ale nikt was nie ogląda. Są nawet i tacy, co myślą, że was w ogóle nie ma, tylko jest wasza legenda, żeby się bali na nizinach i nas za bardzo nie tykali. Mówią, że nikt, nawet góral, nie potrafiłby tego dokonać, co wy.

– Różnie gadają, a przecież widzicie, że jestem.

Carynka z sąsiedniej izby wniosła pieczoną sarninę i koźlinę, codzienne zbójckie jedzenie. Mohył i jego towarzysze, co wędrowców od Kośnych prowadzili, zdążyli się w dolinie najeść czego innego i teraz, szczęśliwi, że nie muszą dziczyzny zjadać, spokojnie przysłuchiwali się rozmowie. Obok Kardasza zasiedli jego najbliżsi przyjaciele, znani w Karbach ze swej surowości zbójcy. Byli więc Czerep z Cisnych, Kurniawa Mocarny i brat jego Łasica. Wrzosiec dziękował łaskawemu i dobrotliwemu losowi, że do stołu z nimi siada, a nie przeciw nim staje. Bo na widok każdego z nich, rosłego, silnego i pooranego bliznami, drżał biedny bakałarz w swoim, choć nieswoim góralskim stroju, jak młodziutka brzoźka. Berdzie i jego towarzyszom zbójnickie danie, jeszcze ziołami przez Carynkę doprawione, wielce przypadło do gustu. Smakowali i chwalili odmianę w jedzeniu. Czerep ponuro patrzył na nich z rosnącym zadziwieniem. Od miesiący nie schodził z gór i choć twardy był jak rzemień, to na widok sarniny uporczywie go mdliło.

– Mówisz, Berdo, żeś miał dzieciństwo bez rodziny, żeś w braku na gęślarza chowany – zaczął znów Kardasz, kiedy pojedli trochę.

– Mam Rysia, który jest mi bliski, mam krewnych Kościanów. Jednak to nie to samo.

– Gdyby było to samo, toby gęślarzy na Pustaci, bez nikogo chowali. Ale powiem ci, że wiem, co czujesz. Ja też bliskich traciłem, i to bliskich, których znałem.

– Wojna to okrutna pani – wtrącił Wrzosiec.

Hnat Kardasz zastygł i przez chwilę jednym okiem badawczo wpatrywał się w bakałarza.

– Siedź lepiej, chłopcze, w swoich księgach, bo na wojnie się nie znasz. I życzę ci, żebyś się nie poznał. Niech ci wystarczą pieśni o niej, w nich są tylko słowa i nie ma wojennego bólu. Powiem wam coś, choć wy, w Karbach, nie chcecie tego słuchać. Wiecie, że król z nami wojuje, wiecie, że coś się niedobrego dzieje. Ale dzieje się od lat, od lat te same wieści, to się zdążyliście przyzwycząić. A na co dzień macie swoje pieśni, macie tańce i

swoje stada. I dobrze wam tu, w Smoczogórach, dobrze z góralską duszą. I nie chcecie wiedzieć, co tam się dzieje. Wojna ma swoje prawa. Armie stają naprzeciw siebie i uczciwie walczą. Ale tam, na Bukowinie, inną wojnę musieliśmy poznać. Ja na pogórzcu długo siedziałem i tam był mój dom. Tam ludzie są mniej odważni, mniej wsparci na tradycji. Widzą niziny, widzą miasta i to pogranicze rozcieńcza ich góralskość. I stało się tak, że pewnego dnia weszli do naszych wsi żołnierze króla. Odczytali dekret, że król zajmuje te ziemie i górale mają się stamtąd wynieść. Dali nam dzień i zagrozili, że tych, co się nie poddają, pozabiją. I różnie się działo.

Kardasz zamilkł. Za oknami zrobiło się ciemno. Łuczywa, zatknięte za szpary w ścianach, paliły się z cichym sykiem. Płomienna, przecięta czarną opaską twarz drgała w ich migotaniu. Mrok wyostrzył orle rysy herszta zbójników. Wrzosiec poczuł mrowienie w plecach. A Hnat przepłukał usta i wolno zaczął:

– Większość w popłochu pakowała dobytek, a we wsiach setki jednakowych, skrytych za hełmami żołnierzy przyglądało się temu, spokojnie czyszcząc miecze. Pakowano wozy, zganiano stada, wiązano krowy i świnie do wozowych drabin. I większość ruszyła ku Smoczogórom. Każdy miał tam dalszą rodzinę albo rodzinę rodziny. I górale przygarnęli wygnanych braci. Sporo mieszka w Kośnych, Moczarki jeszcze parę lat temu były małą wioską, a teraz to duża osada, coraz powstają nowe przysiółki. Ale była też wokół Bukowiny część honornych górali, co ziem swych nie chcieli opuścić. Wojsko groziło im, trochę postraszyło, ale później ruszyło w swoje strony. I upłynęły kolejne dni. Aż pewnej nocy żołnierze wrócili, po cichu, skradając się jak lisy, i podłożyli ogień pod domy niepokornych, co się dekretowi ugiąć nie dali. I tak zginęła moja żona i dwóch synów.

Na mgnienie łuczywa Kardasz zawiesił głos.

– Ja akurat w drodze byłem owej nocy, i tak z Carynką cudem ocalałem, na swoje i jej przekleństwo. Bo nikt mi rodziny nie zwróci, nikt mnie i córce pamięci nie zabierze. A król Lacerty pobudował stacje pograniczne, ale na ziemie nasze wejść się nie odważył. Szedłeś, chłopcze, przez te tereny, bo inaczej dojść się tu nie da. I widziałeś puste wioski, zarośnięte podwórka. Sypiące się chaty, nieopalone przez kilkanaście długich zim. Widziałeś dziczące sady, które kiedyś dawały dorodne owoce na naszą śliwowicę. To ziemia niczyja, bo król kmieci tam nie sprowadzi, a my nie wrócimy. Marnieje ziemia i obumiera. Przez pokolenia orano, siano i zbierano, a teraz hula tam wiatr. I to jest wojna twojego króla. Inaczej niż w pieśniach i

waszych eposach.

Wrzosiec chciał coś powiedzieć, ale w porę się powstrzymał.

– Dość już o tym. Wiem, że dla was nasze zbójnickie żale są dziwne. To wam burzy spokój Smoczogór, rytm pieśni i opowieści o smokach, sztolnikach i ich prawdziwych wojnach. Nie chcecie tego słuchać. Jednak to się dzieje naprawdę, to jest tuż za Karbami, za Cisowym Potokiem. I jest w nas, a teraz wielu pogórzan pomiędzy prawdziwymi góralami mieszka. A nie chcecie słuchać, wasza sprawa. Późno się porobiło. Ranek przyniesie wyjaśnienia, a wy też w świt ruszać musicie.

Powoli zbierali się na wskazane przez zbójników miejsca. Gajda ociągał się chwilę. A kiedy weszła Carynka, by zebrać miski i czarki po wieczery, wymienili kilka ukradkowych spojrzeń. Dziewczyna zamknęła za sobą drzwi do sąsiedniej izby.

– Dobrze ci radzę, Gajda, nic razem nie próbujcie dziś w nocy. Wiem, że ci się moja córka widzi, a ty jej. Może gdyby się wszystko inaczej potoczyło, byłbym ci rad. Ale nie dla ciebie ona i dlatego nawet niczego nie próbujcie. Ani dziś, ani nigdy.

– Jakże to, Hnacie Kardaszu, przecież mówiliście, że dla Kościanów szacunek macie? A ja z Kościanów jestem...

– Szacunek mam, nawet nie wiesz jaki. Ale właśnie dlatego, żeś Kościan, nie dla ciebie ona. I tak nie zrozumiesz, dlaczego.

– Nawet mnie nie znacie.

– Idź już spać, chłopcze. Lepiej posłuchaj mojej rady.

I tak nad grażdą Kardasza, cicho wtuloną w północne stoki Chochlika, zapadła ciemna, późnoletnia noc. Spali na pościeliach wyściełanych niedźwiedzimi skórami, gęste, brunatne futra pachniały dziko i obco. Zmęczony Wrzosiec jak nieprzytomny zanurzył się w objęcia snu.

Nie dospali do świtu. Znów Kościanów i Wrzośca pobudzili zbójnicy. Ale nie musieli prosić ani grozić, tylko Czerep powiedział spokojnie:

– Wichry. Wichry idą.

Wszyscy wybiegli z domu, wpierw na podwórzec, a potem poza warowne ogrodzenie. Biegiem, ślizgając się po rosie, wspinali się na grzbiet połoniny. Towarzyszyło im wycie nadciągających znad Równi wichrów. Gęślarz z bakałarzem jako jedyni znali ten huk. Poczciwy Garbacz niknął w porannej mgle. Zapewne chrapał spokojnie albo ocucony mgłami lizał przysychające rany. A wichry gnały nad Świstową Przełęcz, gnały, ciągnąc ze sobą mgły i opary znad Pustaci. Przedświt blado i niechętnie różowił się nad ostrymi Pazdurami. Smoczogóry jeszcze spały i uparcie dosypiały,

głuche na narastające wycie. A wichry ze świstem przecięły przełęcz, rwąc kępy ostrej trawy i zrzucając je w północne przepaście. I zbójnicy, choć dzielni i nie zanadto strachliwi, dopadli najbliższych głazów i przycupnęli za nimi, chcąc ukryć się przed ostrymi podmuchami. Wszyscy z lękiem czekali na kolejną, ślepią złość wichrów.

A te pognały na północ i na chwilę ich wizg przycichł, rychło jednak zawróciły i z całym impetem ruszyły w stronę Chochoła. Z wściekłością i furią uderzyły w potężny skalny czub. Od szczytu wielkiej góry oderwały się pojedyncze kamienne kęsy i zeszły w dół, zatrzymując się na linii lasu. Tymczasem wichry zawiąły aż nad Karby, gdzie znów łukiem zawróciły w stronę przełęczy.

Zbójnicy i trzech przyjaciele rozpięchli się po grzbiecie, dysząc i perląc się od rosy. A wichry powtórzyły szturm na Chochoła. I znów wyrwały zeń bloki, tym razem dużo większe niż poprzednio. Kamienne olbrzymy potoczyły się w dół, kalecząc połoninę. Zachrząścił świerkowy las, lecz zamknął nad głazami zieloną zasłonę. A wściekłe wichry z narastającym, ogłuszającym hukiem zatoczyły kolejne koło i gotowały się do trzeciego natarcia.

– Niech będą przeklęte – Berda zrozumiał sens przepowiedni skrzata.

Wszystkim się zdawało, że wyszeptuje te słowa, ale on krzyczał donośnie, przekrzykując uporczywy ryk wichrów. Kolejne uderzenie zachwiało Chochołem i zarysowało stabilność podstawy. Stawało się niemożliwe. Strzelająca w niebo na prawie tysiąc stóp skała kołysała się jak drzewo na wietrze. Zeszła kolejna lawina, której nawet las nie wytrzymał. Wyrwa w smreczynie była głęboka.

Jeszcze trzy razy wichry nawracały i waliły w Chochoła. A za każdym razem potężna góra kiwała się coraz mocniej. I wreszcie, za siódmym uderzeniem, przechyliła tak nisko, że wszyscy, w przestraszu wtuleni pomiędzy skały oszczędzanego Chochlika, wiedzieli już, co nastąpi. I nastąpiło niemożliwe. Po siódmym natarciu Chochoł zaczął walić się z kamiennym chrzęstem na południową stronę. Jak kamyczek, jak drzewko. Ale to nie był koniec. Bo niewyobrażalna siła, zamiast zostawić go nieuniknionej lawinie, porwała go niczym piórko, przeniosła ponad lasem, i z gniewem i furią cisnęła w samo serce budzącej się z trwogą doliny. Chochoł nie lawiną, ale niesiony wichrami doszedł do Kośnych i zarył głęboko w ziemię, miażdżąc swym kamiennym, spękany cielskiem ciasno skupione domy, takie maleńkie i niemal niewidoczne z grzbietu połoniny. Masyw rozpadł się na mniejsze bloki, grzebiąc osadę.

Nikt nie wierzył, że to, co się stało, stało się naprawdę. Wydawało się, że wszystko trwało kilka chwil, ale słońce, które w całości wynurzyło się zza turni, uświadomiło im, że znów czas płynął inaczej. Bo nie płynął tu, lecz lekko odpłynął za góry, nie chcąc patrzeć na tragedię Kośnych. Wrzosec spojrział na rumowisko, gdzie dopiero co stał potężny Chochoł, i na niebo, które jeszcze niedawno zakrywał. Było niewinne, różowo-błękitne, a spokojne stada baranków wolno wędrowały po łąkach przestworu. I minęła bardzo długa chwila, zanim do wszystkich dotarło, co się naprawdę wydarzyło. Coś, co było niemożliwe, dzięki siłom, które były nie do uwierzenia, jednak stało się możliwe, i Chochoł, jeszcze nie tak dawno wyłaniający się z mgieł, teraz dogorywał o pół dnia drogi w dół.

Zbójnicy powstawali i bezsilnie zaciskali pięści. Część przeklinała wichry, inni otępiali patrzyli z niedowierzaniem na spustoszoną grań. A kiedy zrozumieli, że nic nie można już zrobić, zataczając się, siadali na trawie, kryli głowy między kolanami i szlochali jak dzieci. Płakał znany z okrucieństwa Czerep i nieustraszony Mohył, łkali Kurniawa i Łasica. Nawet wielki, owiany legendą w całych Smoczogórach Hnat Kardasz łykał łyzy i wcale nie ukradkiem ocierał jedyne oko. A co dopiero mówić o otępiały i zastygłych ze strachu Gajdzie i bakałarzu, który wcale nie chciał być dzielny i odważny?

Jedynie Berda stał w oddaleniu od wszystkich i nieruchomo patrzył na niewielkie z perspektywy Chochlika gruzowisko. A kiedy huk wichrów, co odleciały za Pazdury, ucichł, zapłakani mężczyźni usłyszeli niewyraźny i niezrozumiały gardłowy śpiew gęślarza Kościanów.

Dzień, tknięty powracającym czasem, kontynuował swe przebudzanie. I niby wszystko było jak zawsze, słońce, ptaki na niebie, śpiew drzew delikatnie muskanych wiatrem. Ale w Smoczogórach nic nie mogło być jak dawniej.

Rozdział piętnasty

który jest bardzo krótki, a to z tego powodu, że dzieją się w nim rzeczy jeszcze ważniejsze niż ostatnio



Cóż można było powiedzieć o tragedii Kośnych? Tylko milczenie pozostało zbójnikom, kiedy ze zwieszonymi głowami wlekli się do grażdzy. Odeszła ochota na śniadanie, na wszystko odeszła ochota. A żyć trzeba było. Choć nic już nie wydawało się pewne. Złe myśli opadły zebranych, dusiły ich i popuścić nie chciały. Bo to mógł być zwiastun końca Smoczogór. Końca górali i końca dumnych, odwiecznych gór. Nie stało już w nikim wiary w ocalenie. Nikt nie rozumiał, co się działo i z jakiego powodu. Przecież głupota jednego starego górala nie mogła być ukarana tak strasznie. A jak nikt nie miał wiary i nikt nie miał żadnej pewności, to wszyscy zawierzili swój niepewny, kruchy los jednemu człowiekowi. I jeśli kto mógł ich ocalić, to jedynie gęślarz. I Hnat Kardasz, jak wszyscy, spojrzął na Berdę.

– Ruszaj na Czartak i niech cię Jedyny po ścieżkach dobrego losu prowadzi. Bo w tobie jest nadzieja, choć to wąta i słaba nadzieja zrozpaczonych.

Berda wziął na plecy worek ze Smykowymi dudami i wyszedł z grażdzy.

– To moja rzecz, możecie zostać – powiedział do przyjaciół.

I ruszył, a szedł ciężko i stapał wolno. Wrzoścowi znów się wydało, że

jego przyjaciel jest starym, zużytym człowiekiem. Lecz wierzył w niego, uporczywie zapominając o wszelkich wątpliwościach i niepewnościach samego Berdy, które znał i po części sam podzielał. Ale wtedy chciał o nich zapomnieć. Carynka wetknęła osłupiałemu Gajdzie sakwę z pasami wędzonej sarniny i koźliny, żeby mieli co jeść po drodze. Wymienili tylko pełne tęsknoty spojrzenia, i trzech przyjaciele skierowali się na wschód.

Berda ruszył przodem, maszerując kilkanaście kroków przed resztą. I tak miało pozostać aż do wieczora. Szedł milczący, wpatrzony w spowity chmurami szczyt Czartaka. Kiedy ominęli skały Chochlika, ich oczom ukazała się surowa, długa połonina, nazywana Świstową Przełęczą. Była łagodnym siodłem pomiędzy Chochołem a Starymi Sztolniami, rozciągniętym na prawie cały dzień drogi. Drobną ścieżynką prowadziła ich samym grzbietem, delikatnie obchodząc nieliczne wzniesienia. Co jakiś czas musieli ją porzucać, by ominąć ziejące, głębokie doły, pozostałe po nawrotach porannych wichrów. Nad przełęczą poczęły się snuć rzadkie, zszarzałe chmury. Berda coraz niknął i rozmazywał się w ich mglistej zawieszynie, ale szli na tyle blisko, że nie tracili go z oczu. Kiedy już zostawili za sobą Chochlik, Gajda cicho odezwał się do Wrzośca:

– Teraz rozumiem słowa skrzata, że wkrótce Śmierć będzie potrzebna ludziom. I ci, umierający w Kośnych, pewnie o nią błagają.

Przerwał, lecz po chwili podjął:

– A kiedy kto umrze, mamy taką pieśń:

*Gdy stąd odejdziemy, trochę będzie szkoda
Gdy nas Śmierć zabierze, trochę będzie szkoda
Po górach, dolinach płakać będzie woda
Hej, płakać będzie woda.*

Jego wysoki, przepojony rozpaczą głos szedł, mimo chmur, daleko po połoninie. Berda nawet nie zwolnił ani nie obrócił się do towarzyszy. Gajda umilkł więc, jakby zawstydzony. I wtedy gęślarz odezwał się do nich:

– Jest jeszcze druga zwrotka na tę samą nutę, ale zapomniana i pewnie Gajda jej nie zna. Mnie ją zaśpiewał tylko raz Stary Ryś, kiedy na Zarąbek doszły wieści o tym, jak wojska Lacerty wyrznęły górali z Bukowiny. To było wtedy, jak spalili żonę Hnata Kardasza. I teraz ta pieśń powraca sama, posłuchajcie:

*Gdy nas Śmierć zabierze, zapłacze świat cały
Gdy nas Śmierć utuli, zapłacze świat cały*

*Nawet wichry w wantach smutno będą grały
Hej, smutno będą grały...*

Nie było w jego głosie takiej siły, jak jeszcze niedawno, nie było tej czystej, dźwięcznej mocy, z jaką śpiewał Gajda. Był spokój i zmęczenie, było pogodzenie się z losem. Ale Wrzosiec czuł w tym śpiewie bijącą moc, ukrytą, lecz sięgającą do samego ducha. I wtedy po raz pierwszy pomyślał, że Berda jest prawdziwym gęślarzem.

A Berda umilkł i nie odezwał się aż do wieczora, przyśpieszył jedynie kroku i narzucił przyjaciołom ostrzejsze tempo. Przystanęli na odpoczynek tylko raz, kiedy ich ścieżkę przecięła stara i postrzępiona sztolnicka droga, co przed wiekami przeprowadzała wędrowców przez Świstową Przełęcz na północ. Przsiedli na znaczących grzbiet połoniny głazach i posilili się otrzymanym od Carynki jedzeniem. I niedługo potem zostawili za sobą kruszejące świadectwo dawnych dni, znanych już tylko z pieśni i dzięki pieśniom, i ruszyli na Czartak.

Szarzało dobrze, kiedy doszli do Starych Sztolni. Tam ścieżka skręcała na północ, by zboczem wyminąć ponure i omotane posepnymi chmurami turnie. Droga wywiodła ich na gołoborze. Wrzosiec zobaczył ciągnące się daleko, po skraj północnych przepaści, usypane w kopce głazy. Zatrzymali się, widząc, że Berda przystaje.

– To stoki Mogielnicy, to nasze groby – powiedział Gajda.

Kopce, od pokoleń kryjące w sobie szczątki smoczogórskich górali, poplamione były żółtawymi i brunatnymi porostami. Ponure i martwe zbocza rozjarzyły się na chwilę krwisto od zachodzącego w prześwicie chmur słońca. Berda podszedł do Gajdy i powiedział cicho:

– Daj mi piszczałki od kózki.

A kiedy zdziwiony Kościan spełnił prośbę, gęślarz powiedział:

– To moja rzecz, moja wyprawa. Dalej pójdę sam. Poczekajcie tu, jak chcecie. I nie ruszajcie się z miejsca, aż skończę. Jak skończę.

I powoli zaczął schodzić w dół między głazami, aż oddalił się na tyle, że dwaj przyjaciele prawie stracili go z oczu. Na chwilę zniknął między kopcami, lecz zaraz się wynurzył. Jego postać odcinała się od płachty nieba. Górskie powietrze, jakby na niemą prośbę Wrzośca, wyostrzyło widok i schowani za potężnym głazem mogli dobrze widzieć, co Berda robi. A ten wyciągnął z worka dudy i powoli, ostrożnie, wyciągał szpunt za szpuntem i w otwarte miejsca mocował wzięte od Gajdy piszczałki.

– Co on robi, miał ją tylko wypuścić...

Berda spokojnie zatknął wór pod ramię i zaczął grać. Grał starodawną nutę, którą Wrzosiec dobrze pamiętał, bo słyszał ją na Zarąbku od Starego Rysia. Grał wolno, grał poważnie. Był w jego grze ten sam spokój, co w ostatnim śpiewie, bez chęci nadmiernego zdobienia i popisywania się. I Berda chował się za tym spokojem, jakby zacierał samego siebie, i stawał się niewidoczny, nie zasłaniał sobą muzyki. Ale były też w tym spokoju napięcie i trwoga, bo wolna pieśń niczym lament niosła się po stokach Mogielnicy i wnikała między milczące groby. Usłyszał Wrzosiec łkanie w muzyce dud, jakby ktoś śpiewał rzewnie, a nie grał na instrumencie. I poczuł bakalarz, że dudy żyją, że Berda cudem tchnie w martwy wór nie tylko powietrze, ale życie, i że to dudy same wypłakują odwieczną tęsknotę. I tak się zasłuchał uczony z Lacerty, że prawie zapomniał, po co tu przywędrowali, a wtedy właśnie Gajda wytrącił go z zasłuchania. Bo oto z dud, przez gajdzicę, wypadła na kamienie jedna mała kostka. A potem następna i następna, aż poniżej Berdy uzbierał się niewielki kopczyk. Wrzosiec, który nie do końca wierzył w całą historię ze Śmiercią, zamarł. A Berda grał dalej.

– Co on robi, przecież takiej nuty nie ma?! On jakieś swoje melodie wygrywa! Będzie nieszczęście, nie powinien go Ryś robić gęślarzem. Niech wraca, już po wszystkim – Gajda szeptał drżącym głosem.

Bo rzeczywiście, Berda zaczął grać dziwnie. Porzucił odwieczne nuty, te, które miały chronić ich przed Śmiercią i jej gniewem. I grał coś swojego, niby coś góralskiego, ale nawet Wrzosiec wyczuwał, że nowego i innego niż cała znana mu muzyka Smoczogór. I wtedy się zaczęło. Bo skupione przed Berdą kości zaczęły lekko falować, a potem uformował się z nich szkielet i stanął przed gęślarzem.

I zobaczyli zamiast szkieletu nagą, starą kobietę z rozwianymi włosami. Ta sękatymi palcami zagarnęła kawałek nieba, wyrwała z nieba szarą, wieczorną płachtę i okryła się nią jak płaszczem. Szarość, przetykana promieniami słońca, owinęła jej wyschnięte, blade ciało. I Śmierć zaczęła tańczyć, wpierywając się wokół. Działo się to daleko od Gajdy i Wrzośca, ale jakimś dziwnym zrzędzeniem losu mogli wszystko dokładnie widzieć. I widzieli, jak muzyka Berdy zmienia twarz staruszki, jak wygładzają się jej zmarszczki, wysnuwa siwizna z włosów. I widzieli, jak młodnieją jej ruchy, jak tańczy coraz lżej i lżej, stąpając na palcach, aż zaczęła wirować, a wokół niej wirował zagarnięty z nieba płaszcz, skrzący się w mroku resztkami słońca, choć prawdziwe słońce już zgasło za horyzontem.

I kobieta stała się dziewczyną i kręciła się w tańcu, a wokół niej kręciły się jasne, prawie złote włosy. Zobaczyli piękną, smutną twarz dziewczyny i jej wielkie, przepiękne żalmy. I tańczyła dziewczyna, jakby umierając w tańcu, a Berda, zupełnie skryty w cieniu, grał dalej, grał swoją nutę i swoją pieśń, której wcześniej nie słyszały Smoczogóry. Nie wiadomo, ile czasu upłynęło. Aż wreszcie dziewczyna odrzuciła szary płaszcz i tańczyła dalej naga, tańczyła piękna i smutna. A Wrzosiec patrzył zauroczony, bo nie widział piękniejszej, i nawet Carynka wydała mu się jakaś zwyczajna. Było w Śmierci jasne, niczym niezmacone piękno, ale był też przenikający jej urodę chłód. Dziewczyna zwolniła taniec i kręciła się coraz wolniej, aż wreszcie przystanęła i lekko, na palcach, zanurzyła się między groby. Widzieli, jak jej gibkie ciało, kołysząc się, mija kamienne kopce, jak jej bladość pojawia się w ostatnim, słabym świetle wieczora. I jej postać stawała się coraz mniejsza, i mniejsza, aż wreszcie całkiem roztopiła się w ciemności, która nakryła stoki Mogielnicy. A Berda grał jeszcze chwilę, jakby nie mógł skończyć, jakby nie mógł przestać i nagle urwać rozkołysanej, tęsknej melodii. I pozwolił muzyce wybrzmieć, odprowadzić Śmierć daleko od nich, i grał coraz ciszej i ciszej, aż lament dud ucichł. Słyszeli jego westchnienie, a może było to ostatnie westchnienie dud, pozbawionych muzyki. I gęślarz odpoczął chwilę, a potem ruszył w ich kierunku. Dopiero wtedy Gajda mógł się odezwać i przemówił charcząco, ściśniętym i wyschniętym gardłem:

– To jest gęślarz, na jakiego czekały Smoczogóry. Jego zapowiadały pieśni. Tak się obawiał, ale przecież Stary Ryś może mu kierpce wiązać. Trzeba było pokoleń przechowywania pieśni, pokoleń ślepego i wiernego pilnowania tradycji, by narodził się ten, co zagra nową pieśń. Wrzosiec, zapamiętaj to dobrze, bo na naszego Berdę Smoczogóry czekały od wieków.

– I co będzie dalej?

– A co jeszcze może być dalej? Nic już pewnie nie będzie.

Rozdział szesnasty

w którym wszyscy zastanawiają się, co dalej



Berda wolno, klucząc między gasnącymi w ciemnościach mogiłami przodków, zaczął wspinać się do towarzyszy. Uważnie patrzył pod nogi, by nie stracić równowagi. Zmęczone, opadłe z sił i ducha dudy przewiesił przez ramię. Na jasnym tle widzieli podskakiwanie drewnianej koziej główki.

Wrzosiec był przekonany, że to już koniec ich misji. Wszystko, do czego się zobowiązał Berda na radzie u Jaka, zostało wypełnione. I to jak! Bakalarz był pewien, że o tym, jak gęślarz Śmierci życie darował, będą po Smoczogórach przez lata całe krążyć opowieści. A może nawet pieśń, co przetrwa wieki.

– Nareszcie koniec, udało ci się, Berdo! – odezwał się, kiedy napięcie opadło, a gęślarz dołączył do nich.

– Koniec dnia, koniec wędrówki ze Śmiercią na ramieniu. Ale nie koniec mojej drogi. Czuję, że wichry nie przez Śmierć wiały. I będą wiały nadal.

– I co dalej?

– Spytaj Gajdy. On te góry zna jak własną kieszeń. I jego o najbliższą drogę trzeba pytać. Jeśli nam się nie uśmiecha spanie między grobami.

– Znam drogi różne, ale nie wiem, dokąd nas mają zaprowadzić.

– Słusznie. Droga ma dwa końce, na jednym znajdziemy cel podróży, podążając drugim, zagubimy się. A nam śpieszno do Sowy, wieszczuna. Ponoć żyje w chatynce wtulonej między głazy po drugiej stronie Czartaka. I ja, na ten przykład, wolałbym tam spędzić noc niż tu, na pustkowiu.

I Berda ponaglił Gajdę Kościana, dając do zrozumienia, że rozmawiać będą, jak dojdą. Ruszyli gęsiego, ostrożnie i pomału, patrząc pod nogi. Wrzosiec potykał się o kamienie i wkrótce miał poobijane palce u stóp i pocierane dłonie, ale powstawał i szybko doganiał górali. Kłął w duchu, bo droga wydała mu się o wiele dłuższa niż poprzednio. I za każdym razem, kiedy tracił równowagę, zastanawiał się nad dziwnym umiłowaniem górali do włączania się po nocy. Mrok gęstniał i za nimi ruszyła w pogoń czarna jak smoła noc. Żmudnie wspinała się po stokach Mogielnicy ku grzbietowi połoniny, ale po tym, co widziała między grobami, wołała nie naprzykrzać się wędrowcom.

Gdy dotarli do grani, ich kroki rozświetliła księżycowa poświata. I była to najlepsza niespodzianka, jaką mógł sobie wtedy wyobrazić bakalarz z Lacerty. Pызaty, choć blady księżyc przyglądał im się ciekawie, odgarniając snujące się wokoło chmury. Czekał na nich skryty za masywem Czartaka i dopiero teraz zdecydował się ich prowadzić. Dalej więc szli srebrną ścieżyną, rzucając za siebie długie cienie. Już Wrzosiec potykał się rzadziej, już szybciej przebierał nogami, już nie musiał tak podbiegać. Nie potrafiłby jednak powiedzieć, jak długo szli. Myśli i domysły jego snuły się wokół ostatnich wydarzeń i skutecznie odganiały uwagę od czasu. Rzeńskie powietrze cucilo go z całodziennego zmęczenia.

I właśnie wtedy ich oczom ukazał się ostry kształt chatynki wieszczuna. Wciśnięta między potężne wanty, ukryta przed zbyt ciekawym wzrokiem, przytulała się do skalnej ściany. Z okien sączyło się ciepłe, drgające światelko. Zeszli w dół po pochyłości i trafili na ścieżki wydeptane w kamieniach przez jej mieszkańca. Jedna z nich, nieomylnie wybrana przez Gajdę, wkrótce wcisnęła się wąsko pomiędzy nawis skalny i ścianę chałupki. I tak doszli do drzwi.

– Nie znam tego wieszczuna, jestem tu po raz pierwszy – uprzedził lojalnie przyjaciół Gajda.

Za późno było na odwrót. I, co najważniejsze, żaden z wędrowców nie miał nań ochoty, wizja ciepłego pomieszczenia, posiłku i odpoczynku była zbyt kusząca. Zapukali i weszli do sieni. A z sieni w prawo, do jedynej izby. Do izdebki – jak się okazało, kiedy uchyłili drzwi.

W pomieszczeniu, tyłem do nich, krzątała się starsza kobieta.

– Witajcie, dobra matko, przychodzimy w pokoju. Szukamy wieszczuna Sowy – Gajda dalej czuł się przewodnikiem.

– No, jesteście wreszcie – powiedziała, odwracając się do gości.

Palila glinianą fajeczkę i przyglądała się im z wesołością.

– Słysząc was, odkąd wyszliście z Czartaka. Ale dotarliście, siadajcie więc.

– Przyszliśmy, bo szukamy wieszczuna gromowego.

– A ja wam nie wystarczam? Trudno. Jak go nie ma w izbie, to poszukajcie. Może siedzi pod stołem, może przycupnął w komórce. A może rąbie drewno przed domem, bo szczerze mówiąc, już się kończy...

– Przepraszamy, widać pomyliliśmy drogę – zaczął Wrzosiec.

– O, a ciebie było słysząc najwięcej. Tłuczesz się po górach jak ciężki i do tego kulawy wół. Nie jesteś stąd, prawda?

– Naprawdę nie wiecie, gdzie Sowa?

– Kiedy ostatnio widziałam Sowę? Może wczoraj rano, jak byłam nad strumieniem. No i w czystej wodzie, lekko zmarszczonej od porannego wietrzyku zobaczyłam twarz Sowy. Tak, wczoraj rano, zupełnie niedaleko stąd...

– To wy jesteście Sowa, matko... – odezwał się nagle Berda.

– O proszę, więc nie tylko pięknie grasz, Berdo, ale masz też jaki taki pomysłupek. Siadajcie, powiedziałam.

Usiedli niepewnie.

– Przecież Stary Ryś mówił, że Sowa to chłop – zaryzykował Wrzosiec.

– Skoro tak mówił – zatroskała się wieszczunka – to znaczy, że mu pamięć zupełnie na starość pomąciło... A taki był z niego kiedyś krzepki i rozumny chłop, szkoda...

– Po prawdzie – sprostował Berda – Ryś nic o chłopie nie mówił. Powiedział tyle, że na stokach Czartaka mieszka wieszczun Sowa. I żeby o Sowę pytać. A myśmy sami domyśleli, że to musi być chłop. Nasza wina, o wybaczenie prosimy – gęślarz uderzył się w piersi.

– No i cieszę się, wreszcie doszliśmy do tego, że ja to ja. A jak już jesteście, to dalibyście starej babie trochę tytoniu, bo w moim kapciuchu dno widać. A na dół nie chce mi się latać.

– Myślałem, że kobiety nie palą – Wrzosiec ostrożnie wyraził swoją wątpliwość.

Sowa wskazującym palcem ubiła rozżarzony tytoń w cybuchu.

– Jak nie palą, jak palą?

– To znaczy, chciałem powiedzieć, wy palicie, ale innych nie widziałem.

A w Lacercie to już żadna kobieta nie pali.

– Biedne wasze baby. U nas młode też nie palą, a ty, chłopcze, pewnie na takie się oglądałeś. Bo i po co im palenie potrzebne? Dziewczyny mają tyle innych od życia przyjemności, że im fajka niepotrzebna. Ale jak lata przejdą, to i rozkosze mijają. I nikt już takiej baby nie chce, takie życie. I wtedy choć zapalić można. A ja całe życie sama, to całe życie palę.

Wrzosiec już nie pytał o nic, tylko wyciągnął z sakwy swoje zapasy i podzielił się z gospodynią. Kiedy chowała brązowe liście do skórzanego woreczka, przyglądał się jej ciekawie. Na stole kocił łojowy kaganek, rdzawe promienie migotały od pieca. W półcieniu Sowa wyglądała na równolatkę Kardasza. Mogła mieć sześćdziesiąt lat i, co Wrzosiec musiał przyznać, była niegdyś piękną kobietą, nawet teraz zachowała szlachetne góralskie rysy. Miała wesołą twarz i ciemne, żywe oczy. Ubierała się inaczej niż baby, które widział w Smreczynach. Nie nosiła chustki na głowie, tylko na plecy opadał jej siwiejący, długi warkocz. Nosiła męską lnianą koszulę z kapturem, wyrzuconą na spódnicę. A na to nałożyła barani, jasny serdak sięgający kolan.

– Dawajcie, co macie, przygotuję wieczerzę – powiedziała i od razu wstała od stołu.

Krzatając się koło pieca, co jakiś czas rzucała pytania, pozornie błahe i mające na celu raczej podtrzymanie rozmowy.

Izdebka była mała, zagracona, ale sprawiała wrażenie przytulnej. Nad ich głowami suszyły się kępy ziół, których zapach nasycił powietrze. Było ciepło i Wrzosiec, skurczony na zydelku, osuwał się w półjawną drzemkę.

Wreszcie posiłek został przygotowany – był to rodzaj gęstej, doprawionej ziołami zupy, do której Sowa wrzuciła podsmażone wędzone kawały kozłiny.

– Miałam schowane na specjalną okazję – powiedziała, sięgając za kufer – i chyba taka się nadarza.

I tak na niewielkim, posiekanym stole pojawił się dzbanek ze śliwowicą, osadzony w wiklinowym koszyczku.

– A co za okazja? – zapytał Gajda.

– Bo się nam nowy gęślarz narodził, tam, na stokach Mogielnicy – odparła wieszczunka. – Pięknie grałeś, Berdo, było czego posłuchać.

– Naprawdę słyszeliście, matko?

– Nie matkuj mi, chłopcze, bom nigdy nie rodziła. A moja rzecz na słuchaniu się znać. Po słuchu poznaję wiatry i ich plany. I właśnie twoje granie mi dziś pod wieczór przyniosły. A nie było to zwykłe granie.

- Bo Berda grał w ważnej sprawie... – Gajda zaczął wyjaśnienia.
 - Ty sobie, chłopcze, odpocznij, boś się nachodził dzisiaj. A mnie nie opowiadaj nic, bo ja już wszystko wiem.
 - Skąd wiecie i co?
 - Ty się spytaj, skąd wy wiecie.
 - O czym?
 - O wichrach nad Chochołem, na ten przykład.
 - Od takiego jednego, od skrzata, ten nas ostrzegł i z Kośnych ocalił.
 - A skąd skrzat miał wiedzieć o wichrach, jak on się duszami zajmuje?
- Gajda milczał.
- No ode mnie, bardzo słusznie myślisz. A przy okazji opowiedział mi to i owo. Ja swoje wysłyszałam, trombity słyszałam, o nowym gęślarzu słyszałam, co się działo wokół Garbacza, też słyszałam. Wiatry wszystko rozpaplają, wszystko rozniosą. Nawet swoich planów ukryć nie potrafią, tak że ja zawsze ich knowania przesłyszę. Resztę skrzat mi opowiedział. A od rana to ja was sama słyszę. Więc odpocznijcie, zamiast język strzępić.
 - Szkoda was tu, na pustkę Czartaka. Na dole byłoby was potrzeba – zagadnął Berda.
 - Na dole nic bym nie słyszała. A tu z kolei ludziom nie chce się po wieści chodzić, i taki już los. Czasem zajdą, przed zniwami, przed sianiem, jak się redyk zaczyna. Z Kośnych chodzili, z Moczarek chodzili. Ale pojedzcie jeszcze trochę, głodni pewno jesteście. Tacy młodzi to jeść muszą.
 - Dużo wiecie, to powiedzcie, czy moje granie Śmierci i to, że ją wolną puściłem na Mogielnicy, da radę wichrom.
 - Tego to ja nie wiem, mój złoty. Może kiedyś... Ale nie teraz. Wichry jeszcze wyć będą, bo zasmakowały w niszczeniu. Jutro się na Jaszczury szykują, też będzie się działo.
 - A więc i Moczarki może zniszczyć, trzeba ludzi ostrzec.
 - Nie zdążysz, do Moczarek dzień drogi. Dudów twoich nie posłyszają, trombity nie mamy. I tak. Ale miej nadzieję.
 - To co robić? Stary Ryś radził, by do was pójść, jak już Śmierć zostawimy.
 - A co ja wam poradzę? Na pogodzie się znam, na wiatrach, na deszczach. Wiem, kiedy i skąd burza przyleci. Ale to są wichry. Jesteś gęślarz, to się lepiej znasz na tym. Po mojemu, nie ma rady, tylko trzeba do Władcy Wichrów iść i jego samego zapytać. On wichrami rządzi. Ja jedynie potrafię je przesłyszec.

- Ale przecież znacie się na nich!
- No, trochę się znam.
- Widzicie – ciągnął Berda – ja sobie myślę, że nie ma związku wichrów ze Śmiercią. Bo niby jaki? Zaczęły wiać, kiedy już na Czartak szliśmy. Zniszczyły Kośne, kiedy nikt im z Kośnych nie zawinił.
- A Smyk? Był wtedy w Kośnych. Pewnie wszystko jego wina – wtrącił się Gajda.
- I jego, i nie jego. Głupi był, ale to on nas wyratował, jego kazał skrzat szukać zbójnikom Kardasza. Bo gdyby nie on, tobyśmy pod gruzami Chochoła leżeli i o śmierć błagali.
- A jak mu skrzat o wichrach nie powiedział? I Smyk został w Kośnych?
- Smyk pewnie z Kośnych jeszcze tego wieczora odszedł. Pamiętaj, jak go twoi towarzysze pożegnali. Tak sobie myślę, że miał z nim skrzat jakiś układ. Pamiętasz, Wrzosiec, ktoś o nas uprzedził wataha Ceremgę. Myślałeś, że to skrzat, a to pewnie był Smyk.
- Smyk Smykiem, a ja wam powiem, że wichry jeszcze będą wiały – Sowa włączyła się do rozmowy. – I dlatego myślę, że nie o Śmierć im chodzi.
- Też tak sędzę. Sowa ma rację. Najlepiej zapytać Władcę Wichrów, po co śle wichry. Zresztą noszę ze sobą od Kierpców odwieczną nutę. Pamiętasz, Wrzosiec?
- Bakałarz kiwnął głową i zagwizdał. A Berda wyciągnął gęśle i cicho zagrał, powtarzając kilka razy melodię.
- Jeszcze nie czas na pewno, ale myślę sobie, że mogłyby być takie sobie słowa:

*Gdy zawieje wicher srogi
Nawet Śmierć zawróci z drogi.*

- A kiedy skończył śpiewać, dodał:
- To dopiero początek, może być tak, a może inaczej. Nuta się musi uleżeć w człeku, żeby mu prawdę opowiedzieć. Ale jeśli tak jest, to pokazuje, że nie ma związku śmierci i wiatrów. A jeśli jest, to odwrotny, niż nam się zdaje.
- Te słowa mi pasują – powiedział Wrzosiec z uznaniem.
- Bo kiedy gęslarz mówił, uczony porównywał propozycję Berdy z melodią. Przypomniawszy sobie swoje wiadomości z nauki o rytmie i rymie w poezji. I słowa Berdy pasowały jak ulał.

– Pasują, nie pasują, mało macie czasu – odezwała się znów Sowa. – A pieśń, jak powiedział gęślarz, uleżeć się musi. I dopiero jak sobie w duszy gniazdo uwiją, słowa prawdę mogą przynieść. Jest jak jest, a jak będzie, tego chyba nikt nie wie. Ale jak przychodzicie po radę, to coś wam powiem.

Sowa przerwała i odłożyła fajkę na stół. Za to nalała jeszcze śliwowicy, jednym haustem wypła swoją porcję, skrzywiła się i kontynuowała:

– Sama tu od lat siedzę, prawie zapomniałam, jak między ludźmi się żyje. Ale przez to mam widzenie spraw, których inni w dole nie mogą zobaczyć, i słyszenie tego, co w dole miesza się z innymi dźwiękami. I widzę, że czasy nowe nadchodzą. Kiedyś na Czartaku czarty mieszkaly, od tego nazwa. Wypatrywały ofiary, kogoś, kto się dobrowolnie upodli, albo w słabości jakiejś znajdzie, albo pustkę poczuje. I wtedy jak jastrzębie rzucały się na niego, myśli opętywały, czasem na długie lata. I był kłopot. Kusiły, szeptały, do złego namawiały. Ile to razy widziałam, jak gnają na wyprzódki, by biedaka dopaść. A teraz co? Opuściły Czartak i na Pustaci się zaszyły. To samo chochliki z Chochoła, i snuje, i smętki, i wszystkie inne. Coś się pokończyło.

Wieszczunka przerwała na chwilę.

– Nasze czasy odchodzą, jak odeszły czasy smoków i sztolników. Tylko tego jeszcze nie wiemy – mówiła dalej. – Dochodzą mnie tu śpiewy ślepych lirników, wiatr niesie ich brzęczenie i mocne głosy. Wędrują od paru lat po trakcie. I zapowiadają nowe czasy. Myślę sobie, że Władca Wichrów chce poniszczyć nasz świat, chce poniszczyć Smoczogóry, by zrobić miejsce nowym czasom. Ale mogę się nie znać.

Sowa przerwała i skinęła na Wrzośca, by jeszcze nalał śliwowicy.

– A jak dowiecie się, co dalej z nami będzie, to powiedzcie mi jakoś. Skrzat nic mówić nie chciał, choć wie. Mnie możecie rzec. Bo jak coś się szykuje, to ja do wiosny muszę wiedzieć.

– Dlaczego do wiosny? – zapytał Wrzosiec, właśnie spełniając prośbę wieszczunki.

– A to jest inna opowieść, tak że się zastanówcie, czy chcecie posłuchać, bo późno.

I spojrzała po twarzach gości, a te zastygły w oczekiwaniu.

– Ostrzegałam, że późno – zaśmiała się Sowa. – Jednak jak chcecie, to słuchajcie. Tylko fajki nabijcie, bo one przy słuchaniu mało że nie przeszkadzają, ale i pomagają. Otóż stało się, że kiedy byłam młoda, to mi się uwidziało wieszczunem zostać. Zaszłam więc tu, do tego domu, kiedy go jeszcze poprzedni gromowy zamieszkiwał. Zwał się Kania i był z

Moczarek, jak i ja. On mnie długo przyjąć na nauki nie chciał, że niby baba jestem, ale w końcu się do mnie przekonał i pozwolił przychodzić. Bo wiedział dobrze, że nie ma już pomiędzy góralami uczniów chętnych do wieszczuńskich samotni.

I tak zaczął mnie uczyć słuchania wiatrów i pogody, czytania ze znaków na ziemi i na niebie o tym, co będzie. Wiele wiedział, choć nie był już takim wieszczunem, o jakich pieśni opowiadają. Nie zaklinał pogody, nie nakazywał jej słowem, ale tylko podglądał. Aż się Kania zestarzał i zapadł na choroby. Doglądałam go, a on mi wtedy przekazał tajemnicę. Od wieków do wieszczunów pod Czartakiem, równo co siedem lat, przychodzi stary sztolnik. Jest on posłańcem wszystkich tych, co śpią pod Starymi Sztolniami. I on się wypytuje o dzieje świata, o smoki, czy się nie pobudziły, i o wiele innych spraw. A potem te wieści znosi na dół, do korzeni góry. I tam radzą, czy już otworzyć sztolnie, czy spać dalej. Bo oni wstaną, jak nadejdzie pora, i staną do wojen ze smokami. Ale widać, że jeszcze nie czas. Ja się z Kani śmiałam, bo choreńki już był i różne mu się dziwne myśli na koniec przyplątały. Aż umarł, a ja tu na zawsze zostałam. Pochowałam go pod podłogą...

– Tu? – Wrzosiec zakrztusił się połkniętym z wrażenia dymem.

– A gdzie indziej miałam go nosić? Od zawsze wieszczuni tak robią, chronią się w ten sposób nawzajem. Do Mogielnicy blisko, a zawsze to jest jakaś pomoc w wieszczaniu. I powiem ci, że wielu tu leży, jakby deski zdjąć. Tacy suchutcy, malutcy, pomarszczeni jak jabłuszka. Pochowałam więc i jego. I minęło parę lat, a tu jednej wiosny, jak roztopy szły, przyszedł po zmierzchu sztolnik. Tak się zadziwiłam, że aż mi serce zamarło w piersi. Ale on spokojnie stanął w drzwiach, nawet siadać nie chciał. Pytał tylko grubym głosem o zmiany w świecie. No więc opowiadałam. Przed światem pokłonił się nisko i poszedł do swoich. I tak przychodzi co siedem lat, za każdym razem ten sam. Będzie już... w każdym razie ładnych parę razy. Dość, że ma przyjść tej wiosny. Myślę więc sobie, że jak coś będzie się w świecie zmieniać, to muszę mu powiedzieć. A żeby powiedzieć, trzeba wiedzieć, co gadać. I stąd moja prośba.

– Na pewno nie zapomnimy o was. Tylko sami musimy wiedzieć, co ze Smoczogórami będzie.

– No to ruszajcie do Władcy Wichrów. Prześpijcie się przedtem, bo powiem wam, że droga jest mało lekka.

– Ale gdzie go szukać?

– Teraz się wybieracie?

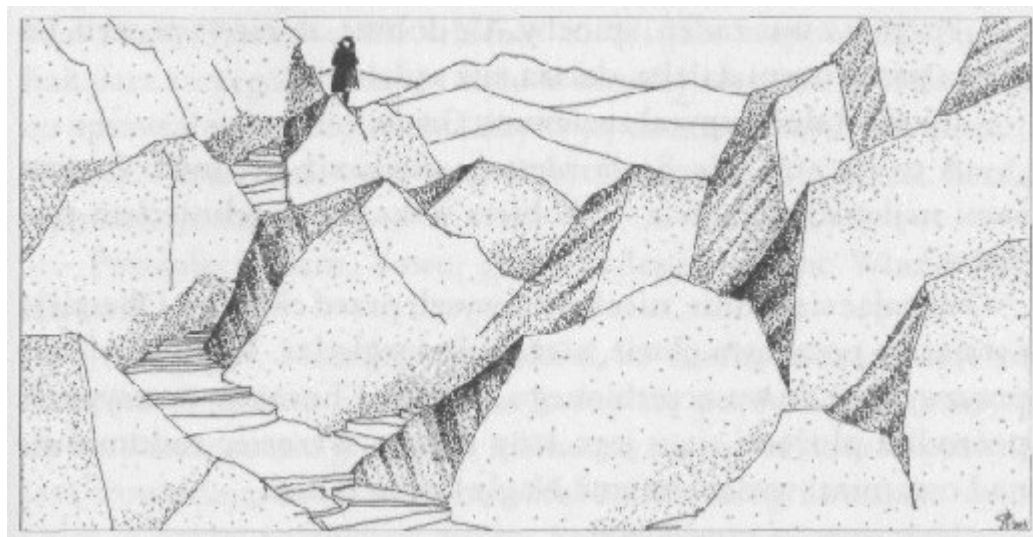
– Nie.

– No, to będzie jeszcze czas. A teraz do spania!

Młodych wędrowców nie trzeba było dłużej przekonywać. Wieszcunka wdrapała się na piec, za komin i tam, przykryta wełnianym, wzorzystym kocem, zasnęła. A Berda, Wrzosiec i Gajda rozłożyli się bądź gdzie, i posnęli szczęśliwi, że nie sięga ich chłodna, góraska noc. Byli tak zmęczeni, że nie słyszeli, jak Sowa chrapie. A chrapała solidnie i po góralsku.

Rozdział siedemnasty

w którym trzech wędrowcy wyruszają na poszukiwania Władcy Wichrów



Wrzosiec zasnął od razu. Śliwowica i nagromadzone przez ostatnie dni zmęczenie kołysały go i wciągały w świat majaków. Wędrowcy zdążyli odespać i muzykowanie w Kośnych, i ponury przedświt na stoku Chochola, i wielogodzinną drogę. Leżąc na twardej podłodze, otoczeni życzliwą opieką pokoleń wieszczunów gromowych, bezwiednie podkradali sobie za mały koc. Wrzosiec jednak nie mógł znaleźć ukojenia w snach. Zamiast pięknej Carynki, na co w tajemnicy przed Gajdą liczył bakałarz, śnił wichry wyjące przeraźliwie i niszczące kolejne masywy Smoczogór. W środku jednego z powracających natarczywie widziadeł Wrzosiec wybudził się i siadł na twardym posłaniu. Trochę czasu minęło, zanim poznał, gdzie jest. I wtedy uznał z ulgą, że huk górskich wichrów był jedynie potężnym chrapaniem starej wieszczunki.

Zagrzebał się w skąpe resztki koca i spał do późnego rana, choć senne wiatry nawracały i wyły niemiłosiernie. Wszyscy trzech obudzili się pokrzepieni i gotowi do nowych wyzwań. Ranek zrzucił oślizgłą miążkość świtu i krzepł w promieniach słonecznych.

Wieszczunki nie było w domu, więc nastawili imbryk z wodą i powoli czekali na bulgoczący nieurprejmię wrzątek. Wtedy drzwi otwały się z płaczkliwym skrzypieniem i wpierw na podłogę posypały się świeżo

porąbane polana, a potem weszła mrucząca coś pod nosem gospodyni.

– Pożytek z was żaden, śpiochy. Ale dobrze, żeście wypoczęli, bo droga przed wami daleka, dalsza, niż sądzicie...

– Co się stało? – spytał zaziewany Gajda.

– A to się stało, że Sowa niestety nigdy się nie myli. Zresztą sami najlepiej zobaczcie – i kobieta wskazała machnięciem ręki drzwi.

Ociągając się sennie, niechętnie wyszli przed chałupę. Obeszli ją i stając na potężnym głazie, zaczęli się rozglądać. Trudno było się przyzwyczaić do wyszczerbionego masywu Chochoła, do usypiska pośrodku płózającej się u jego stóp doliny. Wrzosiec zadumał się nad ostatnimi wydarzeniami. Nagle Gajda zaklął.

– Jaszczury... – powiedział.

Spojrzeli we wskazanym kierunku. Na wschód od Czartaka piętrzył się nieco niższy, rozległy masyw Jaszczurów, trzech ostrych, bliźniaczych szczytów przypominających przyczajonego smoka. Jaszczury wrzynały się w potężne pasmo Pazdurów, domykając od północy górski mur wokół Równi. Tak zapamiętał tamten rejon Smoczogór Wrzosiec, kiedy Berda uczył go widnokregu swojego świata. I pamięć musiała starczyć, bo Jaszczurów już nie było. Zamiast ostrych turni ich grzbiet zajmowało bezkształtne, pokruszone gołoborze. Niedysiejszy smok raczej przypominał wielkiego, długiego żółwia.

– Miała rację Sowa. Wichry znów zawiąły... – westchnął Gajda.

– Dobrze, że nie wyładowały swej złości na Moczarkach. A mogły – dodał Berda.

– Wyły, kiedyśmy smacznie spali. I pomyśleć, że prawie je wysłyszałem... – Wrzosiec pokrótce opowiedział przyjacielom swe koszmary.

Wrócili do chałupy na śniadanie. Resztki zupy smakowały jeszcze lepiej niż poprzedniego wieczora. Składniki przegryzły się i teraz wymiatali resztki kawałkami jęczmiennych placków. Wreszcie miski wyświeciły się do samego dna. Nie było już żadnego rozsądnego pretekstu do zwłoki, nadchodził czas wymarszu. I Wrzosiec już zaczął tęsknić za chałupką starej wieszczunki. W zasadzie były w niej same niewygody i niedogodności, ciasnota, dziesiątki niepotrzebnych gratów, nie wiedzieć czyją siłą wytaszczonych pod sam czub Czartaka, ale właśnie to miejsce wspominał potem bakałarz szczególnie ciepło. Było w wesołej, samotnej góralce coś, co sprawiało, że uczoney chciałby w jej domu pozostać na dłużej. W końcu spakowali wędrowny dobytek i zaczęli się żegnać. Berda przytomnie

zapytał:

– Powiedzcie nam, Sowo, gdzie najlepiej szukać Władcy Wichrów?

– Jest kłopot. Mało kto go widział, bo niechętnie pokazuje się ludziom. Podobno często przechadza się po świecie w naszym stroju i rozmawia z góralami, a nikomu nie mówi, kim naprawdę jest. Powiadają, że za siedzibę obrał sobie Raróg i mieszka w jaskini, z której wypływają źródła Srebrnego Beretyczu. I dobrze gadają, bo stamtąd od zawsze ruszały górskie wiatry. Stamtąd je posyła i stamtąd rządzi wietrznymi dziedzinami. Tam też wracają po spełnionych wichurach. Ale tak było, zanim narodziły się te wichry. One szaleją wszędzie, uciekają za Smoczogóry, przysiadają na Pustaci. Dlatego moja rada taka: szukajcie pod Rarogiem.

– No to rzeczywiście kłopot. Bo jak wichry powaliły Jaszczury, to zasypało też Jaszczurzą Przełęcz, co między nimi się rozsiadała. A jak tak, to nie ma już takiej zgrabnej ścieżki, co prosto w Pazdury, pod Raróg prowadziła – zmartwił się Gajda.

– I co teraz? – spytał uczony.

– Jest inna droga, ale dłuższa. Przez Rogacze. Trzeba do przełęczy dojść, będzie ze trzy dni, królewskim traktem. A potem dzień lub dwa na północ, przez Siedem Stawów aż do Raroga. Trudna droga, dłuższa, ale pod Rogaczami siedzą przewodnicy, to się dopytamy. Chodziłem tam nieraz, choć nie dalej niż na Pazdur i Kruczą Turnię. Jakoś będzie, jakoś musi być.

– Poradzimy sobie, górale w górach nie poginą – powiedział Berda. – Co innego mnie martwi. Myślę sobie o tych wichrach i nic mądrego wymyślić nie mogę. Może głupi jestem, ale nijak nie chce mi się ta historia w całość ułożyć. Jakaś taka dziwna opowieść się z tego plecie. Wiadomo, że Władca Wichrów śle swych posłańców. To są dla nas znaki. Musimy je dobrze odczytać. Ale jak? Pierwsze wichry, na Garbaczu, to nas pośpieszały. To była groźba. Ruszajcie, bo będzie źle. Tośmy zaczęli gnać. I wtedy nadeszły drugie wichry. Te z kolei chciały nas zabić. I gdyby nie Sowa, skrzat, Smyk i paru jeszcze, tobyśmy sobie w Kośnych pod kamieniami umierali. No, ale udało się, dotarliśmy na Czartak, Śmierć wolna, życiem swoim martwym się raduje, mniejsza o nią. Chcemy ruszać dalej do samego Władcy. A wichry nas oszczędzają wprawdzie, ale za to drogę nam zastawiają. Jakby groziły: dalej nie idźcie. Przecież przez Jaszczury nie pięć, ale trzy dni byśmy szli. O co tu chodzi?

– Ty, Berda, za dużo myślisz, jakbyś uczonemu zazdrościł – odezwała się wieszczunka. – Tobie na gęślach i dudach grać, a nie rozplątywać warkocze dziwożonom. Od tego są inni. Może właśnie o to chodzi, by człek

wiedział, że to jego rozum przerasta. Jak góry. I tyle.

– Może macie rację, za dużo myślę.

– To nie myśl. A tobie, uczony chłopcze – Sowa zwróciła się do Wrzośca – taką radę dam: nie idź z nimi do Władcy Wichrów.

– Dlaczego?

– Dla swojego dobra. Już się naoglądałeś góralskich spraw za dziesięciu. Niejeden góral tyle nie widział w Smoczogórach, co i ty. Takie to nadeszły czasy. Ale nie bądź łapczywy.

– Jestem uczonym i mam w sobie ciekawość świata.

– Miej ją sobie, kto ci broni? Mówię tylko, żebyś uważał. Bo to jest tak: śliwowica, piękna i dobra rzecz, ale jak spoisz dziecko, to ci ducha wyzionie. Pamiętaj o tym.

– Pomyślę...

– Jak jest, tak jest, a ja coś dla was mam. Kania mi przekazał, jak umierał. Sam się kiedyś po jaskiniach Czartaka włóczył, to znalazł. Teraz już tych pieczar nie ma, bo lawiny zeszły i wejścia pozakrywały. Ale znalezisko jest.

Wieszczunka zanurzyła się między swoje rupiecie, powoli dokopując się do celu. Wreszcie spod podłogi, ze skrytki w rogu izby, wyciągnęła brzęczące zawiniątko. Położyła na stole i odrzuciła spłowiwały materiał. I zobaczyli trzy stare sztylety. Ich ostrza mieniły się na czarno i zielono, jakby były pokryte patyną. Seledyn przenikał ciemne włókna i wił się tajemniczo.

– To *igrith*... tajemny stop sztolników – wyszeptał Berda.

– Słyszeliśmy o nim w Lacercie, to chyba niespotykany gdzie indziej, twardy stop żelaza?

– Żaden tam stop. Słabo znacie obyczaje sztolników. I nic dziwnego. A im przed wiekami udało się złączyć kamień z metalem. Nikomu innemu to nie wyszło. To byli kowale nad kowalami! Składniki oddzielnie były zwykłe i ułomne, jak wszystko, co rozdzielone. Ale jak znasz zasadę połączenia, to dają jedność, której nikt nie skruszy. I to był właśnie *igrith*.

– To przecież niemożliwe – bronił się resztkami sił Wrzosiec.

– Niemożliwe, a jest. Kamień to niezmienność, bo jest częścią góry, a metal to zmienność, bo jest kształtowany przez ogień. Ogień zaś to dech, tchnienie. I dlatego metal ma jakby duszę, ma w sobie ten dech. Bo jest w nim jakiś ruch. I właśnie dlatego połączenie niezmiennego i zmiennego jest takie wytrzymałe. Jest w nim jakaś przedwiekowa jedność, jakaś doskonałość – wyjaśniał spokojnie Berda. – A ona jest możliwa jedynie

dzięki pracy. Bo sztolnicy ukochali ją sobie. Tak sobie umyślili, że dzięki niej zapanują nad światem. Bez niej można tylko się zatracić. Jak chłopak bierze gęśle, nic mu z początku nie wychodzi, a po kilku latach wysiłków gra aż miło, palce trafiają na swoje miejsce i jest muzyka. I tak samo było ze sztolnikami. U nich praca była czymś największym, nawet ważniejszym od wojen ze smokami. To w jej imię drążyli swe podziemne komnaty, to w jej imię kuli metal i szukali tajemnicy *igrithu*. Aż znaleźli. Bo dzięki pracy jest piękno i jest wielkość. I tylko tak można próbować przywrócić jedność, co była na początku. Nawet w miłości jest tak, że jak się nie napracujesz, to ci obumrze.

– A z tego *igrithu* robiono włócznie na smoki. Nic innego nie było w stanie ich zranić. To muszą być przerobione na sztylety groty tamtych włóczni... – dodała Sowa. – A widzicie, góry niejedno kryją.

– Sowo, nie możemy tego przyjąć. To przecież warte majątek.

– Co mi po majątku! A wam może się przysłużyć. Nowe czasy idą, nie wiadomo, jak będzie. Nie wiadomo, kogo spotkacie w Pazdurach. Zresztą, trochę też w sprawie sztolników wyruszenie, to ich pomoc wam nie zawadzi.

– Dziękujemy. Za wszystko, Sowo, dziękujemy.

– No to bywajcie. Niech was dobre drogi prowadzą.

I tak pożegnali starą wieszczunkę. Gajda sprowadzał ich ścieżką w dół. Uważnie patrzyli pod nogi, bo stok był stromy, a kamienie wyślizgane przez niestrudzone pokolenia gromowych wieszczunów. I zajęci swą kolejną wędrówką nie zauważyli, że Sowa stoi na wielkim głazie i długo odprowadza ich wzrokiem. A kiedy zrobili się maluteńcy jak robaczki, stara kobieta westchnęła.

– Nie bądź dla nich za surowy, panie Władco Wichrów kochany, bo to dobrzy chłopcy. I młodzi...

I powoli ruszyła w kierunku swojej chałupy.

Samotne i kamienne stoki Czartaka odeгнаły okolicznych górali. Lęk przed gniewem sztolników skazał na zapomnienie Stare Sztolnie i prowadzące w głąb góry korytarze. Trzej towarzysze mijali wiele opuszczonych kopalń. Nigdy nie wiedzieli, czy ciemna, drążąca z boku droga prowadzi do sztolnickich siedzib, czy też kończy się zaraz za zakrętem. I nie sprawdzali. Dopiero niżej napotkali czynne wyrobiska, kuźnie, niewielkie piece, kuźnie i krzątających się wokoło górali z Moczarek. Wrzosiec zauważył, że są inni niż pogodni, choć dumni mieszkańcy Karbów. Mieli ostrzejsze, głębiej żłobione rysy, mniej

przyjazne spojrzenia. Nie zdobyli strojów, a wędrowców mierzyli wzrokiem pełnym nieprzychylniej rezerwy. A jeszcze niżej weszli na pastwiska, gdzie pasło się wielkie, długowłose bydło, potężniejsze niż krowy z Karbów i rude. Ze skołtunionych łbów wyrastały długie, zakręcone rogi, co rozmiarami i kształtem przypominały opuszczone ramiona człowieka. Uczony patrzył z respektem, choć czerwone bydło zdawało się zastygłe w ostrej trawie.

– Na ich grzbietach przewozi się towary przez Rogacze. Tam żadne wozy nie wyjadą, zwłaszcza zimą – wyjaśnił Gajda.

Młody góral okazał się świetnym przewodnikiem i rzeczywiście doskonale znał Smoczogóry. Podczas gdy Berda muzykował, Gajda włóczył się po dziedzinach wokół Równi i poznawał swoje rodzinne strony. Znał nie tylko górskie ścieżki i zapomniane szlaki, ale także ludzi z okolicznych osad. I w Moczarkach też powitano ich jak swoich. Za nimi, po stokach Starych Sztolni, powoli zsuwał się szary wieczór.

Gajda zaprowadził ich do samego krzepkiego Osterwy, starszego rodu Mocarnych, którzy byli pierwszymi pośród Moczarkowych górali. Znając ich nieufność, młody Kościan zalecił swym przyjaciółom powściągliwość w opowieściach.

– Jak się tu kto dowie, że latałeś po Mogielnicy ze Śmiercią w dudach i do tego jeszcze ze szpiegiem z Lacerty, to na pewno nas najserdeczniej nie ugoszczą! Tu jest dużo wypędzonych z Bukowiny, pamiętajcie, co mówił Kardasz – jasno wyłożył Berdzie swoje obawy.

I tak weszli na podwórko Osterwy Mocarnego. Od razu widać było, że to gazda niepośledni, bo siedział sobie pod okapem, pykał fajkę i tylko pokrzykiwał na parobków, co się przed zmrokiem w obejściu uwijali.

– Witajcie – zakrzyknął na widok Gajdy. – Dawno nie zachodziliście. Prosiłbym was do domu, ale porządek musi być, a coś mi się chłopcy jakoś tak lenią. A na dodatek w izbie baba siedzi, to was pytlowaniem umęczy. To i lepiej się stanie, jak na razie odpoczniecie tu przy mnie.

Wędrowcy zasiedli na ławie i czekali, aż Osterwa skończy dzisiejsze gazdowanie. W przerwach między pohukiwaniami na opieszałość pomocników starał się zagadywać gości.

– No i tak to jest.

– Więcej wam powiem, Osterwo, tak to bywa – Gajda poważnie odpowiadał gospodarzowi.

– I tu rację macie. Bo się ostatnio porobiło.

– Jest, jak jest. I nikt nie wie dlaczego.

- Z gór wracacie?
- Jak widać.
- Nic wam się na Jaszczurze nie stało?
- A co się miało stać, ja góry znam i potrafię niebezpieczeństwa obejść.
- To wprawdy trzeba, ale też i szczęścia.
- Nam ich nie brakuje.
- To i dobrze. No, koniec roboty, możemy wejść do izby i wreszcie wypocząć. Od rana do nocy człek nie ma chwili wytchnienia.

Głowa Mocarnych rzeczywiście wyglądał na zmęczonego. W izbie zarządził wieczerzę, więc żona zaczęła się krzątać przy kuchni.

- To opowiadajcie – zaczął, jak zasiedli za stołem.
- Nie ma o czym. Góry jak góry, a wichry sami słyszeliście. Był Jaszczur, wół się porobił. Płaski jakiś, bez garbów. I tyle.
- To ja wam opowiem. Jaszczury to nic, niech się góry z wichrami kłóca. Ale Chochoł się przewrócił, jak snopek go zmiotło, i Kośne sobą nakrył. Niewielu ocalało. Kilku kupców, trochę naszych, co z roboty wracali. To dopiero nieszczęście. – Osterwa westchnął ciężko.

– To sprawy nie na nasz rozum, tu gęślarza trzeba – dopowiedział Gajda.

– Trzeba, żeby popsuł. Z nimi to nigdy nic nie wiadomo. My na szczęście u Mocarnych od dawna gęślarza nie trzymamy. Gra tylko, nic nie robi, a jeść chciałby jak każdy. I tyle jeszcze powiem, że odkąd nie mamy gęślarzy, to się nasz ród dobrze miewa. Nie to co inni.

- Co wam gęślarze winni?
- Mnie nic. Ale Kośnym tak. I tu jest cała sprawa. Różnie ludzie gadają. Nie wiecie, boście po Pazdurach gonili. Jednak ci, co przed wichrami z Kośnych uciekli, tak mówią, że był na noc przedtem gęślarz w karczmie. Grał jakieś czartowskie nuty, wszystkich zaczarował. A rankiem wymknął się cichcem, ponoć ze zbójnikami Hnata Kardasza. I słyszeli, jak na Chochole wygrywał. Czarcie nuty, czarcie wichry. On je ściągnął, on je rozjuszył jak buhaja. Złe nasienie, tacy gęślarze. Jak nami rządzić będą, to wszyscy pokonczymy jak Koźlice.

– Jak ze zbójnikami Kardasza szedł, to go chyba powstrzymali? Chronić nas mają, a nie góry na osady spuszczać.

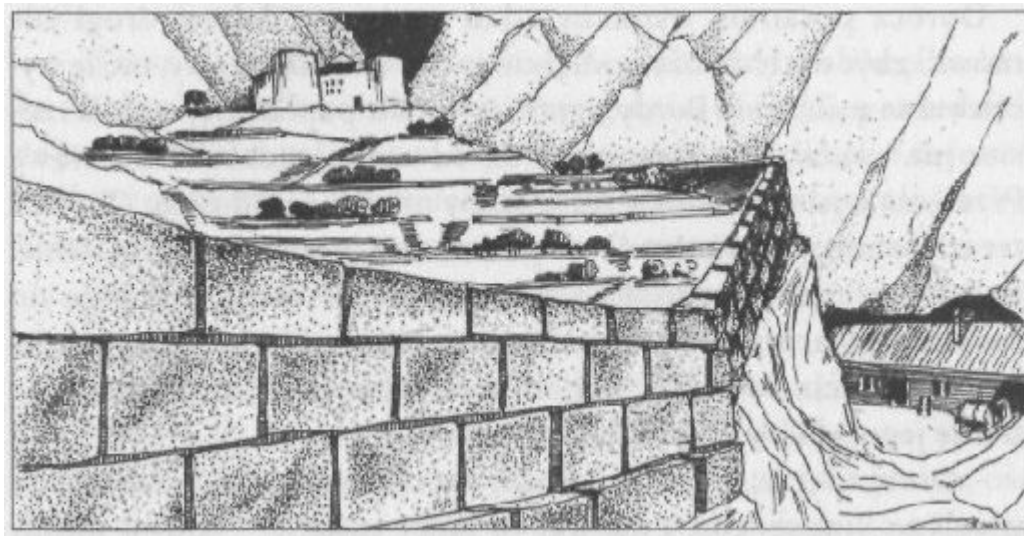
– Oni tylko krzyczą o obronie. A co robią? Kupców okradają, że ci potem nie chcą za nasze woły płacić. A i mniej ich przyjeżdża, bo się boją. A zbójnicy? Sami jak panowie żyją. Mówi się, że Kardasz na złotych miskach jada. Zrabowanych. I że nocami schodzą z gór jego ludzie i

dziewczyny do lasów wywołują. A potem kłopot. I tak to właśnie, jak słusznie mówicie, jest. A jest, jak jest.

Wrzosiec sumiennie siedział cicho i udawał górala. Potakiwał Osterwie, jak zresztą wszyscy. Gajda jednak znał się na ludziach. Podczas kolacji jedli skromnie, nie grali, nie śpiewali. Gajda opowiedział historię o koźle, na którego zasadził się kiedyś pod Krępakiem. Osterwa znał tę opowieść, bo często poprawiał młodego górala. Grzecznie wymówili się gospodarzowi, w zupełności wystarczyło im siano w stodole. I od razu się pożegnali, bo przecież musieli pilnie wyruszyć przed świtem.

Rozdział osiemnasty

w którym z kolei trzech wędrowcy mijają stary erem,
o wiele starszy niż najstarsze z góralskich spraw



Wyruszyli rankiem, bez śniadania, by się Osterwie Mocarnemu zanadto nie naprzykrzać. Moczarki leżały ponad królewskim traktem. I pierwotnie Gajda planował, by tam dotrzeć i kamienną drogą wygodnie dojść do Rogaczy, ale plotki o obarczeniu gęślarza winą za tragedię Kośnych musiały zmienić ich plany. I choć nie było wielkiego niebezpieczeństwa, uznali, że lepiej będzie nie rzucać się w oczy, zwłaszcza na dziedzinach Mocarnych. I kiedy wyszli ze wsi, skierowali się w górę, by zniknąć w ciemności lasu. Gajda znał tam starą, jeszcze niezupełnie zarośniętą drogę. Korzystano z niej w dawnych czasach, kiedy którejs wiosny roztopy zamieniły Rówień w wielkie bagnisko. Wtedy lustro wody zakryło długi odcinek traktu opodal Moczarek i podróżujący przez góry musieli korzystać z owej starej leśnej drogi. Trzej wędrowcy szybko usunęli się z życia Mocarnych i wniknęli w lasy Pazdurów, zupełnie inne niż w Karbach. Zamiast oswojonych przez Wrzośca świerków otaczały ich potężne, dumne buki, ich szare pnie twardo stały na wiecznie rdzawym kobiercu. Było jaśniej i mniej martwo niż w mijanych wcześniej smreczynach. Korony powstrzymywały niebo wysoko nad ich głowami, przez liściaste sklepienie migotało leniwe światło. Koło południa po przewróconym bukowym pniu przeszli nad rwącym

strumieniem. I nikt nie powiedział Wrzoścowi, że idąc po uginającej się kładce, przekroczył wody Srebrnego Beretyczu.

Oprócz porannej wymiany zdań na temat dalszej drogi nie mówili zbyt wiele. Może podejście gasiło chęć rozmowy, może wyczuwalne milczenie Berdy ograniczyło ich paplaninę, tego Wrzosiec nie wiedział na pewno. Berda od czasu wędrówki Świstową Przełęczą wydawał mu się inny, jakby oderwany od nich. Chodził teraz osobno, pogwizdywał coś pod nosem, pomrukiwał do siebie. Bakałarz z trudem odnajdywał dawnego, wesołego i skorego do rozmów towarzysza. Surowość i nieprzyjazność Pazdurów pogłębiały odczucia Wrzościa. Gadali więc sobie z Gajdą, zostawiając Berdę jego własnym sprawom.

– On ma teraz zadanie, na nim spoczęła odpowiedzialność za górali ze Smoczogór. I nie jest to łatwe zadanie – mówił młody Kościan. – Sam widzisz, że nie wszędzie jest tak jak na Zarąbku u Starego Rysia. Dla górali mieszkających blisko królewskiego traktu nasze obyczaje są śmieszne, dziwne i szkodliwe. Nie jedyny Osterwa, co tak myśli. A Berda, jakby miał mało zmartwień, nie wie, o co w tym wszystkim chodzi. Może rację miała Sowa, kiedy mówiła o tajemnicy i grozie, której nie powinniśmy nadmiernie podglądać?

Wrzosiec postanowił zagadnąć Berdę, zatrzymał się więc na chwilę i pozwolił odejść cieśli. Kiedy nadszedł gęslarz, zaczął:

– Muszę cię o coś zapytać. Miałem to zrobić już wcześniej, ale trochę się bałem.

– Dawnoś tego nie robił, Wrzosiec, już się martwiłem, że z tobą coś nie tak. Pytaj.

– Chciałem przeprosić za moją pychę na Zarąbku. Kiedy mówiłem, że Śmierci w dudach nie ma.

– Nie masz za co przeproszać. Nic dziwnego, że nie wierzyłeś w nasze opowieści. Teraz już wiesz, Śmierć widziałeś. Ale nie we wszystkim się myliłeś. Pamiętasz, jak mówiłeś, że może nie ma związku pomiędzy winą Smyka a wichrami? I wychodzi na twoje.

– Na razie nie wychodzi na żadne. I liczę, że spotkanie z Władcą Wichrów wiele tu wyjaśni.

– Więc nie posłuchasz przestrogi Sowy?

– Chyba nie. Mimo wszystko jestem uczonym, a nie góralem.

– Czas pokaże, czy się tą śliwownicą nie spijesz na śmierć. Twoja wola.

– Wiesz, o co cię chciałem spytać, Berdo? Kiedy staliśmy na stokach Mogielnicy, zasłuchani w twoje granie, to Gajda powiedział, że jesteś

wielkim gęślarzem, zapowiadany przez pieśni. I że jesteś większy od Rysia. A ja pamiętam, jak narzekałeś przez całe Karby, że nie nadajesz się na następcę Rysia. O co tu chodzi?

– Do końca to sam nie wiem, uczony przyjacielu. Ale powiem ci, co wiem. Bo i Gajda ma rację, i ja ją miałem.

– To niemożliwe, ale przestałem dziwić się niemożliwościom.

– Czegoś się jednak uczysz, smokoznawco. Idzie o to, że nie potrafię być takim gęślarzem jak Ryś. Nie znam tyłu pieśni, nie znam naszych obyczajów jak on. Przed nim pokolenia gęślarzy trzymały w pamięci to, co przekazali dziadowie. Nie wszystkim rodom się udało. Dziewięćsiłowie nie mają już gęślarza, Mocarni stracili swoich wiele lat temu. Pieśń popada w zapomnienie. A było już raz tak, że zabrano nam pamięć, a odkąd ją zwrócono, strzeżemy jej jak źrenicy oka. Pamięć to nie wszystko. Kiedyś tak sądziłem, ale wtedy nie rozumiałem świata i dlatego bałem się następować po Rysiu. Bo tak sobie myślałem, że nie znam całej odwiecznej muzyki wichrów i nikomu nie zdołam pomóc. I dalej tak twierdzę.

Ale na Mogielnicy wydarzyło się coś, co mnie pozmieniało. Bo zrozumiałem, że pieśń nie jest najważniejsza, że ona tylko czemuś służy. Służy rozmowie. Dzięki mądrości z pieśni możemy rozmawiać o tym, co nas dotyka. Dawne czasy pomagają nam w nowych czasach, dzięki pieśniom między sobą rozmawiają. Jak zrozumiałem, tak zrobiłem ze Śmiercią. Mogłem ją wypuścić i tyle. Ale ja jej opowiedziałem coś, czego nie było w pieśniach. Bo nie ma pieśni o Chochole i o Kośnych, a ja jej to przez dudy opowiedziałem. Bałem się, że się nie uda, i nie wiem, czy się do końca udało. Może wichry to moja klęska, może jest racja w słowach Osterwy? Ale wiem, że rozmowa to coś więcej niż tylko granie i śpiewanie. Jak śpiewasz pieśń, to trochę, jakbyś nie słuchał, co inni do ciebie mówią. Masz pieśń i śpiewasz ją na przekór wszystkiemu. A ja zacząłem rozmawiać. I trochę racji miał Gajda, bo w naszych pieśniach stoi, że nadejdzie gęślarz, co sam ułoży nowe pieśni. Nie wiem tylko, czy ja nim będę.

– Ale to właśnie ciebie Śmierć posłuchała.

– Trzeba mieć nadzieję, że tak.

– Jesteś wielki, Berdo. Nie jesteś karłem na ramionach olbrzymów, ale samym olbrzymem.

– Nie mów tak. Na stokach Mogielnicy poczułem się zupełnie nie swój. Nie grałem z siebie, ze swego serca, tylko jakby sama muzyka przeze mnie grała. Wtedy dopiero poczułem się gęślarzem. Bo gęślarz ma pustkę w

sobie. Nie może sobą zasłaniać muzyki i pieśni. Jak przed pieśń się wpycha, to kłamie. I moja siła nie jest we mnie, ale poza mną. Moje gęślarstwo to dar, dar niezasłużony. A moja rola to jedynie nie zmarnować tego daru.

– Sowa też mówiła, że się w tobie narodził nowy, wielki gęślarz.

– Może. Nie mnie sądzić. A dlaczego się mógł narodzić? Bo ktoś go wcześniej wypatrzył. Ryś mnie wypatrzył. Wiele dzieci oglądał, zanim mnie wybrał. Sto lat na mnie czekał, choć mógł innemu przekazać wiedzę i muzykę. On jest mądry, bo dostrzegł we mnie coś, czego ja sam przez lata nie widziałem. Inne dzieci tego nie miały. Mógł pobłdzić i kolejne pokolenie miałoby tylko pamięć, lecz sama pamięć mogła nie starczyć na nasze czasy. Ale też wszystko, co było wtedy we mnie chłopaczku, nie było moje. Zostało mi dane. I stary, kochany Ryś pielęgnował to i rozwijał.

– W Kierpcach poznałem, że prawdziwa pieśń potrafi zatrzymać czas. A ty czas zatrzymałeś i zawróciłeś. Śmierć była stara, jak opuściła dudy, a odchodziła jako młoda dziewczyna.

– Nie moja to zasługa, ale pieśni. Ja nie wiem, jak to się dzieje. I nie rozumiem. Gdybym wszystko wiedział, tobym radził innym, a nie szukał Władcy Wichrów.

– Powiedz mi jeszcze, skąd kobieta, skoro Smyk uwięził Kostucha?

– Każdemu śmierć się inaczej zjawia. Babom jako baba, chłopom jako chłop. Widać tamta była nie nam, ale babie pisana. Ale nowe jest to, że młoda i ładna z niej dziewczyna. Wcześniej samą starością mroziła konających. Kto wie, może przez to teraz lżej będzie umierać?

Od jakiegoś czasu szli we trzech, bo Gajda, nie chcąc wędrować samotnie, dołączył do nich i przysłuchiwał się rozmowie.

– Nie wiem, jak to jest, Berdo, ale czuje się, że przez ciebie płynie prawda. Usłyszałem to w karczmie, gdy grałeś. I potem, na Czartaku.

– Ja też nie wiem, jak to jest. Muzyka mnie prowadzi.

– I dobrze, by nas prowadziła. Bo trochę nas wszystko zwodzi, jak choćby plotki, co je zasłyszał Osterwa.

– Może jest w nich ziarno prawdy, kto wie? Może graniem szkodzę, a nie pomagam? Wichry idą naszym śladem, więc trochę winy w tym mojej jest. Zanim wyruszyliśmy z Zarąbka, wiały sobie zwyczajnie. Groźnie, ale nie tak jak teraz.

– Kto to wie, jakie tam wichry mają zamysły...

Około południa wyszli z lasu i zobaczyli przed sobą masyw Niedźwiedzia, przyczajony w cieniu Pazdurów.

– Nie ma takiego złego, co by się w końcu na dobre nie obróciło –

powiedział Gajda. – Zostawiliśmy królewski trakt, ale za to idziemy po górach. Trudniejsza droga, lecz krótsza. I nic się nie dzieje, spokój taki.

– Lepszy już spokój, choć nudniej, niż kolejne wichry, Gajdo.

– Może i racja. Tak czy owak, przyjrzyjcie się dokładnie Niedźwiedziowi.

– Przyglądam się. I co z tego? – odparł Wrzosiec.

– A to, że na zboczu widać kamienne mury, trochę jak zamek. Pod wieczór będziemy pod Monastyrem.

– Będziemy nocować w monastyrze boga Los?

– Na to bym nie liczył. Mnisi nie lubią, jak się im przeszkadza. Chyba że powiesz, że chcesz wstąpić między nich. Na pewno nie odmówią.

– Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

– No to trudno, musimy spać gdzie indziej. Pod monastyrem, już za murami, jest stara gospoda. Tak ją nazywamy, ale to długi kamienny dom. I kiedyś tam musiały być stajnie i składy, a nie żadna gospoda. Bo po co ona mnichom? Znać, że pochodzi z czasów dawnych jak monastyr. Tam siedzą przewodnicy, są stajnie na woły dla kupców. I tam się zatrzymamy.

– Wiecie, że uczonym w Lacercie Smoczogóry kojarzą się tylko z monastyrem?

– Dziwni ci uczeni. Tyle tu piękna, tyle ładnych dziewczyn, a oni myślą jedynie o starych pustelnikach. Wszystko przez te księgi. Jak się tak naczytasz, a potem oczy na świat podniesiesz, to ci się innym zdaje, niż jest – Gajda był szczerze zafrasowany.

– To monastyr jest dziwny, a nie uczeni. Stoi sobie tu spokojnie, na Równię wygląda. I wy widzicie w nim starych pustelników. A wiecie, kto tam jest?

– Ktokolwiek jest, to dziwnie robi, że się zamyka do śmierci w kamiennych ścianach. Jakby w grobie za życia siedział.

– Pośród mnichów są starzy królowie Międzygórza, obaleni władcy, dawni scholarchowie Akademii w Lacercie. To przytułek dla wielkich starców z nizin. Z różnych powodów porzucają świat, by w milczeniu do końca życia kontemplować wasze Smoczogóry.

– I boga Los.

– Zapewne też. Choć Los nie jest bogiem – wyjaśniał dalej Wrzosiec. – Tak tylko się mówi. Los to los, trwanie i następstwa wydarzeń. To taki czas uwikłany w nasze dzieje.

– Ja bym chciał wiedzieć, dla jakiej racji nie odmieniacie, jak innych słów, tego „los”. Dziwnie jakoś.

- Bo mówią, że los jest nieodmienny.
- To podobnie jak i u nas.
- No i ci mnisi kontemplują los i jego prawa. Od wieków to robią. Czy w waszych pieśniach jest o początkach monasteru?
- Nie za bardzo – włączył się Berda. – On był od zawsze i mówią nawet, że nie ma początku. Jak górale przyszli w Smoczogóry, to już stał i był staruteńki. Ponoć pamięta wojny sztolników ze smokami.
- Pewnie dlatego, że los jest od zawsze.
- W bibliotece Akademii jest wiele rozpraw o losie i jego prawach. Sporo tych pism to dzieło pustelników z monasteru, choć ci rzadko piszą i w samotności kontemplują dzieje i naturę losu. Czasem jednak któryś coś spisze. I przez wieki uzbierało się. Jedni powiadają, że los to dopełnienie ludzkiej woli. Człowiek jest wolny, a tam, gdzie nie ma miejsca na wolność, los go prowadzi. Inni mówią, że tylko los człowieka przez życie prowadzi, a ten jedynie sądzi, że jest wolny. Jeszcze inni nazywają los darem bogów, bo bez niego nic by się nie działo w naszym życiu. Że los daruje nam i życie, i jego przebieg. I dlatego niektórzy czczą go jak boga.
- Bardzo mądre są te wasze księgi o losie – powiedział Berda. – Kto wie, może byłoby coś z tego, jakbyśmy połączyli nasze pieśni z waszymi księgami?
- Może byłoby to mądre.
- Ale tak się nie stanie, bo dla górali księgi za mądre, dla uczonych pieśni za głupie.
- Taki już los.
- Właśnie, los. Ale ja znam jednego górala, co był jakiś czas pustelnikiem w monasterze. Po kilku latach mu przeszło i wrócił do swoich. Czasami tak bywa. Prawie z każdej wsi jakiś człek na stałe zamknął się z mnichami.
- Rozmawiałeś z nim o losie?
- Niewiele chciał mówić. Wy też go znacie. To Smyk z Dziewięćsiłów.
- Smyk był pustelnikiem boga Los? – bakałarz nie mógł opanować zdziwienia. Nawet nie próbował.
- A był. Smyk to dziwny i tajemniczy człek. Za mało go znamy. W młodości włączył się wokół traktu królewskiego. I tam spotykał, jak mówił, różnych ludzi, a pośród nich byli też z twojej Lacerty. Pewnie natrafiał na takich, co zdążali do monasteru, może to był jakiś król albo stary uczony. I zebrał się w sobie, porzucił rodzinę i zamknął się z pustelnikami. Jakieś dziesięć lat wytrzymał. Wrócił odmieniony, nie dało się z nim gadać. Tak

Ryś mówi, bo mnie wtedy jeszcze na świecie nie oglądali. Ale Smyk założył rodzinę i zdawało się, że wszystko jest już z nim w porządku. Mijały lata, postarzał się nieco, dzieci się pożeniły. I zaczęło się Smykowe włóczenie po Pustaci, kuszenie losu. Dalej już znacie.

– Dziwna postać, ten Smyk. Wcześniej miałem go za głupiego starca. Ale kto wie, czy on nie rozumie o wiele więcej, niż nam się wydaje?

– Może nawet rozumie więcej niż my? – dodał Berda. – Może jest w te sprawy zamieszany. On spotkał Śmierć, on uratował nas przed wichrami. Coś w tym musi być.

– Tylko co? – zapytał bezradnie Gajda. – Brniemy sobie, brniemy, a zamiast prześwitów w lesie, to coraz więcej drzew.

– Bo może zamiast wychodzić z lasu, dopiero do niego wchodzimy. A na skraju byliśmy, jak radziliśmy u Jaka. Tylko że wtedy ten skraj wydawał się nam gęstwina.

– Nie obraż się, Berdo, ale gdyby nie to, że przysięgałem Władcę Wichrów odnaleźć, to bym was pożegnał i choćby przez Pustac do Smreczyn radośnie powrócił. Za krótki jestem na te historie i wasze odwieczne sprawy.

– Nie płacz tu, Gajdo, bo coś jednak wiesz. Zanim Sowę poznałeś, nie wiedziałeś nawet, czy Władca Wichrów istnieje.

– To tylko taka polanka, co cię kusi. Ale dalej jesteś w środku lasu. W górach jest tak, że jak się wspinasz i jesteś zmęczony, to każdy garb wydaje ci się szczytem. Więc zbierasz się w sobie, zaciskasz zęby i idziesz pod górę. A na garbie okazuje się, że szczyt jest na następnym garbie. I znowu, i znowu. Tak jest z naszą wyprawą. Miałeś Śmierć wypuścić, by winę Smyka naprawić. Lecz raczej wychodzi na to, że Smyk sam cię wysłał, że to jego zasługa, a nie wina. Jak wrócę, to się ciesiołką zajmę i tyle. To przynajmniej robię dobrze.

Monastyr boga Los statecznie się przybliżał i rósł w oczach. W dole żmudnie ciągnął się królewski trakt, co rusz znikając za wzgórzami. Traktem sunęły kupieckie wozy. Wrzosiec, mimo rosnącej niepewności, nie tęsknił za stabilnością kamiennej drogi.

– Trochę mi się żal ciebie zrobiło – odezwał się gęslarz do Gajdy. – Ale jeszcze sobie o jednym przypomniałem. Jak nie chcesz słuchać, podbiegnij do przodu.

– Jakoś się przemęcę – uśmiechnął się krzywo cieśla – w górach też ci nic nie da oszukiwanie się, że garb jest szczytem. Od wmawiania sobie szczyt wcale nie zniknie.

– Uważaj, co mówisz, bo ostatnio szczyty znikają. I może nawet od czyjegoś wmawiania. Jednak nie o szczytach, ale o Smyku wam chciałem powiedzieć. Bo Smyk, jak wrócił z monasteru, to łapczywie pchał się na gęślarza Dziewięćsiłów. Myślę, że za to go Ryś nie za bardzo lubi. Nie został wybrany, ale sam chciał nim być. I nie był już dzieckiem. Wtedy ród jego miał gęślarza, zwał się Mudryna, w owym czasie najlepszy przyjaciel Starego Rysia. Ale on też nie widział dobrze Smyka. Sam ucznia nie przysposobił, a był już stareńki. Smyk błagał, grać się uczył, nawet niemało pieśni poznał, i on w gruncie rzeczy sporo wie. Ale Mudryna był nieprzejednany. Trochę pieśni przekazał Rysiowi, lecz nikomu w swym rodzie. I umarł. Od tamtej pory Dziewięćsiłowie nie mają gęślarza. I mieć nie będą, bo i skąd. Jak raz taki ogień zagasisz, to go potem nie wskrzesisz. Tak już musi być.

– Ja bym z tym Smykiem chętnie pogadał, może by się wiele wyjaśniło. Może lepiej go było nie wyganiać? – powiedział Gajda.

– Nie Ryś i nie ja wyganialiśmy. A jeśli za tym Smyk stoi, to i tak nie powie, bo po to stoi, żeby nas do drogi zmusić i żebyśmy się męczyli, a nie jego o radę prosili. Taki los i tak być musi.

– Nie wiem, czy musi, ale jest.

Szli sobie dalej, a monaster był już całkiem blisko. Przyobiecane mieli od Gajdy dojście na wieczór, a słońce prawie się ku Karbom zbliżało. Wrzosiec zobaczył, jak długie cienie przesuwają się po zboczach Pazdurów.

– Patrzcie, jak odbicia chmur suną po stokach – zagadnął towarzyszy.

Górale popatrzyli we wskazanym kierunku.

– To nie chmury, panie smokoznawco. Spójrz w górę – poważnie powiedział Berda.

Bakałarz z Lacerty, który zapuszczał się w Smoczogóry z nadzieją poznania prawdy o smokach, zadarł głowę. I zobaczył, jak nad nimi kołują żertwy. Czarne, ogromne ptaki z długimi dziobami. Żertwy odlatywały nad Równię i powracały, Wrzosiec miał wrażenie, że obserwują ich z wysokości. Nagle zaczęły krakać upiornie i po chwili zawróciły w kierunku Pustaci.

– Nie martw się – usłyszał głos gęślarza – one żywią się tylko padliną.

– To czemu nam się przyglądały?

– Widocznie też mają swoje nadzieje. Żertwy są niegroźne, choć nieprzyjemne. I nie ich boją się górale na Równi. Gorsze są mieszkające w Pazdurach żmije. A te możemy napotkać, bo tam idziemy.

Jeszcze tydzień wcześniej, kiedy ruszali z Zarąbka, bakałarz nigdy by

się do tego nie przyznał, ale droga go zmieniła i był ze sobą bardziej szczerzy. I musiał sobie w duchu wyznać, że zrobiło mu się na widok potężnych żertw nieprzyjemnie. Poczł gęsią skórę na plecach. I musiał przyznać jeszcze jedno: że po stokroć wolał siedzieć w bibliotece w Lacercie i zanurzony w księgach wyobrażać sobie inne światy. I nagle odeszła mu ochota do wędrowania, poszukiwania smoków i tropienia Władcy Wichrów. Nie mógł jednak zawrócić, więc tylko popatrzył tęsknie na łagodne Karby. Nie czuł się dobrze na stokach Pazdurów, były zimne, gołe i w swej potędze onieśmielające. A oni wędrowali zupełnie niedaleko tej nagości, zimna i potęgi. I spojrzł na Karby z jeszcze większą sympatią, bo za nimi, choć oddalona o wiele dni drogi, skrzyła się w popołudniowym słońcu stara, poczciwa Lacerta.

Docierali do eremu. Można było dokładnie przyjrzeć się starożytnym murom, wzniesionym z potężnych bloków skalnych; dwóm przysadzistym wieżom, które wyznaczały narożniki monastynu; ledwo widocznej fasadzie świątyni, wykutej we wnętrzu góry; terasom ogrodów i pól, które schodziły kaskadą po zboczu Niedźwiedzia; i wreszcie okalającemu całe to pustelnicze gospodarstwo zewnętrznemu murowi. Szli już wzdłuż niego od jakiegoś czasu, a wysoko nad nimi górował starożytny erem boga Los, który ponoć wcale nie był bogiem.

Po jakimś czasie pożegnali mur, który zaczął wspinać się do góry, i tak doszli do nawisu skalnego, o który wspierała się długa, kamienna budowla. Być może przed wiekami mieściły się w niej stajnie. Wrzosiec podejrzewał raczej, że był to niegdysiejszy dom pielgrzymi albo po prostu pobudowane z litości schronienie dla wędrujących przez góry. Dopiero szarzało.

– No i jesteśmy w starej gospodzie. Tu możemy być swobodni, Mocarni z rzadka się tutaj zapędzają. Bo i po co? Są tu przewodnicy, prawdziwi i żyłaści górale. Im można ufać – zakomunikował Gajda.

Mijali stajnie, gdzie pokornie czekały czerwone, górskie woły. Kupcy, chcący przekroczyć Smoczogóry, musieli zostawiać wozy i przeładowywać towar na grzbiety tych zwierząt. Do Rogaczy prowadził królewski trakt, ale potem trzeba było kluczyć i szukać dostępnej drogi. Lawiny i śniegi, które wysoko w Pazdurach leżały przez cały rok, utrudniały wędrowkę i często zmieniały bieg ścieżek. Na końcu starej gospody były dwie sale, gdzie rzeczywiście można było przenocować i coś zjeść. Tam zasiadali przewodnicy.

Wędrowcy weszli do wysokich, mrocznych pomieszczeń. Gajda przywitał się z gospodarzem i siedzącymi za długimi stołami

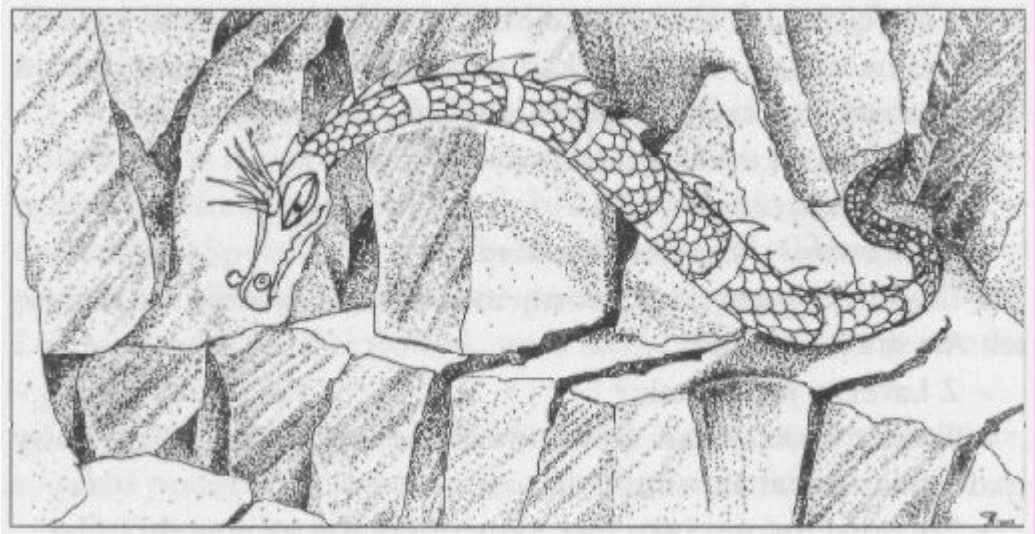
przewodnikami. Byli to sękaci górale z całych pobliskich Smoczogór, ci, którzy najbardziej umiłowali góry i znali je jak własną kieszeń. Oni prowadzili kupieckie karawany przez Rogacze na drugą stronę. Oni wiedzieli, jak znajdować drogę, znali wszystkie przejścia i ścieżki, potrafili unikać niebezpieczeństw i po znakach na niebie rozpoznawać zmiany pogody. Kupcy, którzy próbowali samodzielnie przekraczać Smoczogóry, często zostawali tam na zawsze. Przewodnicy reprezentowali prawie wszystkie rody mieszkające wokół Równi, było też kilku Kościanów. Opowiadano, że ponoć zbójowali i często kradli stada góralom ze wschodnich stoków Pazdurów. Ponoć polowali na potężne, skalne niedźwiedzie i groźne żmije. Wiedzieli także ponoć, gdzie szukać złota. Bardzo rozmaicie o nich opowiadano. A jeszcze chętniej słuchano ich gawęd, bo przewodnicy wprost uwielbiali opowiadać o swych prawdziwych i zmyślonych wyczynach. Gajda wiele miesięcy spędził w tych okolicach i nie potrafił zliczyć wieczorów strawionych na góralskich gawędach. I Berda znał dobrze starą gospodę, jak każdy szanujący się góral. A Wrzosiec był tu po raz pierwszy i dlatego rozglądał się ciekawie. I właśnie on wypatrzył wtulonego w kąt ślepego lirnika, tego samego, którego widzieli w karczmie w Kośnych przed paroma dniami.

Posilili się wybornym, odgrzewanym wiele razy bigosem. I do tego uczony po raz pierwszy od wielu dni, w zasadzie po raz pierwszy od przybycia w Smoczogóry, pił wino. Jakiś kupiec musiał sprzedać gospodarzowi kilka antałów albo po prostu zapłacił za góralskie usługi. Wino było ledwie dobre, nie wyborne, ale wystarczyło, by młody smokoznawca zapomniał o troskach swoich i towarzyszy i zaczął cieszyć się otaczającym go spokojem. Trudności i zagrożenia pozostały za drzwiami starej gospody. A że za drzwiami było ciemno, to i one ukryły się w mroku. Wrzosiec radował się chwilą. Wyczuwał też, że rozpoczynająca się noc będzie ostatnią przespaną pod dachem, przynajmniej na kilka dni. A wspominając grozę Pazdurów i śnieżne czapy zalegające na szczytach, wcale nie miał ochoty nigdzie wyruszać.

Po kolejnej dokładce bigosu Gajda przysiadł się do znajomych przewodników, by dokładnie zapytać o drogę na Raróg. A Berda z Wrzoścem wstali ze swej ławy i ruszyli w kierunku lirnika.

Rozdział dziewiętnasty

który wypełniony jest groźnymi Pazurami



Wieczór był młody, kiedy Berda z Wrzoścem przysiedli się do lirnika. Starzec miał grubo ciosane rysy i jasną, rzadką brodę. Zawinięty w bezkształtną, szarą oponczę kulił się w kącie, nie zwracając uwagi na otoczenie. Coś mruczał cicho pod nosem i palcami oglądał swą lirę. Co chwila dostrajał struny i sprawdzał ustawienie klawiszy. Wyglądał tak, jakby od momentu, kiedy stracili go z oczu w Kośnych, nic się nie zmieniło.

– Witajcie, dobry człowieku – powitał go geślarz.

– Witajcie, nieznajomi. – Lirnik podniósł głowę i zwrócił w ich kierunku białe, pozbawione źrenic oczy.

Zmrużył je i zastygł na chwilę, jakby czegoś szukał w pamięci. Jego palce błądziły po zużytych i poobijanym instrumencie.

– Poznaję twój głos, nieznajomy. Grałeś w karczmie kilka dni temu, pięknie grałeś.

Mówił śpiewnie, jak na nizinach. Słowa łączyły się ze sobą i miękko płynęły dalej, zupełnie inaczej niż w surowej, ostrej mowie smoczogórskich górali.

– Też tam byłeś. Powiedz, jak ocalałeś? – spytał spokojnie Berda.

– Bóg mnie prowadzi, bóg mnie ocala. Ja ślepy, sam nic nie widzę. Rankiem zabrałem się z kupcami i dowieźli mnie aż tutaj. Drugi dzień

będzie. Czas wracać na niziny...

– To prawda, co o was mówią, że zapowiadacie nowego boga?

– Bóg sam przepowiada naszymi ustami. Ja ślepy jak wiatry, które bóg ciska, jak chce. Zawieje mnie w góry, to jestem w górach. Zawieje na niziny, wracam, skąd przyszedłem. Ale pytasz, jakbyś nie wiedział. Przecież sam jesteś sługą, co pieśniom służy.

– Wiesz, co się stało z karczmą?

– Góry zeszły, znaki były.

– Jakie znaki? – zapytał Wrzosiec.

– Ciebie nie pamiętam, nic nie mówiłeś, nie grałeś i nie tańczyłeś. Ale nie jesteś stąd.

– Z Lacerty. Jakie znaki?

– Trzeba znaki czytać. One nowe dzieje zapowiadają. Czas nowy nadchodzi. Świat się odmienia.

– Zły musi być ten twój bóg, skoro znakami zabija tylu ludzi.

– Mówisz jak uczeni, czytasz księgę, a nie widzisz prawdy. Wichry zabiły, nie bóg.

– To wichry są złe?

– Wichry są ślepe, wieją, gdzie on chce. Ale mówisz, że zło było, a nie mówisz o dobru. Ocalałeś, ocalał twój przyjaciel, ja ocalałem. Wielu z nas bóg na czas wyprowadził.

– Jednak wielu nie ocalił, jak to wytłumaczysz?

– Nie mnie tłumaczyć, ja ślepy. A on nie potrzebuje mego tłumaczenia. Mówisz o złu. Śmierć jest złem, jak człowiek zabija człowieka. To nasze czyny nauczyły nas nazywać dobro i zło. W wichrach nie ma złości, nie ma zła. Człowiek umiera i śmierć po niego przychodzi. Tak było i jest. I nie gniewaj się na śmierć. Jak opadają liście, jak więdną kwiaty, tak odchodzą ludzie. Tak jest świat pomyślany. I odeszli ludzie z osady, co stała w cieniu góry.

– Dobrze ci, stary człowieku. Masz swojego boga.

– Nie mam go, on ma mnie. Ja nic nie mam. Wszystko nie moje. Imię, Smuga, zostało mi dane, życie mi darowali. Nie mam domu, nie mam wzroku, bo mi go zabrali w dzieciństwie. Żebrak ze mnie i nawet lira nie jest moją lirą. Ty, góralu, wiesz, co to jest. Bo w twojej grze jest ta sama tęsknota, ta sama pustka. Tyś też żebrak, jak ja.

– Skąd wiesz?

– Nawet siebie możesz oszukiwać, ale Smugi nie zwiedzisz. Ja słyszał, jak grałeś. Była w tym prawda. Twoja muzyka ocala. Nie słuchaj, kiedy

mówią, że wiedzie do zatracenia. Ludzie głusi, w tym największa bieda.

– Podobnie mówicie jak Stary Ryś. Opowiadał, że jak szukasz dobra i zła w nieszczęściach i zrzędzeniach losu, to jakbyś szukał wiatru w polu. Bo naprawdę to dobro i zło pojawia się tylko pomiędzy ludźmi. Spotykamy wielu ludzi na swej drodze i możemy nimi pogardzać albo ich wysłuchać i pomóc, jak pomocy potrzebują. I na tej drodze każdy człowiek może siebie zatracić albo też ocalić – powiedział Berda.

– Ty z gór, ja z nizin, a kiedy mówimy o tym, co najważniejsze, to jakoś podobnie, choć na pozór prawie wszystko nas dzieli.

– Zagrajcie nam coś...

Smuga nie odpowiedział, tylko zapatrzył się ślepymi oczyma w pustkę przed sobą i jał powoli kręcić korbą. Lira zaburczała i po chwili monotony dźwięk wypełnił kamienną salę. Lirnik nie śpieszył się i pozwolił muzyce wnikać w każdy kąt starej gospody. A kiedy już w pomieszczeniu nie było niczego poza nią, zaczął łkającym, przesywającym głosem śpiewać. I śpiewał o losie człowieka, o jego tęsknotach i poszukiwaniu sensu, śpiewał o wędrowce i celu tej wędrowki. I śpiewał o bogu, który niesie nadzieję. O bogu, który wypełni pustkę. Przewodnicy zasłuchali się w pieśń, tak różną od góralskich, ale zarazem tak im bliską. A potem lirnik zaczął grać nową pieśń. Lira płakała i jęczała, i całą karczmę wypełniał jej lament. A że noc była cicha i bezwietrzna, słowa niosły się też do pogrążonego w wieczornej zadumie eremu, który wysoko w górze trwał na straży tych samych tęsknot i poszukiwań. Owego wieczoru niezauważalnie prostowały się tajemne ścieżki ludzkich losów. I była to opowieść o ostatniej wojnie, o wojnie króla Lacerty z dumnymi góralami ze Smoczogór, o bohaterstwie jednych, o pysze drugich. Opowieść pełna żalu i współczucia. I dziwili się przewodnicy, że człowiek z nizin tak dobrze rozumie góralską duszę. I dziwili się kupcy, że gospodarz pozwala ślepcowi zakłócać ich ważne i wartościowe rozmowy.

Smuga zakończył, gasnął cicho i spokojnie, aż wreszcie jego lira umilkła zupełnie. Goście zaczęli układać się do snu. Nie było tam osobnych pomieszczeń i wszyscy pokotem zalegli na kamiennej podłodze. Przewodnicy posnęli na stłoczonych pod ścianami ławach. Objęła ich gęsta smoczogórska noc.

Gajda obudził swych towarzyszy o świcie. Przewodnicy już byli na nogach i szturchaniem wyciągali ze snu kupców, którzy ich wynajmowali. Przed starą gospodą przeładowywano towary z wozów na pokorne woły. Trzej wędrowcy zjedli proste śniadanie i zaczęli gotować się do dalszej

drogi. Gajda zaopatrzył ich w zapasy jedzenia na kilkudniową wędrówkę, kupił też za zarobione na ciesiołce pieniądze trzy sukienne, brunatne gunie.

– W Pazdurach cały rok jest zimno. A nam przyjdzie nocować na szlaku, w kosodrzewinie. I tak pomarzniemy.

Wrzosiec narzucił na ramiona nowy strój. Gruba, ostra peleryna sięgała połowy uda. Nie widział swego odbicia, ale czuł, że wygląda jak prawdziwy góral.

Gajda pożegnał się z przewodnikami i wkrótce wyszli przed gospodę. Przez jakiś czas maszerowali ubitą drogą, która po kilku zakrętach doprowadziła ich do porzuconego królewskiego traktu. Ten zakosami, mającymi ułatwić wędrówkę po stromym stoku, wspinał się na Rogacze. Wrzosiec spojrzał w górę i jęknął. Wysoko nad nimi, spowite poranną mgłą, wznosiły się dwie ostre i dumne turnie, Rogacz Wyżny i Rogacz Niżny. A pomiędzy nimi zawieszona była przełęcz, na którą mieli się wspiąć. Bakalarz wspomniał, jak przed wieloma dniami podziwiał Rogacze ze szczytu Garbacza. Wyglądały dumnie i wzniośle, ale odległość czyniła je o wiele łagodniejszymi. Teraz, kiedy wysoko, niemal pod samym niebem zobaczył tę wschodnią bramę Smoczogór, przeraził się. Zaciśnął zęby i w milczeniu ruszył przed siebie. Wbijał wzrok w kamienie pod stopami i starał się za wszelką cenę nie spoglądać na onieśmielającą przełęcz. Myślał o wszystkim innym, byle nie o górach, uciekał we wspomnienia o łagodnych nizinach; nawet Karby, choć przecież mdlał w nich ze zmęczenia, wydawały mu się dobrotliwymi pagórkami. Nie oglądał się i z trudem wyrównywał oddech. Niewielką pociechą były dlań zapewnienia Gajdy, że to najłagodniejsze i najniższe przejście przez Smoczogóry. Nie uspokajały go również krzepiące porównania z trudną i żmudną drogą, jaką odcięty im wichry, niszcząc Jaszczurzą Przełęcz. Piał się w górę mozolnie i wolno. A kiedy sobie wyobraził siebie drobnymi kroczkami pokonującego ostatni odcinek królewskiego traktu, poczuł się mały i śmieszny. Zobaczył niemal niezauważalnego żuczka, który z wysiłkiem i z niezrozumiałym wewnętrznym samozaparciem dąży przed siebie, choć cel jest tak odległy, że aż nieosiągalny. Lepiej czuł się tylko wtedy, kiedy mijali powolne karawany, które wyruszyły na długo przed nimi. Z wyższością patrzył na zasapanych kupców leżących na trawie wzdłuż drogi. Wtedy miał wrażenie, że jest prawie góralem, i bliższy był twardym przewodnikom, którzy patrzyli na krajobrazy z taką radością i spokojem, jakby właśnie zbudzili się po długim odpoczynku. Gajda też co jakiś czas zarządzał postoje. Sam, najbardziej zaprawiony w marszu, często wybiegał do przodu, lecz szybko

wspominał na wolniejszych przyjaciół, zwłaszcza nizinnego, mimo starogóralskiego stroju, bakałarza. Berda szedł spokojnie, zatopiony w swoich gęślarskich sprawach.

Późnym popołudniem wreszcie osiągnęli cel, stanęli na końcu królewskiego traktu. Dalej prowadziły dużo węższe ścieżki, niesfornie wijące się między kosodrzewiną. Hen za sobą zostawili lasy i odtąd skarłałe, iglaste drzewka miały im być jedyną zieloną otuchą. Przed nimi ciągnęły się ostre, poszarpane łańcuchy Pazdurów. Wrzosiec naliczył siedem pasm, następne rozmywały się w bladoniebieskim horyzoncie.

– Jak długo idzie się stąd na niziny, na stronę Maury?

– Przewodnicy, sami, chodzą trzy, cztery dni. Ale z wołami i jeszcze zimą dłużej, dużo dłużej.

– A do Raroga?

– Za dwa dni od teraz powinniśmy dojść, chyba że co nam przeszkodzi. Ale obróćcie się i popatrzcie na nasze Karby, bo wiele dni nie będziemy oglądali tego widoku.

Wrzosiec po raz pierwszy owego dnia spojrzął za siebie. I w dole zobaczył lekko zmarszczony, porośły ciemnym, świerkowym lasem teren. To były Karby. Leżały daleko, malutkie i nieśmiało przycupnięte na drugim krańcu Pustaci. A za nimi, na granicy wzroku i domysłu zaczynały się równiny. I zobaczył też Rówień, z łatami lasu, kępami drzew, z pagórkami i rozlewiskami Beretyczu. Wyśledził wzrokiem rozświetloną popołudniowym słońcem wstęgę Rudego i spływającego skądś z Pazdurów Srebrnego. Gdzieś pośrodku Pustaci, w miejscu rozmytym w grząskich mokradłach, obydwaj rzeczni bracia spotykali się i zgodnie ruszali dalej, by na południowym krańcu Karbów przecisnąć się przez wąskie wąwozy i jako jeden Beretycz wypłynąć na równiny Międzygórza. A potem spojrzął na północ i zobaczył w dole otulony wiecznymi mgłami szczyt Czartaka. Potężny ze Świstowej Przełęczy, teraz wydawał się skromny, jak młodszy i ubogi brat Pazdurów. I wreszcie oczarowany i oszołomiony przestrzenią bakałarz z Lacerty spojrzął w górę. Wysoko nad nimi, równie niebosięźnie i nieosiągalnie jak o poranku, majaczyły dwa strzeliste Rogacze. Wrzosiec westchnął.

Wędrówka tego dnia nie kończyła się na przełęczy. Po krótkim odpoczynku ostatecznie pożegnali trakt królewski i szlak wiodący na drugą stronę gór i zanurzyli się w głąb Pazdurów. Ruszyli na północ, idąc wąską Doliną za Rogaczem. Ścieżka łukiem omijała spowitą śniegiem górę. Dolina była cienista, o stromych, wysokich ścianach. Wrzosiec widział w nich

posępne oczodoły jaskiń. W podobnej im grocie musiał mieszkać Władca Wichrów. I już za dwa dni on, ciekawski i wścibski bakałarz z Lacerty, miał mu spojrzeć w oczy. Czuł rosnące podniecenie i zarazem ogarniający go lęk. Wędrowali jeszcze parę godzin i kiedy mrok zagroził im drogę, Gajda znalazł dla wszystkich nocleg w jednej z położonych blisko ścieżki jaskiń. U wejścia do groty rozpalili ogień i posileni zapasami posnęli.

Rytm ich dnia zaczęły wyznaczać zmrok i poranne chłody. Nie sposób było wędrować w ciemnościach, Pazdury w niczym nie przypominały pogodnych Karbów. A świt trzeźwił ich momentalnie, choć wychłodzone ciało jeszcze domagało się wypoczynku. Wrzosiec obudził się skostniały, ale zadrżał dopiero na myśl, jak wyglądałaby noc, gdyby nie zakupione przez Gajdę gunie. Wesoły cieśla okazał się znakomitym przewodnikiem i znawcą gór, przy nim uczony czuł się bezpiecznie i spokojnie.

Tego dnia wspięli się doliną nieco w górę i rozpoczęli drogę na Pazdur. Najwyższe turnie kryły się w śniegowych czapach. Gajda wybierał drogę graniami niższych wierchów, gdzie mozolnie pięli się po potężnych wantach, szukając ginących między głazami perci. Szli w dół głębokimi żlebami, obchodzili osuwiste piargi. Co jakiś czas mijali granatowe oczka górskich stawów, których woda zdawała się chłodniejsza od lodu. Spod Pazdura poszarpaną i ostrą jak brzytwa granią wędrowali w stronę Jastrzębiego Wierchu. Czasem schodzili niżej i posuwali się wzdłuż zbocza. Nic nie mąciło powagi surowego krajobrazu. Nie napotkałeś tu ludzkich osad, nawet pasterze nie zapuszczali się ze stadami tak wysoko. Zbocza gór poplamione były żółtawą trawą i ciemniejszymi łąkami kosodrzewiny, wciskającej się w każdą szczelinę pobrużdżonych żlebów. Tak właśnie musiały wyglądać Smoczogóry z początków dni, myślał Wrzosiec, kiedy nie było jeszcze ani smoków, ani sztolników, ani górali, kiedy na świecie istniały tylko góry i wichry. Jak okiem sięgnąć, wszędzie były samotne, nietknięte ludzkim tchnieniem masywy. Bakałarz wyobrażał sobie, że jest pierwszym człowiekiem, który ogląda te widoki, że jest pierwszym, który odkrywa je dla świata. Choć codziennie oświetlało je słońce, to niejako pozostawały w ciemności, bo niczyj wzrok nie kalał ich oblicza. Uczony wypatrywał orłów i kozic. Sam dla siebie stwarzał ten surowy, broniący dostępu świat. I w pamięci układał kolejne warstwy wspomnień, tkął kolejne opowieści, którymi po powrocie do Lacerty chciał dzielić się z zagubionymi wśród ksiąg przyjaciółmi.

Posuwali się wolno, bo droga nie pozwalała zagarniać się bezkarnie swobodnymi krokami. Każde stąpienie musiało być przemyślane i

ostrożne, moment nieuwagi mógł bowiem spowodować katastrofalne osunięcie. Jednak to dopiero morderczo narzucona przez Gajdę droga pomiędzy Jastrzębim Wierchem a Kruczą Turnią wyrwała Wrzośca z kontemplacji pradawnej, nieskalanej niczym górzystości. Ścieżkę zaczęły ciąć w poprzek głębokie i strome wąwozy, a z nimi przyszedł ślad ludzkiej pracy, gdyż uczony zobaczył wiszące nad przepaściami wąskie pomosty. Linowe kładeczki beztróska kołysały się nad bezdennymi czeluściami, z których dobywał się huk strumieni. Pierwszy pomost był dla Wrzośca dużym wyzwaniem. Górale nie bez trudu namówili go do wkroczenia na chybotliwą drożynę. Nawet nie mógł zamknąć oczu, by mniej boleśnie przeżyć tę sytuację, ponieważ groziło to śmiertelnym upadkiem. I bakałarz już na drugim krańcu przepaści, patrząc jak Berda zwinnie idzie jego śladami, długo dochodził do siebie. Nie miał ochoty pytać, kto, w jakim celu i jakim sposobem pobudował te przejścia, nie miał ochoty o nic pytać. Jego myśli frunęły wysoko ponad Pazdurami do Rysiowej chałupy na Zarąbku, do chatynki wieszczunki Sowy. Żałował, że jej nie posłuchał i że dopiero poniewczasie odkrył mądrość rady, która w chwili darowania nawet trochę go uraziła. A z tych najbliższych jego położeniu przyczółków przytulności i bezpieczeństwa żeglował jeszcze dalej, do swojej izdebki na poddaszu, w bursie bakalarskiej Akademii w Lacercie, do wypełniających ją ksiąg, do stert notatek, do wystygłych i czekających na ogień fajek. Ale był pośrodku Pazdurów, a przed nim rozstępowały się kolejne przepaście, spięte niepewnie kolejnymi kładeczkami. Jeszcze pięć razy musiał biedny i umęczony bakałarz pokonywać strach i drżenie nóg, by stąpać niemal w powietrzu nad posępnymi, dudniącymi niewidoczną wodą czeluściami. Aż wreszcie zbliżyli się do Kruczej Turni.

– Jeszcze jedna przepaść i aż do Raroga będziesz miał spokój, Wrzosiec.

Ten uśmiechnął się blado. Szli wąską, ale skalną ścieżką, wrzynającą się w pionowy stok. Perć wiła się i co chwila znikwała za szarymi masywami. Gajda pewnie kroczył przodem, a lęki uczonego rozpraszał idący z tyłu Berda. I nagle za kolejnym zakrętem Wrzosiec prawie wpadł na plecy przewodnika. Przyjaciel stał i bezradnie wpatrywał się w przeciwległy brzeg przepaści, bo właśnie tam, smętnie i beznadziejnie, zwiślał urwany linowy pomost. Po ich stronie zostały tylko postrzępione, żałośnie krótkie resztki.

– Nie przejdziemy.

– Jak to: nie przejdziemy? – Wrzosiec zapytał prawie z gniewem.

Przez ostatni kwadrans zbierał się w sobie do kolejnego odważnego zrywu, a tu nagle kościański cieśla powstrzymał go przed tym aktem

męstwa. I wtedy uczony dostrzegł całą beznadzieję sytuacji. Ścieżka, którą szli, niedaleko niknęła w pionowej ścianie. Przepaści nie przeskoczyłyby żaden człowiek. Zejście w dół również nie wchodziło w rachubę, urwisko pionowo leciało w czeluście. Sprawa stała się jasna: musieli stracić ponad pół dnia i szukać, bez żadnej pewności, innej drogi. I przy tym wracać przez sześć już szczęśliwie zapomnianych przez Wrzośca mostów.

– Takie są góry, zawsze wyższe od ciebie – Gajda bezskutecznie pocieszał towarzyszy.

Nie mieli siły na powrót. Dzień się chylił, przed nimi, na wyciągnięcie ręki, były zbocza Kruczej Turni, a za nią obiecana droga prosto na Raróg.

– Może coś zjemy i odetchniemy chwilę. Potem ruszymy – przewodnik chciał za wszelką cenę ratować sytuację.

Ale wszyscy w trójkę wiedzieli, że nie mają za bardzo którądy iść. Na pewno nie tego dnia. Bliski, lecz jakże daleki przeciwległy brzeg przepaści niemo szydził z bezradności wędrowców.

– Tu nawet pieśni nie pomogą – ponuro zażartował Wrzosiec.

Jednakże, choć to wydawało się niemożliwe, to był dopiero początek ich kłopotów. Na upragnionym przeciwległym krańcu ścieżki spokojnie i statecznie pojawił się wielki, lśniący żmij. Bakalarz z podziwem patrzył na długie, gibkie cielsko. Widywał węże, widywał wielkie węże, widywał ryciny ze smokami. Ale żmija nigdy nie widział. I mimo lęku smokoznawca był zauroczony. Żmij miał grubość solidnego świerkowego odziomka. Jak bardzo był długi, tego nie było widać, gdyż koniec ogona niknął za skalnym załomem. Łuski lśniły mu na zielono i granatowo. Nosił się dumnie, wygięty z przodu jak łabędzia szyja. A na wielkim łbie, między dużymi oczami z pionową źrenicą, lśniła kryształowa korona.

– Król żmijów, prawdę mówił Stary Ryś... – westchnął Gajda.

– Teraz bądźcie cicho, ja z nim będę gadał. A wy nawet go nie słuchajcie.

Żmij z dostojeństwem poruszał się po ścieżce. Pełzł wolno, jego cielsko majestatycznie wyginało się i wiło na boki. Przystanął naprzeciw trzech wędrowców i spojrzał na nich swymi żółtymi ślepiami. Pionowa źrenica nie zdradzała żadnej emocji. Minęła dłuższa chwila.

– Trzech zbłąkanych i zagubionych wędrowców. Czego szukacie w moim królestwie?

– Was, królu żmijów – odparł drżącym głosem Berda.

– Jestem, chodźcie do mnie.

Wrzosiec i Gajda zaczęli się podnosić i podeszli do brzegu przepaści.

Król żmijów był tak piękny, że nie zważając na trudności, chcieli podbiec do niego. Wrzosiec czuł, że traci świadomość i chętnie oddawał się w żmijową niewolę. Niemal w ostatnim momencie Berda chwycił ich za gunie i ściągnął pod skałę. Na chwilę oprzytomnieli, ale żmij wpatrywał się w nich przenikliwie.

– Dlaczego powstrzymujesz swoich przyjaciół, wędrowcze? Przecież chcą do mnie przyjść. Pozwól im.

– Oni nie są was godni. Pomagali mi wędrować, ale to ja was naprawdę szukam.

– Jestem więc. Co cię sprowadza?

– Mam wieści dla króla gór. I wiem, że wy nim jesteście.

– Jestem nim – żmij mówił wolno, lekko sycząc. Rozdwojony język wysuwał się i nikał w jego pysku. – Co to za wieści?

– Wasze czasy wracają, królu, już nie musicie się kryć w górach.

– Nie kryję się.

– Nie kryjecie się z lęku, lecz wiedząc, że niegodni jesteście was oglądać.

– To prawda.

– A wieści są takie, że przebudzili się sztolnicy. I czekają na was.

– Jestem żmijem, a nie smokiem.

– Jesteście potomkiem smoków. A oni potomkami dawnych sztolników. I właśnie na was czekają.

Wrzosiec siedział jakby przykuty do skały. Chciał dopaść króla żmijów, lecz jakaś siła go powstrzymywała. Z uwagą, ale jak gdyby zza zasłony obserwował przerzucaną nad przepaścią rozmowę.

– Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

– Bo sami wiecie najlepiej, że jesteście prawdziwym smokiem.

– A skąd mam wiedzieć, że nie zwodzisz mnie co do przebudzenia sztolników?

– Bo kazali wam przekazać to – i Berda wyciągnął z sakwy sztolnicki sztylet z *igrithu*.

Przetykana zielenią czerń rozjarzyła się. Wrzosiec złowił błysk w nieruchomym oku żmija.

– Dobrze wiecie – mówił dalej Berda – że tylko sztolnicy potrafią kuć *igrith*.

– Wiem lepiej od ciebie. A więc powrócą dawne wojny... Powrócą stare czasy... I zniknie dzisiejsza nuda...

– Tak mówią sztolnicy. Wkrótce opuszczą Stare Sztolnie i będą szukać

smoków. Chcą, byście o tym wiedzieli. I dlatego przekazują *igrith*. Oto moja misja.

– To chodź tu więc i oddaj, co moje.

– Za chwilę, ale mam jeszcze coś. Jest to muzyka i jest pieśń dla was. W nich są prawdziwe wieści – Berda mówił już spokojnym, opanowanym głosem.

– Dawno nie słuchałem pieśni, wichry tak bezładnie ostatnio wyją...

– Bo wiedzą, że to ich koniec. Że wam muszą ustąpić miejsca.

Berda wyjął z torby dudy, te same, na których grał na stokach Mogielnicy. Te same, z Gajdowymi piszczałkami. Spokojnie dał im powietrza i zaczął grać. Muzyka wypełniła wąską szczelinę, która ich więziła. Wpierw melodia była prosta i spokojna, lecz nieznaną ani Gajdzie, ani Wrzoścowi. A potem Berda zaczął zdobić. Nieco zwiększył tempo i dźwięki, odbijane od skał, wpadały na siebie, ale nie powodowało to poczucia chaosu i nieporządku, bo odbite dźwięki dopełniały te, co właśnie wybrzmiewały. Berda żonglował muzyką niczym kuglarz, jakby zręcznie podrzucał naraz wiele piłeczek. I dopiero góralska, niesłyszana od paru dni muzyka otrzeźwiła owładniętych przez króla żmijów wędrowców. Jakby przebudzili się ze snu i teraz słuchali gęślarza Kościanów. I słuchali z podziwem, bo ten, rozmawiając z echem, grał tak, jakby obok siebie stało trzech dudziarzy i wygrywało różne, choć idealnie współbrzące melodie. Z pozornej wielości nut budowała się niewyraźna jedność granej muzyki.

Tymczasem król żmijów słuchał w milczeniu. Nagle Wrzosiec, już zupełnie wybudzony i przywrócony sobie, zauważył, że cielsko żmija zaczyna się lekko kołysać. Wpierw szyja, a potem cały masywny tułów. Wreszcie uniósł się i spojrzał na trzech wędrowców z wysokości swej zgrabnej szyi. I nagle zaczął pochylać się nad przepaścią. Gajda z Wrzoścem zbledli i przypadli do ściany. Starali się przywrzeć do niej, rozpląszyć i zniknąć, bo potężny łeb żmijowego króla, migoczący kryształową koroną, jął zbliżać się niebezpiecznie. Ale żmij ominął przerażonych przyjaciół i oparł pierś na krawędzi po ich stronie przepaści. Berda, stojąc nieruchomo, grał dalej. Muzyka nadal kołysała żmija, który zgrabnie wygiął się nad rozpadliną, spinając niejako jej popękane i oddalone od wieków krańce.

I wtedy Berda zaczął zwalniać. Jakby wyłapywał krążące wokół dźwięki, jakby wytłumiał je coraz spokojniejszą grą. Grał wolniej i wolniej, a król żmijów kołysał się leniwiej i łagodniej. A Berda zwalniał i zwalniał, aż żmij znieruchomiał. Gęślarz jeszcze zwolnił i Wrzosiec zobaczył, jak

ogon żmija traci mieniący się, zielono-niebieski kolor, jak zaczyna szarzeć i matowieć. Zanik koloru z wolna piał się po tułowiu w kierunku głowy. Kiedy szarość okryła połowę żmijowego króla, Berda zatkał gajdzicę. I odtąd okoliczne skały dźwięczały nieprzerwaną monotonią burdonu, który beczał tęsknie. Berda jednak nie przestawał. Szarość objęła szyję żmija, a w końcu i głowę. Berda powoli cichł. Kiedy wywieszony, rozdwojony język zszarzał i zmatowiał, kryształowa korona zsunęła się z głowy króla żmijów i poleciała w przepaść. Długo obijała się od ścian, a kiedy wreszcie z hukiem sięgnęła dna, Berda przestał grać.

Król żmijów nie ruszał się, tylko jak posąg patrzył na wędrowców kamiennymi oczami. Przyrośnięci do skały Gajda z Wrzoscem odetchnęli.

– Co się stało? – Głos bakałarza przypominał pytanie przebudzonego z głębokiego snu człowieka.

– Zagrałem mu pieśń o smokach i tym przekonałem go do doskonałości i niezmiennej stałości kamienia. Chodźmy.

To mówiąc, Berda spokojnie stanął na grzbiecie żmija i lekkim krokiem przeszedł na drugą stronę. Po chwili niepewnie ruszył Wrzosiec, a zaraz za nim Gajda. I tak wędrowcy przeszli przez siódmy most, który potem Gajda nazwał Berdowym Mostem. A Wrzosiec dodał:

– Nad Żmijową Przepaścią.

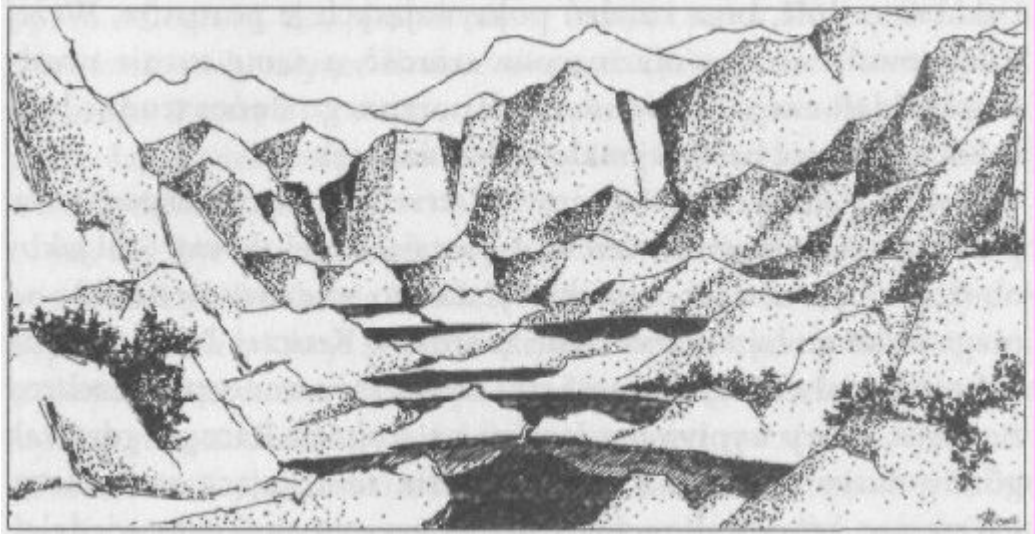
Dzień się chylił, chylił, aż się pochylił. Trzej przyjaciele doszli pod Kruczą Turnię i tam zagrzebali się w korytarzach dumnej, bujnej kosodrzewiny. Leżeli już okryci guniami i patrzyli w pachnące igliwie, spomiędzy którego wesoło mrugały gwiazdy.

– A jak wróci? – spytał niepewnie Wrzosiec.

– Nie wróci, chyba że mu znowu zagram. A ja się nie wybieram, bom zmęczony. Śpij, uczony.

Rozdział dwudziesty

który zaczyna się od wichrów, na wichrach kończy,
a w środku też wichrami nic pogardza



Zbudzili się odurzeni żywicznym zapachem igliwia. Kosodrzewina otulała ich i chroniła przed poranną mgłą. A gdy mgły już opadły i schodzili w niżej położone strony, oczom Wrzośca ukazało się całe piękno krajobrazu przed nimi. Znajdowali się na północnych stokach Kruczej Turni, która otwierała jedną z najpiękniejszych dolin Pazdurów. Rozległą, leżącą prawie pod samym niebem, o wiele bliżej przestworzy niż Rówień, Czartak, Karby i inne, znane bakałarzowi zakątki Smoczogór.

– No i dotarliśmy do Siedmiu Stawów – zakomunikował Gajda.

W jego głosie słychać było nutę dumy, dumy górala z rodzinnych gór. To on pokazywał przyjaciołom piękno otaczających ich stron. Berda, choć krajan, nigdy nie był tak wysoko.

– To samo serce Pazdurów, to serce Smoczogór – dodał Gajda i zamilkł.

Wszyscy w ciszy kontemplowali idealną harmonię Siedmiu Stawów. Stali na skraju rozłożystej doliny, szerokiej i przestronnej. Na jej dnie czerniły się i niebiesciły koliste górskie stawy, granatowymi plamami malowały ogromną szarą nieckę. Ciągnęły się na całą długość doliny i ostatnie z nich były ledwie widocznymi małymi plamkami. Zbocza gór łagodnie schodziły w dół i zatrzymywały się tuż nad brzegami górskich

jezior. Stoki porastała ostra, żółtawa trawa, przetykana kępami i połaciami ciemnej kosodrzewiny. Do tej rozmowy kolorów włączała się szarość głazów i skał oraz żółć, brąz i zieleń pokrywających je porostów. Wyżej następowała niczym niezmacona szarość, a same turnie nosiły śnieżnobiałe czapy. W promieniach porannego słońca trudno było sobie wyobrazić bardziej malowniczy zakątek.

Dolinę Siedmiu Stawów zamykał strzelisty, ostry masyw górski, przewyższający dumne wierchy wyrastające z jej zboczy. Stał jakby obok, panując nad otoczeniem. Był daleko, wędrowców dzieliło od niego kilka godzin marszu. Ale ze stoków Kruczej Turni dało się zobaczyć biały, lśniący w słońcu i migoczący wodospad: Srebrny Beretycz, który wypływał z jaskini na stokach Raroga, gdyż tak górale nazywali dumną górę wzniosłe zamykającą widnokrąg. I Wrzosiec, który stał, zachłystując się czystym pięknem, wiedział, że nic wspanialszego nigdy wcześniej nie oglądał i najprawdopodobniej nie zobaczy nigdy potem. I wiedział, że znajdują się w samym sercu otoczonych legendą Smoczogór i że niedługo dotrą do źródeł Srebrnego Beretyczu, do jaskini Władcy Wichrów. Serce zabiło mu mocniej.

Powędrowali przed siebie, z każdym krokiem czując, że naruszają nietknięte piękno, że łamiąc pojedyncze źdźbła, niszczą pierwotną doskonałość Siedmiu Stawów. Ale każdy krok wciągał ich w jądro doliny, każdy krok prznosił ich w inny, niedostępny ludziom świat. Między kosodrzewiną wiała się łagodnie ścieżka, nie wiedzieć czyimi stopami wytyczona. Poddali się jej i szli, a mimo przesuwały się kolejne obrazy. Tak dotarli do pierwszego z siedmiu stawów i minęli go z lewej strony. Słońce, o wiele bliższe niż na nizinach, grzało ich i pieściło, choć powietrze miało chłodną, nieruchomą dostojność. Czuło się w nim coś zimowego, gdyż Wrzosiec zauważył, że ich oddechy odpływają ulotnymi, szarymi obłoczkami. Na dodatek niebo było bezchmurne, niebieskie jak nigdy przedtem. Drugi staw minęli z prawej strony i przez jakiś czas szli w cieniu wschodnich stoków doliny. Potem znów kroczyli środkiem, bo trzeci staw położony był jakby na uboczu. I tak wędrowali, aż w końcu cały ich świat wypełniła dolina. Była za nimi i przed nimi, z lewej i z prawej strony. Radośnie, nie czując zmęczenia, szli, dając się prowadzić drodze. Raróg zbliżał się i ich zapraszał. Trzeci i czwarty staw dzieliła spora odległość. Znajdowali się w samym sercu Doliny Siedmiu Stawów. I wtedy usłyszeli huk wodospadu, jakim Beretycz wypływał z Raroga. Patrzyli na siwe, rozszczerzone smugi wody, spadające z wysokości wielu stóp na dno

doliny. Grzmot wodospadu narastał z każdym krokiem.

Ale nie był to głos Srebrnego Beretyczu. Berda jako pierwszy rozpoznał pochodzenie huków. Nad Siedem Stawów nadciągały posępne górskie wichry. Przystanęli, nie wiedząc, gdzie się schować, odkryci i bezbronni na samym środku rozległej doliny. Ucieczka byłaby rozpaczliwa, nie miałyby najmniejszego sensu. Mimo to Wrzosiec z Gajdą odruchowo przypadli do wielkich głazów. Tylko Berda pozostał wyprostowany, a kolejne poddmuchy targały mu włosy. Stał dumnie, jakby rzucał wichrowemu wyciu wyzwanie.

A wichry wleciały w dolinę i zaczęły się huścić po jej stokach, nabierając prędkości i mocy. Drżała kosodrzewina i marszczyła się woda na powierzchni prawie czarnych jezior. Wrzosiec czuł niebezpieczeństwo i jednocześnie było mu żal. Wiedział, że wichry chcą zniszczyć tę cudowną krainę, wiedział, że chcą naruszyć odwieczność i harmonię Siedmiu Stawów. Spojrzał na Raróg i przestał rozumieć cokolwiek. Bo jak Władca Wichrów, który codziennie oglądał to piękno, mógł chcieć je zniszczyć? Jak musiał być okrutny, by niweczyć swą dziedzinę, najpiękniejszą ze wszystkich światowych dziedzin? Zapewne widział jej doskonałość, gdy obierał ją za swój dom. Lecz co musiało się stać strasznego, że chciał tę doskonałość naruszyć?

Wichry były już ogłuszająco, głosem potężnym i wzmacnianym echem surowych gór. I wtedy zaczęły swój morderczy taniec. Z samego szczytu Kruczej Turni ześlizgnęły się nad pierwszy staw i uniosły jego wodę wysoko nad ziemię. Woda, zbита w ogromną i drgającą kulę, została uniesiona na wysokość okolicznych grani. Promienie słoneczne, zamknięte w jej wnętrzu, bezradnie rozbijały się o krawędzie, chcąc wydostać się na zewnątrz. A wichry zawyły i cisnęły wodną kulę o pobliskie nagie zbocze z taką lekkością, jakby wylewały zawartość cebrów, a nie sporego stawu. Chlust wody zamarł na nagich skałach. Wędrowcy usłyszeli przeszywający trzask. Woda z pierwszego stawu w momencie zamarzła, tworząc na górnym zboczu szklistą, rozległą tafłę.

A wichry ruszyły na drugi kraniec doliny, pod Raróg, i zabrały się do ostatniego ze stawów, niewidocznego z miejsca, gdzie zastygli wędrowcy. I kolejna kula rozprysła się o nagie zbocze, lecz zamarzła już w powietrzu i opadła, pękając na tysiące kawałków. Z chrzęstem lodowe kęsy i odłamki zeszły jak lawina, tworząc na stokach Kła, który przyjął uderzenie, szklisty, niemal kryształowy piarg. Wichry lekceważąco mijały małych wędrowców, głośno przelatując nad ich głowami. Potargany Berda stał dumnie i nieruchomo.

I tak wichry rozprawiwały się z kolejnymi stawami. Ściany doliny niemal na całej powierzchni pokryte zostały lodowymi, błyszczącymi taflami, a po stawach pozostały kamienne, głębokie i suche niecki. Na sam koniec wichry przybrały na sile oraz głośności i z wyciem odbijanym od lodowych połączeń poleciały na północ, pod sam Raróg. Lecz tuż przed samym wodospadem wstrzymały się i tylko zmroziły go swym lodowym oddechem, że z żywej wody przemienił się w siwą, pełną soplowych kaskad brodę. A wichry, wydając pełen złości świst, uleciały pod niebo i zniknęły za górami. Po chwili zrobiło się zupełnie cicho.

I choć mogło się wydawać, że nic się nie zmieniło, Dolina Siedmiu Stawów przemieniła się w Dolinę Lodową. Dopiero wtedy wędrowcy zdołali ruszyć się z miejsca. Przez cały czas z przestachem przyglądali się wichrowym tańcom, nie mogąc ogarnąć ich nieujarzmionej potęgi. Wrzosiec nie po raz pierwszy poczuł się malutki i bezradny. Moc wichrów, jaką kilkakrotnie obserwował, nie dała się porównać z niczym, czego wcześniej doświadczył. Żadne lektury, żadne opisy potęgi i grozy nie mogły równać się z tym, co potrafiły górskie wichry. Będąc jeszcze w Lacercie, bakałarz zapytywał sam siebie, jak on zachowałby się w podobnych sytuacjach. A teraz wiedział, że nie można zrobić nic, tylko zastygnąć w przestachu i bezradnie patrzeć na rozszalałą naturę.

Szli w milczeniu. Każdy widział, co się stało, i nikt nie miał ochoty o tym rozmawiać. Władca Wichrów był blisko i niewiele czasu dzieliło ich od oczekiwanych wyjaśnień. Co jakiś czas towarzyszył im trzask pękającego lodu. Woda, wygnana ze stawów, rozmarzała i wolnymi strumieniami schodziła w dół. Było południe, kiedy dotarli do zmrożonej siklawy. Pod szklaną powłoką migotała żywa, uparcie wędrująca w dół woda. Strumień nie dał się wichrom ujarzmić. I wtedy zobaczyli, że Raróg nie kończy doliny. Tuż przed nim Siedem Stawów skręcało na północny zachód. Ciąg dalszy doliny, która im się ukazała, był równie piękny jak ten widok, który widzieli o poranku, tylko nie było na jego dnie plam górskich jezior. Dnem doliny wesoło skakał górski strumień. Bo była to już inna dolina, Dolina Srebrnego.

Wedle zapewnień Gajdy mieli jeszcze wspiąć się po ostrej skale, po której spływała siklawka. A kiedy to uczynili, stanęli na szerokiej półce skalnej. Przed nimi ział wielki, czarny otwór jaskini. Stąd właśnie wypływał Srebrny Beretycz. I jeżeli opowieści górali mówiły prawdę, to byli u celu swej wędrówki. Stali u wrót siedziby Władcy Wichrów. Powoli ruszyli w kierunku cienia.

Wtedy Wrzosiec zatrzymał się i odezwał do górali:

– Ja dalej nie idę, poczekam tu na was. Mam nadzieję, że wróciście.

– Jak to? Przecież już blisko – Gajda był bardzo zdziwiony. – Chyba się nie boisz?

– Nie boję się. Skoro tu doszedłem, to mógłbym i dalej. Ale mimo wszystko jestem uczonym, a nie góralem. I zrozumiałem, że czas posłuchać wieszczunki Sowy. Bo ona wie, co mówi. To wasze sprawy.

– Boisz się, że się spijesz tą wichrową śliwowicą?

– Zostaw go, Gajdo – odezwał się poważnie Berda. – Wrzosiec wie, co robi.

– Jakbym się bał, tobym został w starej gospodzie. Widziałem króla zmijów, widziałem Siedem Stawów. I źródła Beretyczu. I nie żałuję. Ale to wasze, góralskie sprawy. Ja już i tak dość nawtykałem nosa w nie swoje sprawy. Czas powstrzymać ciekawość, czas przestać być wścibskim. A poza tym, są tajemnice, które dla niektórych powinny pozostać tajemnicami. Ty, Gajdo, przysięgałeś, a Berda jest gęslarzem. Macie powód, by oglądać Władcę Wichrów. A ja? Mimo wszystko jestem uczonym, nie góralem. Idźcie już, ja tu poczekam.

I Wrzosiec odwrócił się, podszedł na skraj skalnej półki. Spojrzał na Dolinę Siedmiu Stawów. Jeśli wichry chciały zniszczyć jej piękno, to im się nie udało. Lodowce powoli topniały i woda strumieniami spływała na swoje dawne miejsce. Stawy przyjmowały ją w dna swych niecek. Berda z Gajdą ruszyli w mrok jaskini.

Szli ciemnym korytarzem w górę. Ich krokom towarzyszyło kapanie kropel i szum podziemnych strumieni, które wypływały przed jaskinią. Gajda skrzesał ogień i skąpo oświetlił drogę przed nimi. Sklepienie groty niknęło w ciemności. Po kilkudziesięciu krokach ujrzeli schody, wielkie, wykute w granicie. Zostawili za sobą światło wejścia i szli w górę, a schody coraz skręcały i wspinały się ku szczytowi Raroga. Wreszcie weszli do obszernej hali, otwartej na zachodnią stronę góry. A pośrodku groty, na kamiennym tronie siedział starzec z długimi białymi włosami i potężną białą brodą, która spadała mu na piersi, kolana, dotykała kamiennej posadzki i srebrnymi kosmykami oplatała podstawę tronu. Władca Wichrów, odziany w czerwony atłas, niknął w gęstwinie swej wiekowej brody. To stąd, z niezmiennej stałości swojej kamiennej siedziby, rządził wszystkimi znanymi wichrami. Tu wydawał im rozkazy i wysyłał w najodleglejsze krańce Smoczogór. Nie wyglądał na gniewnego mściciela, choć twarz miał raczej dostojną niż dobrotliwą. Górale czuli się onieśmieleni bijącym od niego

majestatem. I nie wiedzieli, jak winni z tak potężną osobą rozmawiać, a przecież po rozmowę tu przyszli. Zbliżyli się tedy do tronu i przyklękli na jedno kolano.

– Panie wielki, Władco Wichrów niepokonany, wybaczcie naszą śmiałość, wybaczcie, że przychodzimy nieproszeni na wasze dziedziny, wybaczcie, ale sprawę mamy do was.

Tak przemówił Berda. A jego dźwięczny głos szeptem powtórzyło echo w kamiennej hali. Górale podnieśli oczy i napotkali przenikliwe, pełne mądrości i dumy spojrzenie Władcy Wichrów.

– Panie, darujcie i moją śmiałość, ale wyście są wędrowiec, co mi życie jednej zimy ocalił... – Głos Gajdy drżał ze zdziwienia.

– Nie mylisz się, Gajdo, ja nim jestem.

– To dlaczego kazaliście się odszukać?

– Bo mam sprawę do ciebie, ale chciałem, byś sam do mnie przyszedł. Chciałem, żebyś ty sam zechciał mnie odnaleźć.

– Wysłucham każdej sprawy. I spełnię każde wasze żądanie.

– Niczego od ciebie nie będę żądał, nie mam prawa. Powiedz mi, skąd pochodzisz?

– Jestem Gajda z rodu Kościanów. Przychodzę ze Smreczyn, z Karbów.

– A czy jesteś synem Kościanów z krwi?

– Nie, przed laty Jak, głowa rodu, znaleźli mnie płaczącego na skraju Pustaci, to jest na Równi. I Kościany mnie przygarnęły i wychowały jak syna. Ale nie znam rodziców, oseskiem wtedy byłem.

– Poprosiłem cię, byś tu przybył, gdyż mam ci coś do wyjawienia. Jesteś synem pięknej góralki z rodu Dziewięćsiłów. Wołali ją Strunka. A ona ukochała wysokie góry, ukochała Pazdury i samotnie po nich chodziła. Wędrowała po perciach, polując na kozice, jak one zwinnie skakała po turniach i graniach. Była piękna i dzielna. Z czasem na dobre opuściła swe strony i zamieszkała w starej chacie niedaleko stąd. To była ta właśnie chata, w której leczyłem cię po lawinie, Gajdo. Tam spotkał Strunkę twój ojciec. Pokochali się miłością piękną i szczerą. Wiele wspaniałych chwil spędzili razem i razem wędrowali po Pazdurach, razem zasadzali się na kozice. I dobry los obdarzył ich dzieckiem. Strunka była przy nadziei i obydwójce cieszyli się na nadejście owocu ich miłości. Aż nadszedł ten dzień, kiedy powiła syna, lecz los odwrócił się wtedy od nich. Dziewczyna zmarła w połogu. I ojciec, samotnik i pustelnik, zniósł dziecko w dół, przeniósł przez Rówień i położył na drodze do Smreczyn. I resztką swej tajemniczej siły, która wszakże nie zdołała ocalić góralskiej dziewczyny, tą

bezsilną resztką sprowadził w to miejsce kroki Jaka. I tak znalazł cię starszy rodu Kościanów.

– To koniec waszej opowieści?

– Nie, jeszcze nie, choć do końca blisko.

– Czy mój ojciec, ojciec, co go nie znałem, jeszcze żyje?

Władca Wichrów westchnął i głęboko popatrzył w oczy Gajdy. W jego spojrzeniu kryło się zmęczenie i smutek.

– Żyje, Gajdo, choć niewiele czasu mu już pozostało. Ja jestem tym ojcem.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko kapanie kropel po ścianach hali. Pod posadzką szemrały podgórskie strumienie, chcące wydostać się na zbocza Raroga. Ich szepty mieszały się z szeptem Berdy:

– A bo to pierwszy raz Władca Wichrów miesza swoją krew z góralską?

– Dlaczego mnie nie zachowaliście przy sobie, tylko oddaliście obcym? Po co to wszystko? – odezwał się po chwili Gajda.

– Jesteś synem góralki i pomiędzy góralami powinieneś być chowany. Za późno przyszła miłość, za późno przyszedłeś. Taki los. Czasy moje przemijają i niedługo odejdę. Nie mogłeś żyć jako syn Władcy Wichrów. A wiedziałem, że przy Kościanach i przy Starym Rysiu krzywda ci się nie stanie.

– To po co mnie tu wezwaliście?

– Trafiłem na ciebie przypadkiem, bo uwierz, nie ja spuściłem wtedy lawinę. I poznałem cię jako syna. I wiedziałem, że musi to być znak, kolejna szansa dana mi przez los. Jednak nie chciałem cię przymuszać. Chciałem, byś sam podjął decyzję.

– Przecież przysięgałem.

– Przysięgałeś z wdzięczności za uratowane życie. Ale wtedy nie wierzyłeś we Władcę Wichrów, mimo to wyruszyłeś. I to był twój wybór.

– Dalej nie rozumiem, po co to wszystko?

– Ja też nie rozumiem, Gajdo. I nie muszę rozumieć, bo niedługo mnie nie będzie. Ale czuję, że twoja rola dopiero się zaczyna. I że masz prawo wiedzieć, skąd jesteś. Że nie jesteś tylko podrzutkiem, niechcianym bękartem ani dzieckiem dziwożon.

Gajda przez jakiś czas nie odpowiadał. W końcu odezwał się cichym głosem:

– Dziękuję wam, ojcze...

– To ja ci dziękuję, synu – spokojnie i z miłością odpowiedział Władca Wichrów.

Teraz wszyscy długo milczeli. Aż wreszcie napiętą do granic możliwości ciszę przerwał sam Władca Wichrów:

– Wiem, z czym przychodzisz, Berdo. Wysłyszałem w wiatrach twą muzykę, wysłyszałem twe granie, a w nim wątpliwości i pytania. I odpowiem na wszystkie, na jakie potrafię. Ale najpierw, jeśli mogę cię prosić, zagraj mi tę odwieczną nutę, co ją po górach nosisz od wielu dni.

I Berda, gęślarz rodu Kościanów, wyciągnął z kaptura skrzypiec i zagrał spokojnie dumną, góralską nutę. Grał ją wiele razy, a wszyscy słuchali i góry słuchały, i nawet krople i podziemne strugi Srebrnego Beretyczu słuchały. Aż przestał grać, ucichł spokojnie i wolno. Pokłonił się Władcy i czekał. A on odezwał się tymi słowami:

– Kiedy ruszałeś w drogę, niewiele wiedziałeś i więcej miałeś wątpliwości niż mądrości. Ale wsłuchiwałeś się w góry, w słowa ludzi, jakich los stawiał na twojej ścieżce. I twoje wątpliwości topniały. Dostałeś od starych gazdów odwieczną nutę, wmyślałeś się w nią, by zrozumieć, co dzieje się w Smoczogórach i jaki jest tego wszystkiego sens. I kilkakrotnie próbowałeś odkryć zapomniane w nucie słowa, a za każdym razem mówiły coś innego. Ale teraz, zamiast wątpliwości, widzę w tobie spokój. Wiesz już chyba wszystko, co powinieneś wiedzieć. Z każdym krokiem, jaki przybliżał cię do mnie, rosła twoja mądrość. Teraz zagrałeś mi tę nutę. Ona uleżała ci się w duszy na tyle, by odsłonić swój sens i ukryte słowa. Ale nie zaśpiewałeś ich. Proszę cię, zrób to teraz.

– To prawda, odkryłem odwieczne słowa w muzyce. Posłuchajcie wszyscy:

*Gdy zawieje wicher srogi
To odejdą stare bogi
Nową pieśń gęślarz zaśpiewa
Wraz z nim zaśpiewają drzewa.*

Gajda, który od dziecka słuchał śpiewu i grania Berdy, nigdy nie słyszał jego głosu tak czystego, tak dźwięcznego. Zastygł w zasłuchaniu, choć pieśń trwała krótko.

– Znasz odwieczną nutę, na którą naprowadziły cię rady Starego Rysia, znasz jej sens. Cóż więcej mogę ci pomóc?

– Doszedłem tu nie po to, by zdobyć wiedzę, jaką już posiadam. Przybyłem, by z wami porozmawiać, bo rozmowy nie zastąpi mi żadna pieśń, choćby i odwieczna.

– Rozmawiajmy więc.

– Dlaczego wichry wieją? Darujcie, ale chcę to od was usłyszeć.

– Bo są ślepe. Ja odchodzę, Berdo, mnie już za niedługo tu nie będzie. I przed odejściem rozpuściłem wichry, by odtąd same, bez moich rozkazów wiały po górach. A one ślepe są i nie bardzo im to wychodzi. Ale uczą się. Na razie cieszą się wolnością i są jak źrebaki, są jak młode, wypuszczone na łąkę konie. Lecz minie jeszcze kilka dni i wszystko się uspokoi. To wiem na pewno. Szukacie powodów mojego gniewu, pytacie się, dlaczego zniszczyły Chochoła, dlaczego cały czas szły waszym tropem, aż do dzisiejszego ranka. Ale w ich wianiu nie ma żadnego ukrytego sensu. Nie stoi za nimi żaden rozkaz i żaden gniew. Przypadkiem tylko wiały tam, gdzie wy byliście, choć być może jest to trudne do uwierzenia. Ich ślepotą prowadzi ich torami przypadku.

– Wichry przynoszą zmianę. Zwiastują koniec starych czasów, zapowiadają nowe. Mówicie, Władco, że gotujecie się do odejścia. Dlaczego teraz to się dzieje? Dlaczego za naszego życia?

– Wiele jest powodów i sam nie potrafię przeniknąć wszystkich. Wiedziałem, że nadejdzie taki czas, kiedy skończy się moja rola. Kiedy władcy staną się niepotrzebni i będą musieli odejść. Bo nie my rządzymy światem, lecz Jedyny. I my jesteśmy tylko jego posłańcami, tylko jego sługami. Ale kiedy sam zechce nadejść, musimy usunąć się w cień. Przez wieki rozporządzałem wichrami, nie wiedząc, kiedy mój czas się wypełni. I wypełnia się teraz. Dzięki wam, to wy sprawiliście, że nadejdą nowe czasy. To wasza, ludzi, zasługa. I choć ja muszę odejść, to cieszę się, bo jestem jedynie posłańcem. Zrobiliście rzecz ważną w chwili próby. Bo ludziom najbardziej doskwiera śmiertelność. Od wieków nie zgadzają się na nią i podejmują rozmaite próby, by ją pokonać.

I stało się, że mogliście Śmierć zwyciężyć, pokonać ją własnym, góralskim sprytem. A jednak postanowiliście oddać szacunek naturze świata i wypuścić ją, godząc się tym samym na własne umieranie. Stary Ryś, choć wiedział, że wichry nie łączą się z czynami Smyka, zdecydował się na wypuszczenie Śmierci. Mieć możliwość, by zapewnić góralom nieśmiertelność i z niej zrezygnować, to może być głupota albo mądrość. I była to mądrość. Bo w Starym Rysiu zebrała się wtedy cała mądrość Smoczogór, cała mądrość i rozważa starych czasów. A ty, Berdo, to potwierdziłeś. I ruszyłeś, lecz nie aby mnie przebłagać, ale by potwierdzić swą zgodę na odwieczny porządek rzeczy. Kiedy się o tym dowiedziałem, poczułem, że czas się wypełnia, i uwolniłem wichry.

– A co z nami, co dalej mamy robić?

– Wiecie sami najlepiej. Udowodniłeś to, Berdo, na zboczach Mogielnicy. Był czas, kiedy słuchano pieśni i pieśni odwieczne zaklinały świat. Potem pieśń niknęła w niepamięci i nadeszły gorsze czasy. Gęślarze nie mieli już dawnej mocy, mocy zaklinania, mimo to zbierali i przechowywali ocalałe strzępy swych pieśni. A teraz wiesz, że na nowe czasy nie ma pieśni. I że potrzeba nowej pieśni. Ale nie będzie to kolejna prawda, którą potomni ślepo przyjmą. Bo nowa pieśń to rozmowa. Zaśpiewałeś nową pieśń Śmierci. Zaśpiewałeś też żmijowi. I zwyciężyłeś. A teraz będziesz śpiewał o swojej drodze, o swoich czasach. O tym, co się ostatnio wydarzyło. I tak przygotujesz ludzi na nowe czasy.

– O jeszcze jedno was muszę zapytać. Jak będą wyglądały nowe czasy?

– Ja jestem ze starych czasów, jestem ich częścią. Nowe będą działały się beze mnie. Nie wiem więc tego do końca. Ale na pewno teraz przyjdzie oczekiwanie na Jedynego. I wy macie to oczekiwanie przygotować. Chyba nie dożyjecie nowych czasów, bo nikt, kto pamięta stare, nie wejdzie w nowe. Ale wasi synowie i ich synowie może dożyją tego nadejścia. A to zależy od was. Była jedność na początku, a potem przyszła dwoistość. I zaczęła się walka. Potem przyszła wielość, jak dziś, i walka trwała. A teraz nadejdzie Jedyny i wszystko do niego powróci. Ale nie znaczy to, że zniknie różnorodność i bogactwo świata. Czas nie cofnie się, tylko pójdzie dalej. Jedność będzie nową jednością, jednością w różnorodności. Lecz żeby zaistniała, musi zniknąć walka. A walkę może zastąpić jedynie rozmowa. I to jest zadanie gęślarzy. Nowych gęślarzy. Bo zamiast ślepej wierności tradycji, w której żyjecie, musi być wierność rozumna, wierność budowana na wolności. I to wasze zadanie.

Teraz Władca Wichrów nie zwracał się tylko do Berdy, ale mówił do nich obydwu.

– Ty, Gajdo, przyszedłeś i odnalazłeś we mnie ojca. I tego ojca niebawem utracisz. Ale mam jedną do ciebie prośbę i wierzę, że ją spełnisz. Nowe to czasy, kiedy władcy muszą prosić. A proszę cię, byś wspomógł Berdę w gęślarstwie, byś razem z nim opowiadał góralom i całym Smoczogórom nową pieśń.

Gajda skinął głową. Władca Wichrów na chwilę zamilkł. U wylotu groty, otwartej na zachodnie stoki Raroga, zaczęły cicho posykiwać wichry.

– Miałem dla was dary, bo władcy zawsze nagradzali tych, co do nich przychodzili. Ale tak było dawniej. Wy natomiast zyskaliście na waszej drodze o wiele więcej, niż mógłbym wam dać. I to też jest znak nowych czasów. Nawet Wrzosiec z Lacerty, co czeka u wrót mego domu, zyskał o

wiele więcej, niż przypuszczał. I najważniejsze, że wie, ile zyskał. I dlatego na pewno tego nie zmarnotrawi. Ale jedno mogę wam darować. Posłuchajcie.

Wiatry, które wiały przy grocie, przynosiły ciche, płynące z oddali głosy. Były to głosy trombit. Berda ściągnął w skupieniu brwi i zaczął wsłuchiwać się w słowa, jakie niesło granie długich, pasterskich trąb. Po dłuższej chwili powiedział:

– Głos od Karbów idzie, od Smreczyn. I trombity mówią, żebyśmy wracali, gdziekolwiek jesteście. Stary Ryś umiera...

Ponownie zapadła cisza. Znow słychać było tylko wiatry i kapanie.

– Grają tak od kilku dni. Ale w Pazdurach tego nie można bez mej pomocy usłyszeć. Nie macie na co czekać. A oto mój dar. To ostatni wicher, jaki mi pozostał. Podaj mi swe dudy, Gajdo. Berda przemienił swoje na Czartaku. A ja przemienię twoje mym tchnieniem. I niech wam dwie kozy służą w nowym gęślarstwie.

I wziął Władca Wichrów pusty worek, ten bez oddanych Berdzie piszczałek, odetkał jeden ze Smykowych szpuntów i tchnął w nie swój dech. A worek wypełnił się i napęczniał.

– A teraz idźcie do bakałarza. I jak już wyjdziecie z groty, to wypuść, Berdo, ten wicher. Ostatni jest, ale wam się przyda.

Pokłonili się górale i pożegnali, a potem ruszyli w dół. Nie było czasu na opowieści, zresztą Wrzosiec poskramiał swoją ciekawość. Gajda wyjął szpunt, a nadęte powietrze w jednym momencie uleciało z koziego worka. Wydawało się, że to koniec i że nic niezwykłego już się nie wydarzy. Ale zaraz zobaczyli, że wicher pognał na drugą stronę doliny, aż pod Kruczą Turnię. Okrążył ją i zawrócił. Widzieli, jak znow zbliża się do Raroga. I nie zdążyli się schronić, tak to wszystko szybko się działo. Ostatni wicher wpadł na nich z impetem i zepchnął ich z półki. Poczuli, że spadają. Jednak nie spadli. I pewnie nikt w to nie uwierzy, bo to trudne do uwierzenia, ale opadli jak na miękkie poduszki, zapadali się w niewidzialne pierzyny. A wicher, bo on powstrzymał ich upadek, poszybował w górę i niósł ich na swym przejrzystym grzbiecie ponad doliną, gdzie rodził się Srebrny Beretycz, ponad Niedźwiedziem i ponad eremem boga Los. I żeglowali w powietrzu, patrząc na świat z miejsca, skąd mogą go oglądać tylko orły. I żeglowali nad Smoczogórami, nad Równią. Nie wiedzieli, ile trwa ich podróż, bo dech zapierało im w piersiach. I nie wiedzieli, czy długo lecą, czy krótko. Świat pod nimi był malutki, jakby skurczony. Aż wicher zaczął opadać, zniżać swój lot. I tak dolecieli na zachodni kraniec Równi. I tam, w

miejscu gdzie wydarzyło się już tyle ważnych spraw, gdzie Władca Wichrów pozostawił małego i płaczącego Gajdę, gdzie Smyk przechytrzył Kostucha, tam właśnie wichur łagodnie opadł i delikatnie zrzucił trzech przyjaciół na miękką, bujną trawę na granicy moczarów. Zapadli się w niej, lecz szybko powstali. I wzrokiem odwykłym od bliskości rzeczy odprowadzali wiatr, który zawrócił i pożegłował ku Rarogowi. Długo stali nieruchomo, aż zobaczyli, jak wichur doleciał do małego, zupełnie niegroźnego z tej odległości szczytu. I zobaczyli, jak masyw Raroga zapada się pomiędzy inne, spowite bielą turnie. A potem do ich uszu doszedł płynący z oddali huk, jakby stłumiony łoskot spadających kamieni.

– Jesteśmy zaplątani w sprawy, których nie rozumiemy. I chyba nie powinniśmy rozumieć – odezwał się Berda.

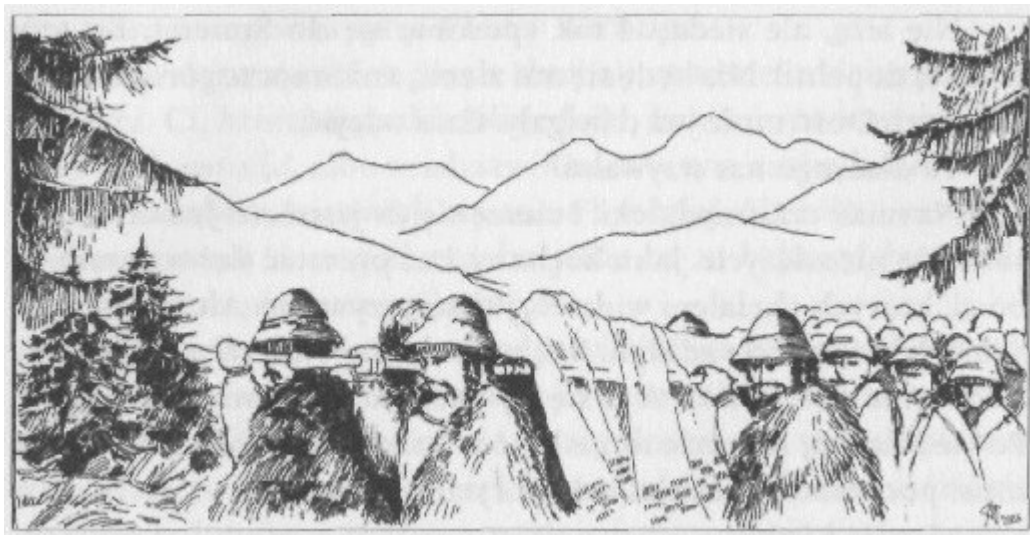
– Chyba nie – potwierdził Gajda.

– Na pewno nie – dodał Wrzosiec.

I trzech wędrowcy ruszyli w kierunku niedalekich Smreczyn. Bo stamtąd, z ostatnimi promieniami chylącego się za Karby słońca, dochodziło granie trombit, wzywające ich na Zarąbek.

Rozdział dwudziesty pierwszy

w którym umiera Stary Ryś



Pięli się na Zarąbek, ku rozjarzonym ognikom okien, które raz po raz wabiły między drzewami. Kiedy wyszli na polanę, zobaczyli pożegnaną przed wieloma dniami chałupę. Wrzosiec poczuł, jakby wracał do domu. Obawiał się tylko spotkania ze Starym Rysiem. Bał się zobaczyć starego, dobrego górala, którego pokochał niespełnioną miłością synowską, złożonego chorobą, wycieńczonego walką ze Śmiercią. Bał się zobaczyć go w łóżku, odartego z dostojności i codziennej radości.

Dlatego zdziwili się wielce, kiedy, dochodząc do chałupy Rysia, usłyszeli radosny gwar, co chwila przerywany śmiechami. Radość zebranych w izbie górali pchała się na ganek i ze śmiechem rozsypywała po wieczornej, ciemnej trawie. Weszli do chałupy i powitali wszystkich. A zebrało się tam ludzi niemało. Był Jak i jego synowie, byli mieszkańcy Zarąbka i Dziewięcślówie ze Smreczyn. A nade wszystko Stary Ryś, radosny i jak zwykle pogodny. I wcale nie zalegał w łóżku, tylko siedział na ławie, swoim zwyczajem ćmił fajkę i wił gniazda w niesfornych, coraz bardziej rysiowych bokobrodach.

– Witaj, synuś, cieszę się, że cię zdrowym widzę – powitał Berdę. – I was też witam, chłopczkowie mili. Tęskno mi było za wami.

– Po trombitach myślałem, dziadku, że leżycie umierający – spokojnie

powiedział Berda.

W jego głosie nie było urazy, tylko oddanie i troska.

– Nie leżę, ale siedzę. I tak sposobie się do Śmierci. Bo mój czas się dopełnił. Nie będę się ani ziemi, ani Smoczogórom dłużej narzucał. Dość mnie już dźwigały. Czas odejść.

– To dlaczego nas wzywałeś?

– Na mnie czas niedaleki. I cieszę się, że jesteście. Już myślałem sobie, że nie zdążycie. Jaku kochany, każ przestać dąć w trombity, bo ci, których chciałem widzieć, już są przy mnie. Ale nie myślcie sobie, bo ledwoście zdążyli. Już mnie dzisiaj Śmiertka odwiedziła i do siebie namawiała. A ja się wywinąłem, nie gorzej od Smyka. Powiedziałem, że może mnie brać w każdej chwili, lecz na Berdę musi poczekać. I odeszła. Jednak rychło wróci.

– Mówiła kiedy?

– Niewyraźnie. Jej rzecz, a ja nie pytałem. Ale przyznać muszę, żeś się, synuś, nie najgorzej na Czartaku uwinął. Bo dawniej to staruchy zabierały ludzi w zaświaty. A teraz młoda dziewczyna, ładna, miła, nie za smutna. Lżej będzie umierać. No, dość o mnie. Wy opowiadajcie, jak wam było. I co się działo, bo nas różne wieści dochodziły.

Trzej wędrowcy rozsiedli na miejscach, które zwolnili goście Rysia. A Liska wstała i zabrała się do przygotowywania wieczerzy. Górale głębiej usadzili się na swoich ławach, ci, co stali, mocniej podparli ściany. Nabili fajki, rozpalili i zaczęli wyczekująco pykać. I kiedy już wszyscy, i wszystko wokoło, byli gotowi do słuchania, Berda spokojnym głosem zaczął mówić. I po raz pierwszy w całości opowiedział o wydarzeniach ostatnich dni. I po raz pierwszy górale ze Smoczogór usłyszeli to, co potem miało stać się nową pieśnią, pieśnią, która pomoże im w oczekiwaniu nadejścia nowych czasów. I po raz pierwszy usłyszał o rozmowie z Władcą Wichrów Wrzosiec, który wcale nie żałował swej decyzji. Pogodził się z tym, że o najważniejszych sprawach Smoczogór dowiaduje się z opowieści kościańskich gęślarzy.

Berda mówił długo, nie śpiesząc się. Przed stokami Mogielnicy zatrzymał się na dłuższą chwilę, bo Liska podała posiłek. A trzech wędrowcy nie jedli od samego ranka. I Wrzosiec nie pamiętał lepszego jedzenia od tamtej wieczerzy, choć była skromna, prosta i na pewno niegodna syna Władcy Wichrów.

I Berda znów zaczął. A górale słuchali uważnie, ze ściągniętymi brwiami. Ci, którzy wypalili swoje fajki, nabili je ponownie, albo tylko ssali ustniki, albo rozdziawili usta w tym zasłuchaniu. I górale na Zarąbku

dziwowali się coraz bardziej. Ale nikt nie wątpił w prawdziwość słów gęslarza, bo jakże by to było, gdyby górale przestali wierzyć swym gęslarzom?

Aż Berda skończył i zaczął odpowiadać na pytania. I nie odpowiedział na wszystkie, bo pytań było na całe tygodnie, a nie na jedną noc. I tak zakończył się ten szczególny posiad w chałupie Starego Rysia. Już północ minęła, kiedy górale zaczęli rozchodzić się do swoich domów, a w izbie zostali jedynie gospodarz, wędrowcy i Liska. I wszyscy zaczęli układać się do spania, bo wiedzieli, że nazajutrz czeka ich ważny i podniosły dzień.

Rankiem zebrali się w czwórkę na ganku. Brakowało tylko Rysia i wszyscy czekali nań, popijając lipowy napar Liski i sycąc wzrok łagodnością i przytulnością Karbów. Niebieski masyw Raroga już nie zamykał horyzontu. Nadchodziła pogodna, smoczogórska jesień.

I wtedy w progu stanął Ryś. Ubrany był w odświętny strój. Miał na sobie pięknie wyszywany starodawny serdak i wykrochmaloną koszulę. Włożył pociemniały, zbójnicki pas, którego Wrzosiec nigdy na nim nie widział, a koszulę na piersi spinała mu błyszcząca na czarno i zielono spinka z *igrithu*, jeden z największych skarbów rodu Kościanów. Stał lekko przygarbiony, wsparty na swej bartce, którą bakałarz również oglądał po raz pierwszy. Stary Ryś patrzył na nich poważnie, z właściwą sobie dobrocią.

– Dzisiaj będę umierał. I tak mnie macie pochować.

Po czym usiadł i zaczął najspokojniej na świecie pić napar z lipy, zaprawiony miodem i mlekiem, wedle proporcji znanych tylko mądrej i cichej Lisce. Wszyscy poczuli powagę sytuacji, choć ich uczucia wędrowały raczej w stronę wzniosłości niż smutku. Ryś postanowił umrzeć spokojnie, godnie i po góralsku. Umrzeć po dawnemu, jak ongi umierali najszlawniejsi z jego rodu. Kiedy zjedli śniadanie, na Zarąbek zaczęli schodzić się goście, a więc ci, co byli poprzedniego dnia na posiedzie, a także inni mieszkańcy Smreczyn. Wszyscy żegnali się z Rysiem, a z każdym z nich stary góral zdążył zamienić parę słów. Przyjmował ich w izbie, spokojnie pykając fajkę. Koło południa pojawili się górale z innych osad, których Wrzosiec znał z rady u Jaka. Przychodzili pożegnać Rysia i oddać mu hołd, wezwani trombitami z całych Karbów. I przybyli, nie wymieniając Kościanów i Dziewięcślów smreczyńskich, Borsuk Jaworny, Głuhan i Gawra z rodu Jarców, Jaga i Kydryna z rodu Cisnych i wielu, wielu innych. I najznamienitsi ze smoczogórskich rodów siedzieli na ławach obok Rysia, a reszta na ganku i polanie przed chałupą. Kolejni goście z trudem przeciskali się przez gęstniejący tłum. I wtedy Wrzosiec uświadomił sobie, jakie

poważanie ma pośród górali Stary Ryś. Bo ci, niczym nieprzymuszeni, wędrowali nawet po kilka dni, by móc się z nim pożegnać.

Nadeszło złociste popołudnie i bakałarz z Lacerty, który akurat odpoczywał na ganku, zobaczył, jak od północnej strony idzie ku chałupie grupa wysokich, bogato odzianych górali. Nie widział dobrze ich twarzy, ale musieli być znaczni, bo wszyscy rozstępowali się przed nimi z szacunkiem. Grupa podchodziła coraz bliżej. I wtedy Wrzosiec ich rozpoznał. To Hnat Kardasz ze swoimi ludźmi szli po raz ostatni pokłonić się Rysiowi. Szmer przeleciał po góralach, którzy przekazywali sobie tę niezwykłą wieść. Sam najwyższy herszt smoczogórskich zbójników szedł pokłonić się staremu gęślarzowi. Uczony zajrzał do izby, by zapowiedzieć niezwykłego gościa. Po chwili Kardasz stanął w drzwiach. Skinął głową, podszedł do Rysia i przyklęknął na jedno kolano. A potem wziął w ręce starą dłoń górala i ucałował. I tylko znajdujący się najbliżej usłyszeli jego słowa:

– Wybaczcie, ale jak usłyszałem trombity, to musiałem was pożegnać. I przyszedłem, choć wiem, że nie powinienem.

– Dobrze cię widzieć. A twe obawy to dawne dzieje, z dawna minione. Czasy stare odchodzą, odchodzą też stare prawa. I to dobra chwila, by wszystkim powiedzieć, jaka jest prawda – Ryś takimi oto, dość tajemniczymi słowami, powitał herszta zbójników. – Ale nie ja przewodzę Kościanom, tylko Jak. Jaku kochany, powiedz wszystkim, kto nas odwiedził.

Ryś nie patrzył jednak ani na Jaka, ani na Hnata. Jego wzrok utkwiony był w Berdzie. I przemówił stary już i coraz starszy Jak, głowa rodu Kościanów. Mówił wolno, z powagą.

– Ten, który przybył jako Hnat Kardasz, by pokłonić się naszemu Rysiowi, to naprawdę jest Hardy z rodu Kościanów, ojciec gęślarza Berdy i mój brat. I to dobra chwila, by to, co skrywane, stało się jawne.

Berda, wbrew oczekiwaniom Wrzośca, nie był wielce zaskoczony.

– Wiedziałem, że coś ukrywacie, kiedy rozmawialiśmy w graździe pod Chochołem. I domyślałem się, co chcecie mi przekazać. Dobre czasy idą, bo sieroty odzyskują z dawna utraconych ojców. Witajcie, ojcze. I cieszę się, że was widzę.

Dwaj górale padli sobie w objęcia. Wrzosiec, choć nie chciał podglądać, zobaczył, jak jedyne, przenikliwe oko zbójnika pełne jest łez. Uczony odwrócił wstydliwie wzrok.

Zapadła cisza, przerywana szeptami dochodzącymi z ganku. I ciszę tę

przerwał Stary Ryś.

– Chcę w zaświat zabrać to, co najbardziej ukochałem, naszą góralską nutę. Stary jestem i pamięć mi się trochę miesza. Przypomnijcie mi, młodzi, nasze nuty, nasze smoczogórskie tańce. Nie smućcie się, bo żadna krzywda nikomu się nie dzieje.

Ryś przerwał, a górali nie trzeba było dwa razy namawiać. Wszyscy przygotowywali instrumenty, a zebrało się w izbie wielu znamienitych muzykantów. Kiedy już byli gotowi, siedli, wspierający skrzypeczki o kolana lub uciskający łokciem beklive kózki.

– Na sam początek zagraj nam, synuś, tę odwieczną nutę, co ją dostałeś od Świstuna w Kierpcach, i co ją samemu Władcy Wichrów na jego dziedzinach wygrywałś.

I Berda zagrał najpiękniej jak umiał. A potem zaczęli grać inni i Karby dawno nie słyszały takiej muzyki, bo rzadko się zdarza, by tylu wybornych grajków naraz grało. Ale i okazja była wyjątkowa, bo rzadko się zdarza, że umiera najznamienitszy z górali.

Mimo tej całej radości Wrzosiec czuł smutek. Z Rysiem odchodziło bowiem coś, co dopiero zdążył poznać. I zazdrościł tym, co wygrzewali się w ciepłe jego mądrości przez całe lata, a on, ledwo Rysia poznał i pokochał, musiał go żegnać. Wiedział, że z jego śmiercią odejdzie cały ten świat, całe dawne Smoczogóry. I choć oczekiwanie na nowe czasy niosło nadzieję, żal było tego, co musi umrzeć. Wymknął się Wrzosiec z izby i zaczął chodzić bez celu po polanie. Wszedł między drzewa i błądził, pogrążony w półmroku i we własnych myślach. Z dala dochodziła radosna, ciesząca się życiem góralska muzyka, która wypełniała nie tylko cały Zarąbek, ale niosła się z chałupy Rysia daleko po Karbach. Wrzosiec przysiadł na przewróconym, okrytym mchami świerku. I wtedy usłyszał obok siebie tubalny głos:

– Tak to jest, że przy każdej śmierci żal. Bo żal każdego życia.

Rozglądnął się i nikogo nie zobaczył. Ale wtedy przypomniał sobie, skąd zna ten głos. Zaczął więc rozglądać się niżej. Obok na pniu przysiadł znany mu skrzat, który pojawiał się niezapowiedziany i znikał, kiedy nikt tego nie podejrzewał.

– Skoro się spotykamy obok chałupy Rysia, to znaczy, że już czas...

– Tak jest, już na Rysia czas.

– Mogę ci zadać jedno pytanie? – zagadnął po chwili Wrzosiec.

– Jak musisz, to pytaj.

– Kiedy wiele dni temu zapytałem cię o imię, powiedziałaś, że mogę

zwać cię Kumakiem.

– I prosiłem, żebyś nad tym za bardzo nie myślał.

– A ja cię nie posłuchałem i długo o tym myślałem. I kiedy przechodziliśmy z Gajdą i Berdą obok starożytnego eremu, coś zrozumiałem. I mam tylko jedno pytanie: ty jesteś Kumak z Gormalu, sędziwy scholarcha Akademii w Lacercie, legenda międzygórskiej poezji, który przed wiekami chodził po świecie? Skrzat ciężko westchnął.

– Ja nim byłem. I nie tylko scholarchą, ale żebrakiem i mordercą, żołnierzem i bardem, kupcem, ministrem i poszukiwaczem skarbów, prostym wieśniakiem, zwykłym wędrowcem, pustelnikiem i przewodnikiem zagubionych. Byłem bogaczem i nędzarzem, byłem nagradzany i opluwany. Ja, Kumak, przeżyłem wszystko, co może przeżyć człowiek w naszym świecie. Byłem każdym i nikim. I chyba dlatego po śmierci zrobiono ze mnie skrzata. Przez to przeżywam śmierć wiele razy, po kilkakroć za każdego człowieka, jakim byłem. Płacę za moją pazerność i płacę za mój los. Nie potrafiłem żyć jednym swoim życiem. I teraz muszę być obecny przy tylu bezimiennych śmierciach. A każda z nich porusza mnie i dotyka, jakbym sam przechodził przez tę bramę.

– A czy...

– Miało być jedno pytanie, było wiele odpowiedzi. Nie pytaj więcej, tylko idź do izby, bo Ryś chce cię pożegnać.

– Mówiłeś, że byłeś każdym. Czy byłeś też Smykiem?

– Wiesz dobrze, że na to pytanie nie ma odpowiedzi. Idź już.

Kiedy Wrzosiec z Lacerty, przesiąknięty wieczornym, jesiennym chłodem wszedł do izby, było tam bardziej pusto, niż kiedy wychodził. Umilkła muzyka i przy Rysiu pozostali tylko Gajda, Liska, Berda i Hnat Kardasz. Na widok bakałarza stary góral odezwał się:

– Zostawiłem was przy sobie, bo chciałem was na końcu pożegnać.

I wstał, podszedł do każdego z nich i pocałował w czoło. Nikt nic nie mówił. A potem zwrócił się do Liski, Gajdy i Wrzośca:

– To już prawie koniec, zostawcie nas samych.

Kiedy wyszli, Ryś pozostał z nowo odnalezionymi ojcem i synem. Wkrótce wyszedł też Hardy, czyli herszt smoczogórskich zbójników. Mimo późnej pory mało kto odszedł spod chałupy na Zarąbku. Ucichły rozmowy i wszyscy czekali w napięciu. W domu pozostał tylko Stary Ryś i Berda. Mijały długie, smoliste chwile. W pewnym momencie Wrzoścowi wydało się, że widzi szmer w trawie u podstaw Rysiówego domu. Wytężył wzrok i zobaczył małego skrzata, który z niewielkim workiem na plecach, niemal

niezauważony nikt nie w wysokiej, gęstej trawie. Uczony podniósł głowę i spojrzał na chałupę. Na ciemne płazy, na gontowy dach, na oparty o dach orzech. I wtedy zobaczył coś, co umknęło uwadze wszystkich pozostałych. Na kominie siedział biały kruk. Powoli rozciągnął skrzydła i poszybował w górę, kołując nad Smoczogórami. Wzlatywał coraz wyżej i wyżej, aż rozpostarta nad Karbami noc zamknęła nad nim swój czarny całun.

Wtedy na ganek wyszedł Berda i powiedział matowym, płynącym z oddali głosem:

– Posłuchajcie, co wam powiem. Ryś z rodu Kościanów nie żyje.

Wokoło było cicho, ale po słowach gęślarza zrobiło się jeszcze ciszej. I nagle, niespodziewanie, ktoś zaczął śpiewać. I do jego czystego, dźwięcznego głosu przyłączały się inne. Po chwili cała polana na Zarąbku śpiewała i po Karbach niosła się tęskna pieśń, odwieczna nuta o umieraniu:

*Gdy stąd odejdziemy, trochę będzie szkoda
Gdy nas Śmierć rozdzieli, trochę będzie szkoda
Po górach, dolinach płakać będzie woda
Hej, płakać będzie woda...*

*Gdy nas Śmierć zabierze, zapłacze świat cały
Gdy nas Śmierć utuli, zapłacze świat cały
Nawet wichry w wantach smutno będą grały
Hej, smutno będą grały...*

Pieśń długo trwała, powtarzana wciąż i wciąż. Wrzosiec miał oczy pełne łez i nie słyszał kolejnych zwrotek, z pasją wyśpiewywanych owego wieczoru przez rozdartych żalem i tęsknotą za Starym Rysiem górali. A kiedy śpiew ucichł, w izbie zebrała się najbliższa rodzina Rysia. Jego ciało leżało na ławie, teraz wystawionej na środek pomieszczenia. Wokół zasiadły baby. Baby, które do tej pory pozostawały w cieniu tej opowieści. Były więc Liska i żona Jaka, żony synów Jaka, i wiele innych kobiet z Zarąbka. I zaczęło się czuwanie całonocne przy zwłokach Starego Rysia. Czuwanie pełne uwagi, by jego dusza mogła odnaleźć drugą, rozdzieloną przed wiekami połowę. Teraz kobiety zaczęły śpiewać, bo tylko ich śpiew potrafi odegnąć czarty, które zawsze kręcą się przy zmarłym. I śpiewały pełnymi głosami całą noc. A była też pomiędzy nimi Carynka, córka Hnata Kardasza, co przyszła wraz z ojcem na nieznanie sobie, a przecież swoje, Kościańskie dziedziny.

A mężczyźni siedzieli za kobietami, pod ścianami, i po raz ostatni

patrzyli na pogodną, jakby pogrążoną we śnie twarz Rysia. Ale był to sen wieczny, który w momencie śmierci na zawsze skleił powieki starego gęślarza. Górale wychodzili na ganek i tam, patrząc w gwiazdy, prowadzili swoje ostatnie, jednostronne rozmowy ze zmarłym przyjacielem, mędrcom i opiekunem. I owej nocy nawet gwiazdy przygasły i nie wskazywały żadnej drogi. Księżyc skrył się za chmurami i pogrążył Karby w wielkim opuszczeniu.

A nad ranem przeniesiono ciało Rysia na wyplatane nosze i nakryto lnianym, haftowanym pięknie i tęsknie całunem, dziełem pracy starych dłoni i starych oczu Liski, która być może jako jedyna kochała naprawdę Rysia, kochała niezależnie od jego mądrości. Kochała miłością cichą i niespełnioną. I ponieśli Rysia w stronę Smreczyn, by z nich wyjść na Rówień, aż do starej sztolnickiej drogi. Zmarłego trzeba bowiem przenieść przez Pustac, żeby śmierć była pełna, bo tylko po pełnym opuszczeniu możliwe jest ponowne zespolenie duszy. I takie opuszczenie może dokonać się jedynie na Pustaci, którą każdy żywy omija. I dzieje się tak, odkąd Rówień stała się Pustacią, i dzieje się tak od początku rodu Kościanów.

A kiedy szli, niosąc Rysia, kondukt za nimi ciągnął się na całe Smreczyny, bo bardzo wielu górali chciało pożegnać swego mędrca i gęślarza. I weszli w Pustac, a tam odnaleźli starą sztolnicką drogę, co ich zawiodła aż do Świstowej Przełęczy. I zmieniali się niosący Rysia, i każdy, kto wystąpił w tej opowieści, przez chwilę ramieniem wspierał nosze, na których leżał zakryty całunem Liski stary góral. A przed noszami szedł Berda, który przez cały czas grał na dudach nową pieśń, by wszyscy wiedzieli, kogo żegnają. Czasem Berdę zmieniał Gajda, ale nie po to, by gęślarz mógł odpocząć, lecz po to, by mógł ponieść nosze.

I do konduktu dołączali inni, których owej nocy nie było na Zarąbku. I doszło do nich wielu górali z Moczarek, a pośród tych Mocarni. I szedł też Osterwa, głowa rodu Mocarnych, bo tak naprawdę każdy w Smoczogórach znał i szanował Starego Rysia.

A na trzeci dzień wspięli się na Świstową Przełęcz i dotarli do stoków Mogielnicy. I tam, na wolnym miejscu, złożyli nosze. A każdy, kto szedł w kondukt, kładł na Rysiu jeden kamień. I kiedy ostatni z górali położył swój, to nad ciałem starego gęślarza urósł kopiec przewyższający wszystkie groby wokoło. Bo nikt wcześniej nie miał takiego pogrzebu jak Stary Ryś. I nikt potem też nie miał takiego pogrzebu. Z Rysiem odeszły bowiem stare czasy i on był ostatnim, który spoczął na stokach Mogielnicy. A później zmarłych grzebano na wzgórzach niedaleko wiosek. I tak z Rysiem umarła

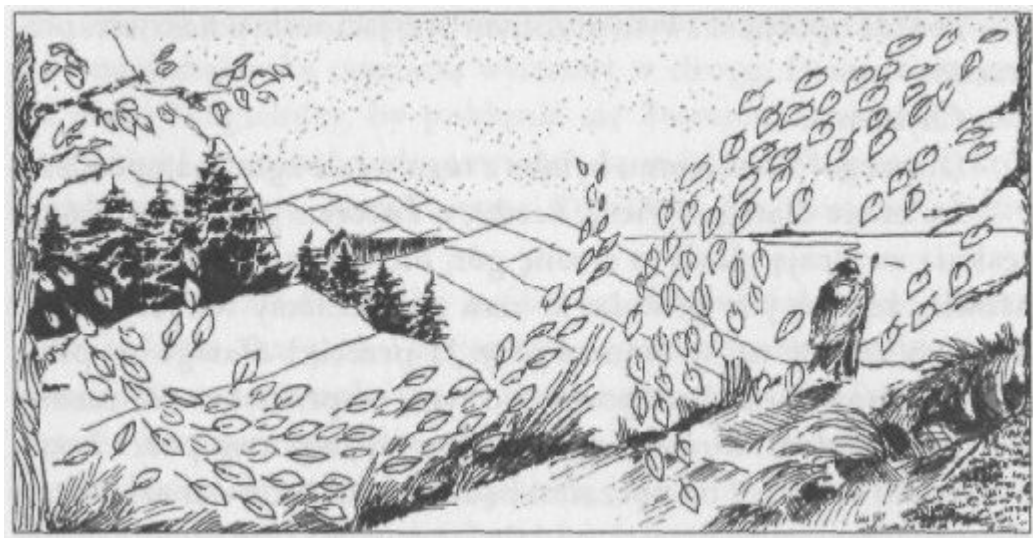
pewna epoka w dziejach smoczogórskich górali.

Kiedy już pożegnali Rysia, kondukt zawrócił i ludzie zaczęli rozchodzić się do swych domów. I wtedy, na środku Świstowej Przełęczy, przyszło się pożegnać góralom z Zarąbka z Hnatem Kardaszem i jego zbójnikami. I właśnie wtedy, nie zważając na powagę chwili, Gajda poprosił Kardasza o rękę Carynki. Bo góral jak kocha, to kocha na śmierć i jego miłość jest mocniejsza niż śmierć. I Hnat zgodził się, bo jedyne, czego się obawiał, kiedy ostrzegał Gajdę w swej graździe, zniknęło. Bo była Carynka z rodu Kościanów, a przecież Gajda nie był Kościańskim dzieckiem, lecz synem Władcy Wichrów. I zniknęły dla ich miłości wszelkie przeszkody. I Gajda już nie wracał do Smreczyn, tylko ruszył z Carynką i jej ojcem, a więc ojcem Berdy.

I tak zakończyło się pożegnanie starego, mądrego Rysia z rodu Kościanów. I tak zakończył się ważny rozdział w dziejach Smoczogór, bo wraz z Rysiem na dobre i złe odeszły stare czasy.

Rozdział dwudziesty drugi i ostatni

w którym opowieść ta dobiega kresu i pozostaje tylko zakończyć wszystko, co się jeszcze nie zakończyło



Od tamtych wydarzeń minęło kilka tygodni i wszystko znowu stało się zwyczajne, choć inne. Nic nie było jak dawniej, chociaż Smoczogóry bardzo się starały. Jesień rozpanoszyła się po Karbach i wiatry, normalne górskie wiatry, przeganiały po lasach suche, szeleszczące liście. Wichry odeszły na zawsze. Czasem tylko wiał ostatni z nich, nowo narodzony wiatr halny, co przynosił ciepło, ale też tęsknotę taką na człowieka sprowadzał, że co poniektórym żyć się odechciewało.

Za zimno już było, by wygrzewać się na ganku, i Berda z Wrzoścem siedzieli w izbie, przy starym pooranym stole. I wtedy bakałarz tak się odezwał do kościańskiego gęślarza:

– Czas mi się zbierać, Berdo, ku Lacercie.

– Gdzie będziesz szedł? Myślałem, że dobrze ci u nas i na zawsze z nami zostaniesz.

– Chciałbym, ale mimo wszystko jestem uczonym, a nie góralem. I nigdy nie będę do końca stąd. Zawsze będę obcym, choć prawie swoim. Mam swoje życie, pośród ksiąg. I w nim muszę znaleźć sens, a nie w waszym. Bo co moje, to moje, a co wasze, to wasze. I nie ma co udawać, że jest inaczej. Wracam więc do swego życia.

– Może to i racja. Ale odwiedzaj nas, zawsze będziemy ci radzi.
– Może kiedyś. Sądzę jednak, że i tak za długo tu siedziałem. Będę wracał w Smoczogóry wspomnieniami.

– Pewnie opowiesz swym uczonym przyjaciołom o naszych sprawach?

– Chyba nie.

– Dlaczego? Po mojemu byłaby z tego wcale zgrabna opowieść.

– I właśnie dlatego. Wiesz, Berdo, w Lacercie jest wielu, którzy tęsknie zwracają głowy w stronę gór, bielejących na horyzoncie. Mówią, że tam jest prawda, że tam powinniśmy wszyscy uciec. Tam, to znaczy tu, w Smoczogóry. Ja przecież dlatego tu przywędrowałem. Kiedy im opowiem o tym, co przeżyłem, to zaczną przybywać całymi tłumami. Wpierw uczeni, a potem poeci, bogacze i wielu innych. I na początku będzie miło. Będą was szanować, słuchać waszych opowieści, podziwiać muzykę i smakować owoce sery. Ale nie wiesz, Berdo, jak zachłanni są ludzie z miasta. Chcą tylko brać, bo uważają, że wszystko im się należy. I nie dają nic w zamian. Oni zadepczą wasze ukochane Smoczogóry, zamienią was w kuglarzy, którzy na ich życzenie będą bawić ich strzępami góralskiej tradycji, sprzedawać ją za garść miedziaków. I kiedy wyssą z was już wszystko, wszystkie pieśni, wszystkie nuty, to porzucą ograbione Smoczogóry i powiedzą, że nie ma w nich już nic ciekawego. I zostaniecie sami, biedni kuglarze bez tradycji, odarci z dumy i waszych pieśni. I tak przeminie wasz świat. A przecież wasz świat ma się odrodzić i oczekiwać nowych, lepszych czasów. Dlatego nie powiem, co tu widziałem.

– Pewnie masz rację. Co zatem będziesz robił w tej swojej Lacercie?

– Może spiszę wspomnienia z tych dni. Ale jeśli tak zrobię, to ukryję je w ciemnym i nieuczęszczanym zakątku biblioteki, by nikt ich nie znalazł. A nawet jak po wielu latach ktoś je przeczyta, to i tak nie zdąży wam zaszkodzić. Bo wy będziecie mieli tutaj swoje nowe czasy.

– Co dalej?

– Pewnie zajmę się smokoznawstwem.

– Przecież wiesz, że smoków nie ma.

– Może dlatego warto ich szukać?

Pożegnali się jak prawdziwi przyjaciele, bo byli wszak prawdziwymi przyjaciółmi. I Wrzosiec spakował swój niewielki dobytek, zwinął góralski strój, co mu pozostał na pamiątkę, i okryty zieloną bakalarską opończą wyruszył w drogę. Poszedł wpierw na stoki Mogielnicy, by pokłonić się Staremu Rysiowi. A potem minął kamienne złomowisko na miejscu Kośnych i królewskim traktem ruszył, przez Dźwierze Smoczogór, prosto

do Lacerty.

A kiedy dotarł do stolicy królestwa, dowiedział się, że śmierć zabrała króla Stargata. I że jego następca zaprzestał wojny z góralami. To zwiastowało rzeczywiście nowe czasy dla Smoczogór. Pewnie Wrzosiec zajął się swymi smokami. Nie wiadomo, co się z nim działo. Ze strzępów opowieści, jakie podróżnicy przynosili w te strony, można się było dowiedzieć, że zginął w tajemniczych okolicznościach podczas jakiejś wyprawy na smoka. Ale nie wiadomo, czy można tym opowieściom wierzyć.

Gajda poślubił ukochaną Carynkę i mieli wiele dzieci, dając tym samym początek nowemu i znakomitemu góralskiemu rodowi Wichrów. Kośnych nigdy nie odbudowano, ale u samych Dźwierz Smoczogór założono nową osadę, w której zamieszkali ci, którym udało się ocaleć z tragedii. Tam też zamieszkali Gajda z Carynką. I była w Nowej Wsi prawdziwa karczma, taka sama jak w Kośnych, i też jedyna na całe Smoczogóry. Gajda wspomagał Berdę w gęślarskim posłaniu i we dwóch opowiadali smoczogórskim góralom nową pieśń. Szkolili też wielu uczniów i każdy ród, nawet nie tak stary jak Kościanowie czy Dziewięćsiłowie, miał wkrótce swego nowego gęslarza.

A Berda żył samotnie w chałupie po Rysiu, na Zarąbku. Nigdy nie uwolnił się od znalezionej podczas wyprawy tęsknoty. Ci, co go wcześniej znali, nie potrafili odnaleźć w nim młodego, wesołego górala. Berda nigdy się nie ożenił i sporo czasu spędzał na włóczeniu się po okolicy. A kiedy się pochylił do ziemi i nieco postarzał, przeniósł się do Gajdy, do Nowej Wsi, i tam spędzał dużo czasu w karczmie. Grał góralom i podróżnym, a każdemu, kto chciał, darował opowieść, która miała chronić i nadawać sens życiu. I stał się z tego sławny, prawie tak sławny jak Stary Ryś. Choć ci, którzy przybywali do niego nawet z odległych stron, nie potrafili rozpoznać w nim, na wpół ośleptym starcu, owego młodego dzielnego górala z opowieści, który jakoby miał rozmawiać ze Śmiercią, walczyć z królem żmijów i spierać się z samym Władcą Wichrów. A on siedział, wtulony w kąt obok ciepłego kamiennego paleniska i rzewnie przygrywał na swych starych, poczerniałych gęślikach.

Aż pewnego wieczora Berda zniknął. Podarował skrzypeczki jednemu ze swych następców i zanurzył się w ciemność. Różnie ludzie opowiadają o tym, co się z nim później stało. Jedni mówią, że zatracił się w górach. Inni powiadają, że widzieli go na stokach Mogielnicy i że ponoć zamieszkał z jeszcze starszą, niedołązną wieszczunką Sową.

Ale prawda jest inna. Kiedy Berda, gęślarz rodu Kościanów, oddał swe wiekowe gęśliki, wyruszył na Mogielnicę pożegnać się ze Starym Rysiem. A potem skierował swe wolne kroki w stronę eremu boga Los. I przybył do niego i został mnichem losu, zapewne aż po kres swych dni. W eremie spotkał starego znajomego, jeszcze ze Smreczyn, który jednak wstąpił w szeregi pustelników przed końcem opisywanych tu wydarzeń. I mimo wielu lat, jakie od wyprawy Berdy upłynęły, owego górala wielce ciekawiło, jaki był jej przebieg. I Berda opowiedział mu wszystko, krok po kroku. A góral ów sumienne spisywał jego słowa, by nie uronić ani kropli. Trzeba było bowiem spisać słowo o Berdzie, bo taka wyprawa już się nigdy nie powtórzy. I nie wrócą już stare czasy.

Ja jestem tym znajomym z dawnych lat, ja zamknąłem się w eremie, zanim wyprawa Berdy się wypełniła. I przez te wszystkie lata, patrząc z okien wieży, w której mam celę, snułem domysły na temat tamtych dni. Teraz już wiem o niej prawie wszystko. Berda w celi obok spokojnie śpi. Nadchodzi kolejny świt, nad Równią snują się mgły. Jeszcze słońce nie wynurzyło się zza Pazdurów. Ale czuję, że już niedługo nadejdą nowe czasy. Przyglądam się zapisanym stronicom. Pewnie spoczną na moich piersiach, kiedy pochowają mnie pod posadzką świątyni, bo taka jest odwieczna tradycja eremu. Ale gdzie indziej, jak nie tu, mogą te słowa przetrwać? Erem boga Los był zawsze i pozostanie zawsze. I za wiele, wiele dni, kiedy nie będzie już górali ze Smoczogór, kiedy nie będzie już nawet Smoczogór, bo rozsypią się ze starości, ktoś odnajdzie moje notatki, nieudolnie opisujące nową pieśń o dawnej chwale.

Czas kończyć, bo niewiele zostało do powiedzenia. Pewnie domyślacie się już, kim jestem. Prawda, to ja jestem Smyk z rodu Dziewięćsiłów. Ta opowieść zaczyna się z mojej winy, niech się więc choć zakończy z moją pomocą. A teraz ja, Smyk, jeszcze starszy niż ongi, czekam, aż moją duszę porwie skrzat, przyczajony w kącie celi. Patrzy na mnie uważnie. Za drzwiami słyszę kroki Śmierci. Wierzę, że jest młoda i piękna. Lżej będzie umierać. Tak to się dziwnie splata los i nieprzeniknione są jego drogi.

I stało się tak, że się starymu Smykowi dusza przewróciła. I pozwólcie jej leżeć, bo jest stara i zmęczona.

Kraków 2002